www.tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 16 (1058)
14-19.04.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Polityczny realizm prymasa Wyszyńskiego

Kto pracuje mimo epidemii

Makabryczne losy arabskich księżniczek

Dagmara Bożek
Polarniczki w męskim świecie

WYBORCA

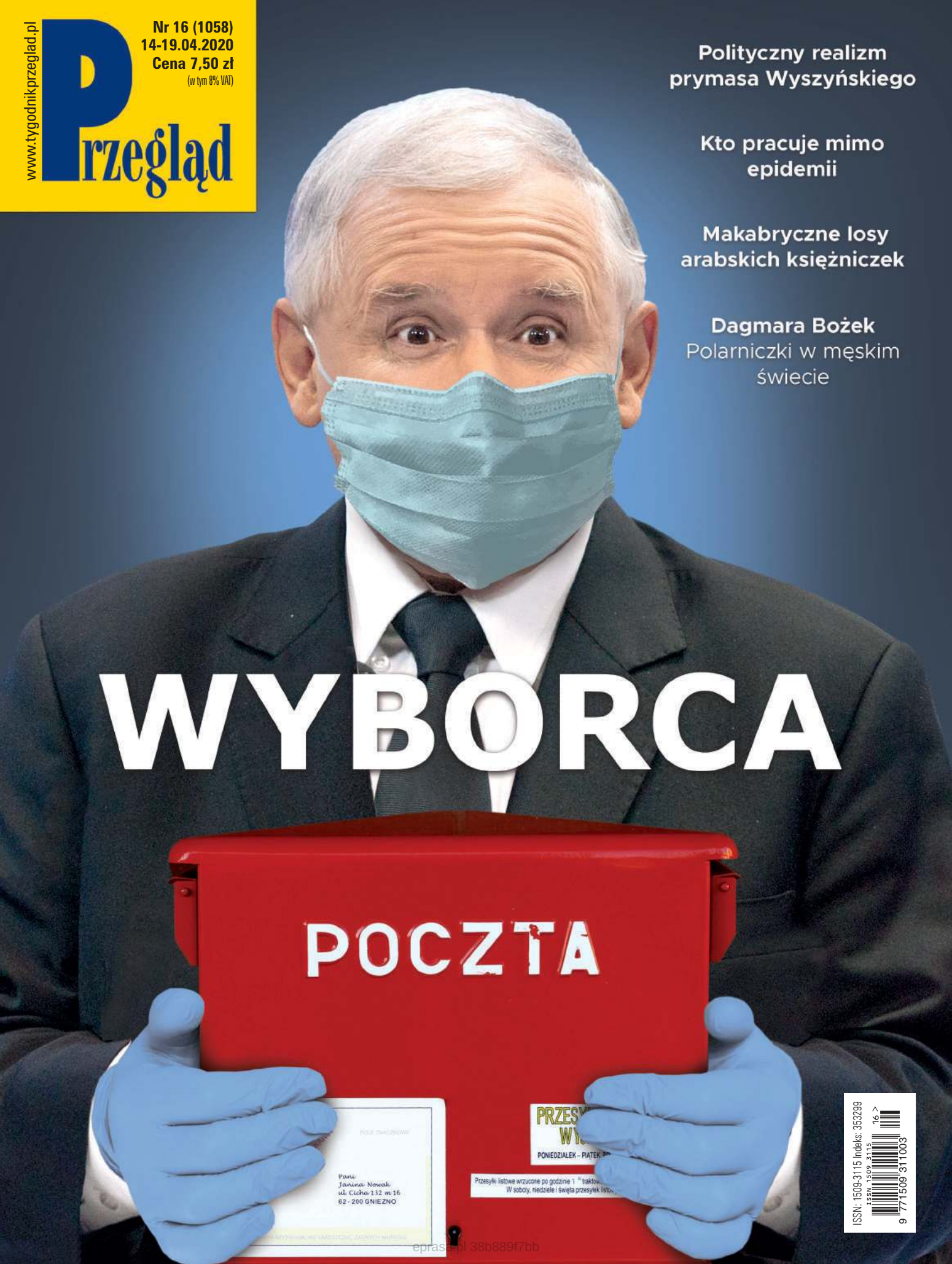

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115 16 >
9 771509 311003

epras.pl 38b889f7bb

PRZEKAŻ SWÓJ 1% NA KUŹNICĘ!

Fundacja Kuźnicy jest
Organizacją Pożytku Publicznego

Rozliczając swój PIT,
zachęcamy do wskazania
Fundacji Kuźnicy.

Wspomóż nas,
to nic nie kosztuje!

Dziękujemy!

FUNDACJA KUŹNICA
KRS: 0000300613

kuznica.org.pl

- wydajemy „Zdanie"
- wraz ze Stowarzyszeniem Kuźnica przyznajemy nagrodę Kowadła
- organizujemy spotkania z wybitnymi postaciami nauki, kultury, polityki

eprasa.pl 38b889f7bb

CYTATY

JAROSŁAW FLIS, socjolog
Część osób decyzyjnych w PiS zupełnie odkleiła się od rzeczywistości.
„Dziennik Gazeta Prawna"

PROF. ANDRZEJ LEDER, filozof
Przerażające doświadczenie pandemii może być źródłem kolejnej zmiany.
„Duży Format"

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO, filozof
Płacimy kolosalne pieniądze gwiazdom, a nie chcemy płacić godziwych pensji medykom i uczonym.
„Polska The Times"

RAFAŁ OLBRYCHSKI, malarz, grafik
Ludzie, którzy są pewni swoich przekonań, potrafią się z siebie śmiać. Powaga jest maską miernoty.
„Gala"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Minister czy showman

Wszyscy mają teraz dodatkowe zmartwienia. Większość Polaków boi się tego wirusa, który może do nich trafić od chorego człowieka. Patrzymy więc na siebie z rosnącą nieufnością. Denerwuje nas każdy, kto podchodzi zbyt blisko.

Deficyt zaufania potrwa dłużej niż sama epidemia. Nieuchronny jest także spadek wiarygodności władzy. Dziś Polacy są w szoku, bo złamane zostały podstawy ich dotychczasowych zachowań. W tej chwili najważniejsze dla nich są fizyczne przetrwanie i obrona miejsc pracy.

Na wielu dobrze działają uspokajające występy ministra zdrowia. Ludzie chcą mu wierzyć, gdy mówi, że wszystko jest pod kontrolą, a on sam nie śpi, by ratować zdrowie Polaków. Prawdziwe z tego jest tylko to, że mało śpi. Ale co z tego wynika? Meldunki lekarzy i pielęgniarek ze świata realnego, czyli ze szpitali, pokazują, że na nic nie zostali przygotowani. Że nie mają dosłownie niczego w wystarczającej ilości. Po jednej stronie mamy więc świetną autokreację Łukasza Szumowskiego, który wygłasza uspokajające komunikaty. A po drugiej kompletne bezhołowie organizacyjne. To nie jest propagandowy *show*. To realna walka o życie ludzi. I jeśli minister Szumowski przez kwartał nie był w stanie nawet personelowi szpitali zapewnić standardowego sprzętu, to po prostu nie nadaje się na to stanowisko. Wiem, że większość Polaków ocenia Szumowskiego po wyglądzie i słowach. Pewno myślą, że nawet jeśli tam, gdzie żyją, jest marnie, może reszta kraju jest pod kontrolą. Mylą się. Wszędzie jest bardzo źle. A minister zdrowia po prostu mija się z prawdą. Jakie są jego kompetencje, skoro pod koniec stycznia mówił, że wirus z Wuhan nie jest groźniejszy od grypy! Przecież to było ledwo dwa miesiące temu. W połowie lutego poleciał na narty do Włoch, dokładnie tam, gdzie ciut później było epicentrum zarazy. A po powrocie nie poddał się, podobnie zresztą jak Tomasz Grodzki, marszałek Senatu, kwarantannie. Obydwaj wrócili do pracy. Jakby byli kosmitami, których prawo nie obowiązuje. W Niemczech po takim numerze byliby już byłymi dostojnikami.

Doceniam umiejętności propagandowe ministra Szumowskiego, ale jego kompetencje w zarządzaniu służbą zdrowia uważam za bardzo mizerne. Potrafił oszukać lekarzy rezydentów. Umiejętnie wmawiał Polakom, że za jego kadencji do służby zdrowia trafiają dodatkowe środki. Jeszcze niedawno zapewniał, że Polska jest przygotowana do walki z koronawirusem. Zobaczymy, co zrobi w sprawie wyborów. Słowa przychodzą mu łatwo. Przyszedł jednak prawdziwy kryzys. I balon pękł.

Wiemy o tym od czterech lat

Już w listopadzie 2015 r. przewidywaliśmy marsz PiS w stronę Bawarii. Oto dowód! Także na to, że kupowanie naszego tygodnika to świetna inwestycja. PRZEGLĄD zapewnia wiedzę o kulisach polityki. Tej dużej. Skrywanej przed opinią publiczną.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 38b889f7bb

W NUMERZE

KRAJ

8 Naprawdę zrobią te wybory!
– rozmowa z prof. Januszem Czapińskim
11 Państwo stanu nadzwyczajnego
Słuchaj się policji i głosuj
12 Polska za pleksiglasem
Czyli nie ma czasu na żarty z kwarantanny
15 Fedrować jak gdyby nigdy nic
Górnicy biją rekordy
16 Układ krwionośny
Dzięki nim żyjemy w miarę normalnie
22 Maturzyści poszli do sądu
Uczniowie pozywają rządzących
24 Chałupnicza walka z pandemią
– rozmowa z Bartoszem Fiałkiem
26 Przez kwarantannę droga do ojczyzny
Izolacja na koszt państwa
30 Wirtualne respiratory
Produkcja według samouka
32 Dyrektorka kopistka
Skandale w Muzeum Śląska Opolskiego

PUBLICYSTYKA I OPINIE

18 Jakub Dymek
Spekulanci, czempioni i giganci
– kto zarabia na pandemii
40 Leon Podkaminer
Kogo kredytuje NBP – polemika
z prof. Leszkiem Balcerowiczem

ZAGRANICA

36 Ameryko! Zawieś blokadę gospodarczą Kuby
Problemy z zakupem sprzętu medycznego
38 Władczyni amerykańskich dusz
Paula White – kaznodziejka Trumpa

HISTORIA

42 Polityczny realizm prymasa Wyszyńskiego
Porozumienie państwo-Kościół 1950 r.

KULTURA

46 Rynek książki w potrzebie
Wydawcy ratują się, jak mogą
49 Qulturalia
50 Dzień po
Kino postapokaliptyczne
66 XVI Aukcja Charytatywna

OBSERWACJE

54 Polarniczki
– rozmowa z Dagmarą Bożek
58 Zaginione arabskie księżniczki
Życie i śmierć w złotej klatce

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Minister czy showman
21 Jan Widacki
Koronaprezydent
29 Roman Kurkiewicz
Andrzej Duda naszym prezydentem
35 Tomasz Jastrun
Czas łaski czy płaczu
53 Wojciech Kuczok
Przedwojnie

WŁADCZYNI AMERYKAŃSKICH DUSZ
Paula White – kaznodziejka Trumpa

38
ZAGRANICA

50
KULTURA

DZIEŃ PO
Kino postapokaliptyczne

POLARNICZKI
– rozmowa z Dagmarą Bożek

54
OBSERWACJE

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRYSTIAN MAJ/REPORTER/EAST NEWS, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 38b889f7bb

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

„Wołyniak" – zabijał kobiety i dzieci, trafił do panteonu „żołnierzy wyklętych"

Polacy nie mogą pracować w Czechach – krzywdząca decyzja rządu

Suchy świat – woda droższa od coca-coli?

W czasie pandemii wszyscy są socjalistami

Liberalni politycy i publicyści nie tylko mówią o konieczności wspierania firm, ale także podnoszą swoje standardowe argumenty o potrzebie cięcia wydatków państwa, m.in. ograniczania świadczeń finansowych na rzecz obywateli. Czy w obliczu kryzysu te postulaty stały się bardziej zasadne?

Maria Laach

•

Czy to już moment, by poważnie postawić postulaty idące totalnie w poprzek doktrynie neoliberalnej, takie jak nacjonalizacja części prywatnego sektora zdrowotnego, powoływanie nowych przedsiębiorstw państwowych czy znaczące zwiększenie zakresu planowania gospodarczego?

Grzegorz Panufnik

•

To nawrócenie na socjalizm czy stara tradycja magnatów polskich, którzy nie chcieli płacić na armię, nie chcieli oddać przywilejów, a potem dziwili się, dlaczego Rzeczpospolita upadła?

Arek Domeredzki

•

Jak wpłynąć na pracodawcę, aby zezwolił na pracę zdalną, gdy nie chce tego zrobić mimo takich zaleceń ze strony rządu? Zwłaszcza że praca taka jest możliwa. Prośby nie odnoszą skutku.

Agnieszka Zawadzka

Nie róbcie egzaminów

Mam apel do rządzących: zaliczcie wszystkim ósmoklasistom ukończenie podstawówki! Rocznikowi maturalnemu wydajcie świadectwa ukończenia liceum! Nie dokładajcie uczniom i rodzicom do rosnących z dnia na dzień trosk zmartwień z powodu otrzymania takiego lub innego stopnia. Tym bardziej że egzaminy stały się polem walki, wyścigiem.

Łucjan Głowacki

Przywódca z kryminału

Solidaruchom nie przeszkadzało to, że robotnikom mąci w głowach kryminalista, oszust i złodziej. Pilnowali tylko, żeby kasy nie zwinął i nie pozbawił ich subsydiów za walkę o wolną Polskę. Takie historie mówią więcej o moralnym i umysłowym formacie tej rozdokazywanej cyganerii politycznej, która od 1989 r. dzierży władzę w Polsce, niż opracowania historyków, socjologów i politologów.

Rafael Galland

•

O tym, że strajk trwający w Hucie im. Lenina od 26 kwietnia do 5 maja 1988 r. zorganizowała podziemna Solidarność, był też przekonany Ronald Reagan, który za pośrednictwem centrali związkowej AFL-CIO wsparł hutniczą Solidarność 1 mln dol. Rekompensaty „za stracone dniówki w czasie strajku" otrzymało 1,9 tys. hutników.

Leszek Konarski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Kiedy chcesz ochrzcić dziecko, a wymagany jest dystans społeczny… Pomysł z Norwood w Minnesocie.

FOT. FACEBOOK/CYNTHIA HOLMBERG HENSCHEN

eprasa.pl 38b889f7bb

130 tys. lekarzy, 280 tys. pielęgniarek i 15 tys. zespołów ratowników medycznych walczy o zdrowie Polaków. Żeby jeszcze premier Morawiecki i minister Szumowski potrafili wyposażyć ich w elementarne środki ochrony.

100 mld zł ma trafić do firm bezpośrednio jako pomoc w walce z koronawirusem. Warunkiem jest utrzymanie działalności i niezwalnianie pracowników. Spadek przychodów musi być nie mniejszy niż 25%.

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej zadecydował, że Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego musi zawiesić orzekanie. Niedostosowanie się do tego wyroku grozi karami finansowymi.

Grzegorz Lato, najbardziej znany polski piłkarz przed Robertem Lewandowskim, **król strzelców na mundialu w RFN (1974 r.)** i były prezes PZPN, **skończył 70 lat.**

Ruszyły trzy nowe stacje metra na warszawskiej Woli. Druga linia metra jest więc dłuższa o 3,5 km.

31 Banków Żywności oraz 53 tys. wolontariuszy i pracowników działa w Polsce na rzecz niemarnowania żywności.

95 lodówek społecznych, w których każdy może zostawić jedzenie dla potrzebujących, **stoi na ulicach w Polsce.**

Agencja Rezerw Materiałowych sprzedała 63 tys. całotwarzowych masek specjalistycznych produkcji francuskiej po 10 zł za sztukę, **zamiast przekazać je szpitalom.** Ale czy myślenia można wymagać od pisowskich kadr?

5,5 tys. nauczycieli i 18 tys. uczniów w Warszawie nie ma komputerów do zdalnych lekcji. Jeśli tak jest w bogatej stolicy, to co powiedzieć o reszcie kraju? Jak oświata ma przeżyć epidemie i rządy m.in. Piontkowskiego, bohatera uczniowskiego hasła: nie ma gorszego od Piontkowskiego?

Beata Nowosielska, wyrzucona z Ministerstwa Środowiska za obrzucanie ludzi z opozycji **wulgarnymi epitetami, dostała dobrze płatną posadę dyrektora generalnego Państwowej Agencji Atomistyki. Choć pojęcia o tej pracy nie ma żadnego.** Budowa elektrowni atomowej pod nadzorem Nowosielskiej to perspektywa gorsza od koronawirusa.

Sylwia Klewin, szczęśliwa **małżonka** Krzysztofa Sobolewskiego, **szefa Komitetu Wykonawczego PiS,** ma od dnia ślubu wielkie szczęście do dobrze płatnych posad. **Jest dyrektorem w Orlenie i członkiem rad nadzorczych w PKO TFI, Anwilu, Orlenie Paliwa i Porcie Lotniczym Szczecin-Goleniów.** PiS potrafiło zadbać o absolwentkę Wydziału Przyrodniczego Uniwersytetu Szczecińskiego.

PRZEBŁYSKI

Wizjoner i jego apologeci

Kolejny Polak zyskał światową sławę. Choć zapewne nie o takiej sławie myślał Rafał Milczarski, prezes PLL LOT i wszystkiego, co w Polsce lata. Teraz, jak ktoś wytnie firmie kosztowny numer, może usłyszeć: wyszedł jak Milczarski na Condorze.
Kupnem niemieckiej linii lotniczej zachwycały się propisowskie tygodniki. Na początku lutego „Sieci" i „Do Rzeczy" opiewały geniusz Milczarskiego. Wizjonera i gracza światowej rangi. W Chinach szalał już koronawirus. Ale przezorność nie jest cechą godną Polaka patrioty. Budżet państwa będzie miał więc teraz na utrzymaniu dwie linie lotnicze. Tygodniki „dobrej zmiany" dostały kasę za ogłoszenia. A czytelnicy? Mogą się pośmiać, czytając wywiady Marcina Makowskiego i Marcina Wikły (3-9 lutego).

Ziobro, ABW i Czarny Kot

Kto myślał, że po 30 latach walki z samowolą budowlaną postawioną prawie w centrum Warszawy, czyli hotelem Czarny Kot, wreszcie mamy szczęśliwy finał, ten grzeszy naiwnością. Rozebrano co prawda trzy nielegalnie wybudowane piętra niesławnego gargamela przy ul. Okopowej, ale reszta ma się dobrze. Właścicielki zapowiadają powrót do działalności. Za rozbiórkę zapłaciło miasto. A szanse na wydobycie tej kasy od ludzi, którzy zarabiali na tym przestępstwie, są mizerne. Gdzie jest Zbigniew Ziobro, prokurator generalny? Gdzie jest ABW? Czarny Kot to czarna plama na III RP, IV zresztą też.

Ujadanie Kłeczka

Są i dobre strony ograniczeń wynikających z epidemii. Choćby takie, że od paru tygodni pracownice parlamentu nie lękają się wyjść na korytarz. Przestały się bać, że zostaną stratowane przez ekipę Kłeczka. Politycy opozycji nie muszą już uciekać przed Miłoszem Kłeczkiem, obsadzonym w roli dziennikarza pisowskiej TVP Info i skierowanym do walki z przeciwnikami władzy. Udawanie dziennikarza wychodzi Kłeczkowi równie marnie jak w poprzednim wcieleniu udawanie biznesmena. Znajdzie się jednak coś, w czym Kłeczek jest perfekcyjny. Niewielu lepiej od niego ujada w interesie władzy.

Poszukiwanie Szczerskiego

Jak żyć bez wiceprezydenta Szczerskiego? Szefa gabinetu prezydenta Dudy jakoś nie widać. Desperacko walczący o utrzymanie posady Duda nie ma wsparcia druha z Krakowa.

I to od dawna. W pałacu nawet sprzątaczki wiedzą, że Krzysztof Szczerski próbuje sobie załatwić dobrą posadę za euro. Dolary też by wziął. Ale Amerykanie go pogonili. A w Brukseli na speca od dudaizmu popytu nie ma. Przyjdzie Szczerskiemu wrócić do Krakowa. Przygotuje grunt pod powrót Dudy. Mogą być atrakcją dla turystów. Jako duet śpiewający na Plantach ballady. Na przykład taką: „Jak nam się udało wszystko spieprzyć".

FOT. YOUTUBE (2), EAST NEWS

eprasa.pl 38b889f7bb

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Kto odpowiada za to, że nawet lekarze i pielęgniarki nie mają sprzętu ochronnego?

MAGDALENA BIEJAT,
posłanka Lewicy Razem

Kryzys pokazał, w jak fatalnym stanie jest cała ochrona zdrowia. Kolejne rządy, nie tylko PO, ale też PiS, zamiast dofinansować system, hołdowały idei opłacalności, co teraz się mści. Za brak środków ochrony osobistej odpowiada obecny rząd, który nie zadbał o rezerwy na sytuacje kryzysowe i zdezorganizował pracę instytucji ochrony zdrowia. Dramatyczne niedofinansowanie służby zdrowia objawia się także niedoborem personelu. Aby się przekonać, że rząd PiS nie uczy się na błędach, wystarczy spojrzeć na wielkość wsparcia dla poszczególnych sektorów: system finansowy właśnie otrzymał 70 mld zł, system ochrony zdrowia – zaledwie 7,5 mld zł.

DR HAB. DOROTA KARKOWSKA,
Fundacja Ius Medicinae

Ani ze specustawy, ani z innych przepisów nie wynika jednoznacznie, kto ponosi odpowiedzialność za zapewnienie środków ochrony personelowi medycznemu. Wiemy, że zostało zawarte ubezpieczenie NW obejmujące sytuację, gdy pracownik zarazi się z powodu braku środków ochrony, więc w takich przypadkach odpowiedzialność na zasadzie ryzyka będzie przerzucana na ubezpieczyciela. Z punktu widzenia pracowników odpowiedzialność spoczywa na ich pracodawcach, czyli zarządzających podmiotami leczniczymi. Pytanie jednak, co w sytuacji, gdy zarządzający nie ma możliwości zakupu takich środków. Osoby, które doznały szkód, będą miały dylemat, do kogo kierować roszczenia: do pracodawcy, który robił wszystko, żeby te środki mieć, ale nie mógł ich zdobyć, czy do skarbu państwa, który być może nie zrobił wszystkiego lub nie zadbał o zapasy.

URSZULA MICHALSKA,
Federacja ZZ Pracowników Ochrony Zdrowia i Pomocy Społecznej

Za zapewnienie pracownikom ochrony odpowiada rząd. O tym, że koronawirus zagraża Polsce, wiedział z wyprzedzeniem, ale nie podjął kroków w kierunku zabezpieczenia personelu medycznego. A przecież powinno być oczywiste, że chorzy będą szukać pomocy wszędzie, w związku z czym nie wszyscy będą przestrzegać zasad. Nie chcę oceniać ministra zdrowia, z którym współpraca w niektórych obszarach układa się nie najgorzej. Ministrowie zdrowia w żadnym rządzie nie mieli wiele do powiedzenia, zwłaszcza ministrowie finansów stopowali ich inicjatywy. Sednem problemów w ochronie zdrowia jest niedofinansowanie i zaniedbanie tej sfery zarówno przez ten, jak i poprzednie rządy. Dopiero gdy pojawia się jakieś zagrożenie, rządzący przypominają sobie, że istnieje coś takiego jak lecznictwo.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

MAŁGORZATA MARKIEWICZ

Kolejni ministrowie zdrowia, minister finansów, Andrzej Duda i Jarosław Kaczyński. Ministrowie oczywiście wraz ze swoimi wice.

ANDRZEJ B. IZDEBSKI

Zawsze i za wszystko odpowiada głowa, dlatego odpowiedzialność za niedostatki w ochronie zdrowia ponoszą parlamentarzyści, premier i minister. Ale teraz w decyzje podejmuje nieponoszący za nic odpowiedzialności „zwyczajny poseł", a więc personalnie to nikt nie odpowiada.

KAMIL ŁUKASZEK

Personalnie każdy premier po 1989 r., pozwalając na częściową prywatyzację służby zdrowia.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 38b889f7bb

Naprawdę zrobią te wybory!

Jak na horyzoncie pokazuje się bieda, motywy narodowe mniej się liczą

Rozmawia Robert Walenciak

Koronawirus, siedzenie w domu, zakaz spacerowania… Ludzie są w tej chwili w szoku?

– Rośnie grupa tych, którzy patrzą w przyszłość z przerażeniem. Ale nie tylko dlatego, że boją się wirusa. Bo jeszcze tak bardzo samego wirusa się nie przestraszyli. Statystyki nie są aż tak wysoko, musiałyby skoczyć dużo wyżej! Natomiast już wiedzą, że przyszłość jest niepewna, bo nie wiadomo, czy będą mieli pracę. Nie wiadomo, czy utrzymają dotychczasowe dochody. Generalnie rzecz biorąc, nie wiadomo, co z dziećmi. Otworzą te szkoły, nie otworzą… No i do tego dochodzi codzienny stres, który wynika stąd, że przez lata, a może i dekady, widzieli się w rodzinie pół godziny rano i dwie godziny wieczorem. A teraz widzą się na okrągło i to jest zwyczajnie nie do wytrzymania.

Dlaczego nie do wytrzymania?

– Bo ludzie odzwyczaili się od ocierania o siebie, od patrzenia sobie na ręce, od wypominania sobie, że tu popełniłeś błąd, tam popełniłeś błąd… Nie było na to czasu. A teraz jest na to wręcz nadmiar czasu. Nic dziwnego, że rośnie napięcie w rodzinach.

Ostatni moment, żeby się prześliznąć

Czego ludzie oczekują w takich sytuacjach od władzy? Jednoczą się wokół niej, prawda?

– Jednoczą się, jeśli władza postępuje tak, że zdejmuje z ludzi szok i napięcie. Jeżeli natomiast przestaje zdejmować, nie ma co liczyć na przychylność obywateli.

Co to znaczy: przestaje zdejmować?

– Na przykład jeśli okazuje się, że w związku z koronawirusem zastopowane zostają właściwie wszystkie inne świadczenia medyczne, także umówione wcześniej i wyczekane przez pół roku zabiegi. A takie przypadki też nie są rzadkie. Oczywiście ci, którzy tej władzy od zawsze ufali, tak prędko tego zaufania nie stracą, ale i oni w jakimś momencie muszą dojść do wniosku, że jak już nie ma do kogo iść z tym, że zachorowali albo ząb ich boli, to jednak ta władza nie wywiązuje się ze swoich obowiązków, jest raczej niewydolna niż wydolna.

PROF. JANUSZ CZAPIŃSKI
– psycholog społeczny

Władza broni się, wołając, że na całym świecie sobie nie radzą.

– W mało którym kraju władza dała sobie radę z epidemią. Chyba najlepiej sytuacja wyglądała w Korei Południowej, ale i tam wirus zebrał żniwo. Tylko że ci, którzy tak na to patrzą, w momencie gdy dopadnie ich jakaś boleść, sprawę widzą już inaczej. Zaczynają mieć pretensje. O różne rzeczy. A jeżeli przyjmiemy, że nie osiągnęliśmy jeszcze apogeum epidemii, to te pretensje będą narastać. Do tego dochodzi niemal pewna recesja, która się zaczyna. Jest tylko pytanie, kiedy zaczniemy spadać poniżej zera, jeśli chodzi o rozwój gospodarczy. To zresztą główny powód, dla którego nasz wódz narodowy tak się uparł przy wyborach w maju. Teraz! On wie, że jeżeli te wybory nie odbędą się w maju, to koniec z jego władztwem.

To jego ostatni moment, żeby się prześliznąć.

– Już nie będzie miał więcej okazji.

Na pewno jest to przesądzone? W Chinach władza ogłosiła wielki sukces, zwycięstwo w wojnie z koronawirusem. Pokazano zdjęcia z Wuhan, gdzie żegnano odjeżdżających lekarzy. Wyjeżdżali w szpalerze wiwatujących i dziękujących tłumów. U nas też coś takiego można zrobić na zakończenie epidemii.

– Nie sądzę.

Władza nie ogłosi sukcesu, że pokonała koronawirusa?

– Nie. My z tamtego reżimu dawno wyszliśmy. To zupełnie niemożliwe.

Nie mam roboty. I co mi po tej godności?

Są w kraju nastroje narodowe, prawicowe, tacy ludzie chętnie kupią hasło, że Polacy dali radę.

– Jest w Polsce grupa tych, którzy zawdzięczają tej władzy lekki lot w górę, w różnych wymiarach, m.in. w wymiarze ekonomicznym. PiS sypnęło groszem i nakręcało konsumpcję. Jakoś się przysłużyło tym ludziom, którzy zobaczyli, że lepiej im się wiedzie. I oni będą rządowi wdzięczni. Natomiast drugi wymiar to wymiar godnościowy. Na razie ten wymiar błyszczy. Ale jak się zacznie kryzys? Wtedy ludzie zaczną myśleć innymi kategoriami: no dobrze, godność godnością, ale nie mam roboty. I co mi po tej godności? Kiedy człowiek ma co jeść i jego przyszłość nie rysuje się czarno, to oczywiście różne inne motywy, także te narodowe, wychodzą na plan pierwszy. Ale gdy na horyzoncie pokazuje się bieda, motywy narodowe raczej mniej się liczą.

Władza może wtedy pokazywać tych, którzy zawinili, którzy zabrali tę pracę, którzy są temu winni.

– To PiS już robiło przez pięć lat. I co? Ten chwyt został zużyty. Zresztą

eprasa.pl 38b889f7bb

oni coraz rzadziej wracają do czasów rządów PO-PSL, bo zdają sobie sprawę z tego, że to już na ludzi nie działa. Bo zawsze można im odpowiedzieć: ale przecież pięć lat rządzicie!

Rząd ucieka więc w przyszłość. W snucie planów. Że zbuduje Centralny Port Komunikacyjny, że będą nas podziwiać.

– Nie, teraz już nikt nie wspomina o tym porcie. To zniknęło. Pewnie na zawsze.

Czyli co władzy zostanie jesienią?

– Władzy? Jeśli wybory prezydenckie będą w maju, zostanie jej władza. Rządzący będą umieli ją spożytkować.

Czy nastroje będą wówczas tak silne, że władza poczuje się zagrożona niepopularnością? Że będzie ją to bolało?

– Nie! Bo jeżeli utrzyma pełnię władzy, i Sejm, i prezydenta, to będzie miała gdzieś nastroje społeczne. A ulica? Przecież zawsze można odbudować ZOMO, dlaczego nie?

Władza długo nie wytrzyma, jeśli będzie musiała chować się za ZOMO.

– Myślę, że nie będzie walk ulicznych.

Ludzie będą się bali, że się zarażą, czy że się narażą?

– Ludzie będą widzieli bezcelowość takich walk. A w ogóle będą się bali wychodzić na ulice. Dlatego, że przestępczość – tego się obawiam – będzie wręcz kwitła.

Unia nie będzie karać Polaków. Bo przecież nie da się tak uderzyć, żeby tylko rząd przymierał głodem.

Zrobi się aż tak źle?

– Myślę, że tak. Włamania, kradzieże kieszonkowe, rozboje uliczne, wyrywanie torebek... To się stanie nagminne. Polacy się wzbogacili i pospolita przestępczość tego typu przygasła. Ale jak zacznie być biednie... Jest mocne prawo: jak się bogacisz, słabo to czujesz, ale jak biedniejesz – to cię roznosi. I tak to będzie.

Pozostanie niezawodny zawór bezpieczeństwa – wyjazd za granicę.

– Jak nie zamkną granic, to będzie można za granicę wyjechać. Tylko że ci, którzy mogli wyjechać, właściwie już wyjechali. Reszta będzie próbowała gdzieś znaleźć swoje miejsce. Poza tym w krajach, które są w lepszej sytuacji, są zamożniejsze, granice raczej będą się przymykać dla tych mniej wykwalifikowanych, gorzej wykształconych. Będzie robiona ostra selekcja: tych wpuścimy, a tamtych nie. Bo na tamtych nam nie zależy. Przykład Wielkiej Brytanii, gdzie bunt wobec wschodnioeuropejskiej imigracji wywołał nastroje, które doprowadziły do referendum brexitowego, daje do myślenia także włodarzom w innych krajach zachodnich. To nie jest sytuacja z roku 2008 czy 2009.

Tyle? Dwa miesiące niepracowania i aż tyle trzeba to będzie odbudowywać?

– Tak, bo różne rzeczy się posypią. Relacje społeczne się posypią. Gospodarkę oczywiście da się wcześniej przywrócić do dawnego poziomu, da się przywrócić koniunkturę. Ale powrót do poziomu życia z 7 kwietnia 2020 r. to jest sprawa, powiedzmy, dekady.

W takim razie obecny świat polityki też runie.

– Sądzę, że będzie sporo przetasowań. Tylko że nie będą to przetasowania z udziałem jakichś nuworyszy politycznych. Polacy już nauczyli się patrzeć na tych, na których mają ochotę głosować, na ich przeszłość – czy dokonali czegoś, czy nie dokonali? Czy warto na nich stawiać? Nie sądzę więc, że pojawią się jacyś polityczni bohaterowie, o których dzisiaj nie słyszeliśmy. To mało prawdopodobne. Zresztą w tych obecnych wyborach, gdyby nie było pandemii i gdyby kampania normalnie się toczyła, też moim zdaniem nie mieliby żadnej szansy, żeby otrzeć się chociażby o 15%.

Nie ma co liczyć na długotrwałą wdzięczność wyborców. Ta wdzięczność ma krótki horyzont czasowy.

Dziesięć lat temu, po katastrofie smoleńskiej, mieliśmy w społeczeństwie głęboką traumę, okres żałoby, refleksji. Teraz reakcje, jak wynika z pańskich słów, będą dość płytkie.

– Wie pan, jak człowiek nie ma co do gara włożyć, to nie dzieli włosa na czworo, nie wymądrza się ani nie intelektualizuje. Szuka możliwości zaspokojenia podstawowych potrzeb. I tyle.

Nie ma co liczyć na wdzięczność wyborców

A może to wszystko da się odbudować?

– W jakimś czasie da się... Ale znów musi upłynąć 20 lat.

Kaczyński ma więc rację w tym, co robi? Że chce załatwić sprawę prezydenta i mieć trzy lata bez wyborów, bo każde następne przegra?

– Jest takie zjawisko, które nazwałem niewdzięcznością społeczną. Gdy rząd dopieszcza jakieś grupy, to one są mu wdzięczne. Ale nie na zawsze. Bo w jakimś momencie dochodzą do wniosku, że przecież im się to absolutnie należało. A rządzący robią im łaskę! W dodatku przestali dokładać! Więc jak to? Miała być 14. emerytura, dlaczego jej nie ma?! Nie ma co liczyć na długotrwałą wdzięczność wyborców. Ta wdzięczność ma krótki horyzont czasowy.

Nie będzie wdzięczności, ludzie za parę miesięcy powiedzą, że żyje im się dużo gorzej. I co z tego będzie?

– Jeżeli PiS wybierze swojego prezydenta, to nic z tego. Nikt nie będzie się przejmował. Dlatego te wybory są dla Kaczyńskiego takie ważne. To jest jego być albo nie być. I Kaczyński absolutnie nie ustąpi! Pani marszałek może co najwyżej przesunąć je o kilka dni, żeby ta poczta się przygotowała. A pocztowców dopieszczą dopłatami. Naprawdę zrobią te wybory! Kaczyński byłby głupi, gdyby nie postawił wszystkiego na ten maj.

Ale te wybory nie będą przecież ani tajne, ani równe. Wszystko będzie w nich oszukane. Europa też ich nie uzna!

– E tam, będą się przejmować Europą? Przejmowali się tak bardzo Unią Europejską? Dwa razy troszkę się cofnęli. I tyle.

Ale teraz Unia połączy to z transferami finansowymi. Może zakręcić kurek z pieniędzmi.

– Unia na to się nie zdecyduje. Tam myśli się bardziej długofalowo. Że rządy Kaczyńskiego też kiedyś się

eprasa.pl 38b889f7bb

skończą. A teraz, gdy obniży się dotacje dla Polski, Polacy mogą się odwrócić od Unii, zażądać referendum jak w Wielkiej Brytanii. Nie, Unia nie będzie karać Polaków. Bo przecież nie da się tak uderzyć, żeby tylko rząd przymierał głodem.

Dwie wartości w głowach Polaków

Dlaczego ludzie nie są przywiązani do demokracji? I nie chcą za demokrację nawet podemonstrować?

– Nigdy nie byli specjalnie przywiązani! Ciągle o to pytałem w tych swoich badaniach, przez minione 30 lat. I ludzi, którzy naprawdę mieli pozytywny stosunek do demokracji i nigdy by nie zaakceptowali innego ustroju, było ok. 26-27%. To żadne przywiązanie!

Największe przywiązanie jest do poziomu życia?

– Nie tylko. Kaczyński pobudził nacjonalistyczne nuty. Zaczął wzniecać tę godność narodową. I to również jest dla Polaków ważne. Te dwie wartości w głowach Polaków biją się nieustannie. I jeśli chleba nie brakuje, wygrywa godność narodowa. A jak zaczyna chleba brakować, to na chwilę odstawiamy tę wartość i zaczynamy zajmować się szukaniem różnych możliwości poprawy standardu życia. Dlatego Kaczyński w dłuższej perspektywie przegra. Bo jak zacznie się naprawdę masowe zwalnianie, jak bezrobocie będzie rosło do poziomu z przełomu wieków, czyli osiągnie ok. 20%, jak ci wcześniej biedni, trochę wzbogaceni, zaczną znowu lecieć finansowo w dół, to godność narodowa już nie będzie odgrywała w myśleniu Polaków takiej roli jak do tej pory.

A opowieści części lewicy o równości, ekologii, LGBT?

– Absolutnie bez znaczenia. Oczywiście jest niszowy elektorat, którego pociągają tego typu tematy i debaty. Ale to elektorat rzędu 10-11%. To nie jest ta alternatywna siła, która przejmie władzę po Kaczyńskim.

> Osób, które naprawdę miały pozytywny stosunek do demokracji i nigdy by nie zaakceptowały innego ustroju, było 26-27%.

A nie jest tak, że Kaczyński w jakiś sposób opozycję hipnotyzuje? Wmawia jej różne rzeczy, tak jak wmówił jej przed wyborami parlamentarnymi, że jest bez szans, do niczego? A ta opozycja o mały włos nie wygrała wyborów! To wielka umiejętność!

– To nie jest jego jakiś szczególny talent. Jest takie zjawisko, które nazywa się spiralą milczenia. Dotyczy ono wyborców. Mianowicie ludzie zawsze się rozglądają dookoła, żeby zobaczyć, kto idzie w górę, kto się wysforował itd. I pod wpływem tego rozglądania się mogą zmienić preferencje. Bo jednak człowiek chce być w normie. Chce się czuć jak normalny. I nie będzie stawiać na kulawe konie.

Woli dołączyć do tych, którzy idą do góry.

– W tym obszarze Kaczyńskiemu się udało. Z takim przekonaniem mówił, że ma już tę władzę na zawsze, i to we wszystkich wymiarach, że tak góruje nad resztą, że duża część po prostu mu uwierzyła. Nawet wbrew sondażom. Zresztą sondaże też nie były najlepsze dla opozycji, również ze względu na tę spiralę milczenia. Wyobraźmy sobie: dzwoni ankieter i pyta: na kogo by pan w najbliższą niedzielę oddał głos? A ten respondent już właśnie się rozejrzał i widzi, że jego faworyt sprzed roku czy dwóch lat niknie w oczach. Gdyby przy takim niknącym kandydacie ciągle się upierał, źle by to o nim świadczyło, więc patrzy, kto idzie w górę…

To nie są czasy Gierka

Czyli wybory prezydenckie mamy już rozstrzygnięte? Wiadomo, kto wygrał? W ciągu miesiąca nie nazbiera się w ludziach tyle złości, że powiedzą: na złość PiS i Dudzie zagłosujmy na kogoś innego?

– Moim zdaniem wynik jest przesądzony. Ci, którzy będą wkurzeni, nie pójdą na wybory. Nie pojadą rowerem do tej urny w postaci skrzynki pocztowej.

A może pojadą?

– Nie! Powiedzmy, że w tych wyborach weźmie udział 30% uprawnionych. I co to zmieni? Przecież nie ma progu frekwencyjnego. Nawet niech pójdzie do wyborów 10%! Co to Jarosława Kaczyńskiego obchodzi, ile poszło. Ważne, kto wygrał. Zwłaszcza że pozostali kandydaci nie mieli szans w ogóle zaistnieć w kampanii. Ile oni byli na wizji? Dwa tygodnie?

W świadomości społecznej ich nie ma.

– Zniknęli. Polacy już część nazwisk zapomnieli.

Czyli czekają nas czasy, że nie będzie pracy, będzie mniej pieniędzy i bandyterka na ulicach… A rząd sobie z tym nie poradzi?

– Nie. Nie ma tylu policjantów.

A ludzie będą narzekać po cichutku, stłamszeni.

– Nie będzie masowych ulicznych wystąpień. Nie sądzę. To jednak nie są czasy Gierka.

A jakie to są czasy?

– Czasy smuty.

Robert Walenciak

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl 38b889f7bb

Państwo stanu nadzwyczajnego

Słuchaj się policji. Na mocy decyzji rządzących to właśnie ona określa dziś granice swobód i obywatelskich

Policyjna kontrola na placu Jana Matejki w Krakowie, 7 kwietnia 2020 r.

Andrzej Dryszel

Żyjemy w kraju, w którym nie wolno biegać, umyć auta w automatycznej myjni czy iść samemu do lasu. To policjant decyduje, czy wyszliśmy z domu, by „zaspokoić niezbędne potrzeby związane z bieżącymi sprawami życia codziennego". Ale według rządzących w Polsce nie dzieje się nic nadzwyczajnego, więc absolutnie nie wolno odbierać obywatelom możliwości wyboru prezydenta już w maju.

Wszystko wskazuje, że w sprawie wyborów jedyną zmianą będzie to, że zostaną przeprowadzone nie 10, lecz 17 maja. Pozwala na to konstytucja, stanowiąca, że wybory odbywają się w dniu wolnym od pracy, nie później niż 75 dni przed upływem kadencji prezydenta (kończącej się 6 sierpnia). Przesunięcie terminu o tydzień było jednym z celów przyjętej przez Sejm ustawy wprowadzającej powszechne głosowanie korespondencyjne. Mówi ona, że marszałek Sejmu może zmienić termin wyborów. Senat nie zablokuje tej ustawy, bo PiS ma 239 posłów, więc opozycja nie zdoła zerwać quorum (231 posłów) koniecznego do odrzucenia senackich poprawek przez Sejm.

Najważniejsze jest zaś to, że przy okazji wprowadzenia głosowania korespondencyjnego władza chce dorzucić zapis przełamujący zapowiadany opór samorządowców z miejscowości, w których nie rządzi PiS. Stąd przepis nowej ustawy mówiący, że jeśli wójt, burmistrz lub prezydent miasta nie wskaże lokalu na siedzibę komisji wyborczej, zrobi to właściwy wojewoda. A wojewodowie są z PiS.

Nie ma żadnej gwarancji, że 17 maja epidemia będzie już w odwrocie. Takiej gwarancji nie daje też postulowane przez opozycję wprowadzenie stanu klęski żywiołowej, oznaczające przesunięcie wyborów najwcześniej na drugą dekadę września.

Stan klęski żywiołowej, w odróżnieniu od stanu wyjątkowego, można dowolnie przedłużać za zgodą Sejmu (przedłużając zarazem kadencję prezydenta). PiS ma większość, więc Sejm może się nie zgodzić na przedłużanie – ale jeśli epidemia nie wygaśnie do jesieni, ludzie będą coraz bardziej zmęczeni i zniecierpliwieni, opozycja nabierze wiatru w żagle, notowania rządzących spadną, a wynik wyborów prezydenckich stanie się coraz bardziej wątpliwy. Zrozumiałe zatem, że Jarosław Kaczyński chce jak najwcześniej doprowadzić do reelekcji Andrzeja Dudy. W realizacji tego celu bez znaczenia są zdrowie ludzi, ich sprzeciw wobec majowego terminu czy kłopoty logistyczne związane z wyborami korespondencyjnymi.

Zabawne więc, że rządowa propaganda, broniąc majowej daty, głosi, że robi to w imię swobód obywatelskich oraz tej „świątyni demokracji", jaką stanowi wybór prezydenta.

Najnowszym propagandowym powodem niewprowadzania stanu klęski żywiołowej są odszkodowania, które skarb państwa musiałby płacić za ograniczenia praw i wolności w czasie stanu nadzwyczajnego. Sugeruje się, że opozycja działa w interesie Niemiec, chcąc zapewnić koncernom znad Renu odszkodowania, których nie mogą one uzyskać, jeśli stan nadzwyczajny nie zostanie wprowadzony.

Tyle że ustawa „O wyrównywaniu strat majątkowych wynikających z ograniczenia w czasie stanu nadzwyczajnego wolności i praw człowieka i obywatela" stwierdza jednoznacznie, że odszkodowanie z tego tytułu nie obejmuje korzyści (czyli także zysku), które poszkodowany mógłby osiągnąć. A właśnie utracony zysk stanowi najważniejszą dla firm część ewentualnych odszkodowań. Poza tym o takich odszkodowaniach decydowałby pisowski wojewoda (choć od jego decyzji można się odwołać do sądu).

To właśnie teraz, gdy stanu nadzwyczajnego nie wprowadzono, firmy mogą się starać o wyższe odszkodowania, obejmujące również utracone korzyści. Kwestie te bowiem reguluje Kodeks cywilny, który jasno stwierdza: „Naprawienie szkody obejmuje straty, które poszkodowany poniósł, oraz korzyści, które mógłby osiągnąć, gdyby mu szkody nie wyrządzono". Gdyby więc rządzącym rzeczywiście zależało na uniknięciu wypłaty wielkich odszkodowań dla firm, powinni wprowadzić stan klęski żywiołowej.

Dla obywatela nie ma natomiast większego praktycznego znaczenia, czy funkcjonuje w stanie klęski żywiołowej, czy tak jak dziś, w stanie nadzwyczajnym, którego formalnie nie ma. Wprawdzie konstytucja wyraźnie stwierdza, że żadne wprowadzane ograniczenia „nie mogą naruszać istoty wolności i praw", ale dziś ograniczeń nakładanych na podstawie różnych ustaw, rozporządzeń, dyspozycji (a nawet bez podstawy prawnej, jak wspomniany zakaz wstępu do lasu) jest tyle, że jedyny logiczny z nich wniosek brzmi: wolno ci tyle, na ile pozwala policjant. To on decyduje, czy w Polsce przestrzega się konstytucji. ■

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl 38b889f7bb

Praca za pleksiglasem,
czyli kto nie ma czasu na żarty z kwarantanny

Apteki i kioski czynne są normalnie. Kwitną remonty.

Anna Brzeska

Zostań w domu – mówią wszyscy. Ale nie każdy może zostać – setki tysięcy Polaków wciąż codziennie wychodzi do pracy.

Najtrudniej jest pracownikom ochrony zdrowia. Co szósty zakażony koronawirusem to członek personelu medycznego – informował 2 kwietnia rzecznik GIS. Pracownicy szpitali są najbardziej narażeni na kontakt z chorymi, w dodatku system nie jest w stanie im zapewnić dostatecznej ilości środków ochrony osobistej. O pomoc w ich zdobyciu apelują już chyba wszystkie szpitale w Polsce. Mnożą się więc rozmaite obywatelskie inicjatywy, w ramach których szyje się maseczki dla placówek medycznych lub zbiera na nie pieniądze.

Co gorsza, narasta przeciążenie personelu medycznego, ponieważ wśród jego członków przybywa nie tylko chorych na koronawirusa, ale i osób objętych kwarantanną. Ministerstwo Zdrowia nie prowadzi jednak statystyk obrazujących ich aktualną liczbę – taką informację z resortu uzyskała Okręgowa Izba Lekarska w Warszawie. Ze względu na wykryte przypadki koronawirusa wśród personelu i pacjentów zamykane są już zresztą całe szpitale, przez co zwiększa się obciążenie ludzi, którzy wciąż pracują.

Na pierwszej linii frontu są też farmaceuci, borykający się z tymi samymi problemami. Pracownica podwarszawskiej apteki mówi do mnie zza rozpiętej nad ladą folii: – Jak każdy boję się zakażenia, zwłaszcza że siedzę w pracy po 10 godzin. Niestety, moja zmienniczka została przesunięta do innej apteki, bo ze względu na pandemię jest nas mniej, zresztą pracodawcy dbają i o to, byśmy nie mieli ze sobą kontaktu. Są poza tym wśród nas osoby z małymi dziećmi, których nie mają z kim zostawić, więc zostały w domu na zasiłkach opiekuńczych.

Tymczasem ruch w aptekach jest teraz jeszcze większy niż zwykle. – Zdecydowanie większy – mówi farmaceutka. – Ludzie kupują preparaty na odporność, witaminę C czy leki przeciwwirusowe. Poza tym robią zapasy, boją się, że może zabraknąć niektórych leków.

Inna apteka, inna farmaceutka: – Boję się, jak każdy, o zdrowie rodziny, pacjentów, swoje. Nasz szef zaopatrzył nas we wszystko, co możliwe, łącznie z psychologiem w razie potrzeby – mamy maski, przyłbice, płyny, rękawice bez ograniczeń, szyby przy stołach i wsparcie szefa. Ale trafia mnie szlag, gdy widzę bezmyślność niektórych ludzi. Na przykład przychodzi 70-latka po... pomadkę powiększającą usta i mówi: „Ja swoje i tak już przeżyłam". Albo inna pani, koło osiemdziesiątki, oznajmiła mi, że w kościele powiedzieli, że jak będzie sobie jodem krzyżyki malowała, to wirus jej nie chwyci. Była też pani – chciała kupić skarpetki złuszczające – która po godzinie 10 zrobiła awanturę młodej matce, bo ta przyszła po antybiotyk dla trzytygodniowego dziecka. Dobrze, że bez ograniczeń mamy od firmy również suplement na uspokojenie!

Farmaceutka: Dobrze, że bez ograniczeń mamy od firmy suplement na uspokojenie!

1 kwietnia samorządy zawodów medycznych zaapelowały do premiera o zapewnienie przez państwo ubezpieczenia od następstw zakażenia koronawirusem wszystkim członkom personelu medycznego udzielającego wszelkich świadczeń zdrowotnych w okresie epidemii. Wcześniej rząd podpisał porozumienie z PZU SA o objęciu ubezpieczeniem jedynie pracowników szpitali zakaźnych (czyli tzw. szpitali jednoimiennych).

Beton lejemy jak opętani

Służba zdrowia to oczywiście niejedyna grupa zawodowa, której przedstawiciele wciąż muszą chodzić do pracy. Nikt – od mikrofirm po korporacje – nie chce tracić przez pandemię, więc póki tylko jest popyt na ich produkty czy usługi, a rodzaj działalności nie podlega rządowym zakazom, praca wre jak zwykle.

– Do końca maja mamy pełen kalendarz, normalnie realizujemy zamówienia złożone jeszcze przed koronawirusem – mówi Grzegorz z firmy zajmującej się wykończeniem wnętrz, działającej na terenie województwa mazowieckiego. – Jednak nasze biuro pracuje teraz tylko zdalnie i jeśli chodzi o nowe zamówienia – to już zupełna posucha. Ludzie nie wiedzą, co będzie dalej, więc nie planują nowych remontów. Od czerwca biorę więc chyba zwolnienie lekarskie, bo na szczęście mam umowę o pracę. A co będzie dalej, nie wiem.

Na pytanie, czy nie boi się koronawirusa i wizyt w domach klientów, Grzegorz wzrusza ramionami: – Ja się nie boję, raczej martwię się o starszych ludzi. Ich powinniśmy chronić i izolować. – Ale Włosi alarmują, że umierają coraz młodsi – mówię. Grzegorz: – Ja słyszałem, że media to

eprasa.pl 38b889f7bb

wszystko nakręcają. Podobno te nagrania wojska wywożącego trumny z Bergamo wcale nie są z tego roku.

To samo dzieje się w jednoosobowej firmie Kamila, montującej wentylację: – Muszę pracować, póki mam zlecenia. Nie wiadomo, co będzie dalej, więc realizuję bieżące kontrakty. Oszczędności starczy może na dwa-trzy miesiące, mamy kredyt.

Pełną parą działają także firmy wykonujące duże inwestycje w ramach przetargów i kontraktów z klientami korporacyjnymi. „Wstrzymanie budów przez generalnych wykonawców, w tym Warbud, mogłoby zapoczątkować reakcje lawinowe. W efekcie branża budowlana załamałaby się w ciągu kilku miesięcy. Zróbmy co w naszej mocy, by do tego nie dopuścić", tłumaczy w rozmowie z portalem Rynek Infrastruktury prezes Warbudu Jerzy Werle.

Pracownik innej międzynarodowej firmy produkującej beton mówi mi wprost: – Zatrzymać budowy? Gdzie tam! Lejemy beton jak opętani. Wszyscy klienci chcą beton na już, żeby zdążyć przed kwarantanną – bo jak na budowie złapią kogoś chorego, trzeba będzie ją zamknąć.

Kryzys – dobry pretekst, by oskubać załogę

Marcin, zatrudniony w fabryce produkującej części sprzętu AGD, będącej podwykonawcą branżowego potentata, grupy BSH (marka Bosch): – Od 6 kwietnia mam wolne. Produkcja stoi. Zmuszono nas do wzięcia urlopów – na razie dwutygodniowych, a dalej to zależy od sytuacji. Dlaczego? No cóż, to raczej nie z troski o nas. Po prostu fabryki naszego głównego odbiorcy stoją, więc podwykonawcy również, ze względu na przerwany łańcuch dostaw.

I rzeczywiście, BSH w komunikatach wystosowanych do mediów oraz kontrahentów informuje, że wstrzymuje produkcję na trzy tygodnie. Oficjalnie powodem jest troska o zdrowie i bezpieczeństwo pracowników, ale można się domyślać, że o wstrzymaniu produkcji zadecydował też w dużym stopniu brak możliwości płynnego zbywania towarów ze względu na zamknięcie sklepów wielkopowierzchniowych.

– Doszły do nas plotki, że ktoś z załogi był chory, ale nie powiedziano nam, czy na pewno – mówi Marcin.

Ale koronawirus to niejedyne zmartwienie Marcina. – Znaczną część mojego wynagrodzenia stanowią dodatki za nadgodziny i pracę w weekendy. Teraz, gdy zaczął się postój, odmówiono nam wypłaty za te już wypracowane w ostatnim miesiącu – dostaniemy tylko podstawowe pensje. Ja w marcu przepracowałem trzy weekendy, są ludzie, którzy przepracowali wszystkie cztery. Za jeden weekendowy dzień pracy dostajemy 250 zł. Wątpię, by kiedykolwiek wypłacono nam te pieniądze. Kierownictwo wszystko tłumaczy sytuacją zakładu i przestojem,

Pracownik firmy produkującej części AGD: Zamknięto palarnię czy jadalnię, ale gdy schodzimy ze zmiany, i tak jest nas w szatni 40 osób.

– Kilka osób poszło na zwolnienie i nie mamy z nimi kontaktu. Jedna z tych osób pracowała ze mną, ale nawet nasz kierownik nie ma informacji, jakie były u nich wyniki testów i czy w ogóle je miały.

Z relacji Marcina wynika, że jego firma nie zadbała należycie o zabezpieczenie pracowników przed zakażeniem. – Nie dostaliśmy maseczek ani rękawiczek, pomiary temperatury wykonują niesprawnym termometrem, pokazującym zupełnie bezsensowne wyniki, np. 30 albo 25 st. Zamknięto palarnię czy jadalnię, ale co z tego, skoro gdy schodzimy ze zmiany, jest nas w szatni jednocześnie ok. 40 osób. Jest ciasno, ludzie stoją obok siebie, wszyscy rozmawiają, kaszlą na siebie.

Pytam Marcina, czy nie boi się zakażenia. – Nie, jestem poza grupą ryzyka, nie choruję przewlekle. Boję się jedynie o mamę, dlatego ostatnio nie jeżdżę do niej. Na szczęście może ją odwiedzać moja siostra.

ale trudno mi w to uwierzyć. Jesteśmy częścią łańcucha dostaw wielkiej korporacji, nasza firma ma kilka fabryk w Europie, obracamy milionami euro. Nasz zarząd jednak dobrze wie, że teraz może wykorzystać sytuację, podliczać się niemieckiemu zarządowi tym, jak ładnie udało się przyciąć koszty. Kierownictwo zapewne samo obawia się cięć, więc naszym kosztem pokazuje swoją „efektywność". Myślę, że nie jesteśmy wyjątkiem. Wielkie zakłady, takie jak nasz, obcinają ludziom pensje, wysyłają na przymusowe urlopy, a osoby na śmieciówkach wyrzucają na bruk. W naszej firmie stanowią one mniej więcej jedną trzecią załogi – już wiele z nich wyznaczono do zwolnienia. Wiem jednak, że są w Łodzi fabryki, które za postojowe uczciwie płacą 100% wypłaty. Jednak można.

Zakupy na zapas

Setki zwolnień dotknęły także pracowników restauracji, sklepów

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, KARINA KRYSTOSIAK

eprasa.pl 38b889f7bb

i punktów usługowych w galeriach handlowych. Jednak kioski i te księgarnie, które wciąż mogą działać, bo są poza dużymi centrami handlowymi, pracują. Te drugie zresztą prowadzą też często sprzedaż wysyłkową. Czy pandemia sprzyja czytelnictwu, czy raczej niepewni swojej przyszłości czytelnicy oszczędzają każdą złotówkę? Okazuje się, że nie czekają z zakupami na lepszą przyszłość – z danych Empiku wynika, że znacząco wzrosło zainteresowanie zarówno książkami drukowanymi, jak i e-bookami.

Jeśli chodzi o prasę, niektóre tytuły zmniejszyły nieco nakłady wydań papierowych, ale – jak donoszą kolporterzy i wydawcy – spadki sprzedaży są stosunkowo niewielkie, wzrosło zaś zainteresowanie wydaniami cyfrowymi.

Pracują drogowcy i budowlańcy.

Rozmawiam ze znajomym kioskarzem. – Gazety sprzedają się tak samo. Jest teraz mniej punktów sprzedaży, bo odpadły te w galeriach, ale w nich ludzie i tak nie kupują gazet, tylko czytają je na miejscu – żartuje sprzedawca. – U mnie ruch mniej więcej taki jak zwykle, tyle że ludzie zakupy robią większe, na zapas. Jak się czuję? Na razie dobrze, choć testów nie miałem – śmieje się. – Tego, czy jesteśmy zdrowi, nikt z nas przecież nie może być pewien.

Sprzedawca nie umie powiedzieć, czy zdecydowałby się na zamknięcie sklepu. – Boję się zakażenia, ale nie znam nikogo, kto zachorował. W naszej gminie są na razie tylko cztery potwierdzone przypadki.

Skoro ludzie wciąż kupują książki i gazety, działają też drukarnie.

– Proces produkcji wymaga oczywiście fizycznej obecności pracowników, dlatego, aby zmniejszyć zagęszczenie personelu w miejscu pracy, pracownicy z działów niezwiązanych bezpośrednio z produkcją pracują zdalnie – mówi Jakub Dyląg, prezes Quad/Graphics Europe Sp. z o.o. – Mamy wewnętrzne procedury, które mają zapewnić bezpieczeństwo produkcji i komfort pracowników. Między innymi zmieniliśmy godziny pracy, by zapobiec gromadzeniu się dużej liczby osób, ograniczamy dostęp do zakładu dla osób z zewnątrz, zamknęliśmy miejsca gromadzenia się pracowników, a przy wejściu mierzona jest im temperatura. Dbamy też o regularną dezynfekcję. Wiele naszych procedur to realizacja zaleceń rządu, ale w kilku kwestiach poszliśmy o krok dalej.

Jako przykład prezes Quad/Graphics podaje stosowanie przyłbic, które zakład produkuje, opierając się na zasobach firmy. – Są one zresztą wykorzystywane nie tylko przez pracowników naszej drukarni, ale i wysyłane do szpitali. To „efekt dodany" naszych ciągów produkcyjnych – przyłbice wytwarzamy z materiałów, z którymi na co dzień pracujemy w dziale *in-store* (*in-store marketing* to gałąź produkcji materiałów reklamowych, w której powstają oznakowania, plakietki, tzw. standy i inne elementy wyposażenia sklepów). Na tę chwilę 100 sztuk wysłaliśmy do szpitala w Wyszkowie, a 50 sztuk otrzymał szpital w Radzyminie. Produkcja trwa i planujemy dalsze wysyłki – wyjaśnia mój rozmówca. Jakub Dyląg tłumaczy też, że zawieszenie produkcji ze względu na pandemię nie jest na tę chwilę brane pod uwagę. – Dopóki będziemy w stanie zapewnić bezpieczeństwo pracownikom, będziemy drukować. Nie bez znaczenia jest również wpływ ewentualnego zamknięcia na późniejszą sytuację firmy i jej pracowników. Jesteśmy ogromnym lokalnym pracodawcą, więc zamknięcie zakładu miałoby wpływ na cały powiat wyszkowski. Staramy się zachowywać jak najodpowiedzialniej, ale jednocześnie wyjść z sytuacji obronną ręką. Dodam, że nie mieliśmy do tej pory przypadków zachorowań wśród pracowników.

Jeść trzeba

Pani w małym spożywczaku, widząc moją maseczkę: – Czytałam, że te maseczki są bardzo niezdrowe, gromadzą się na nich bakterie. Mam je tu w sklepie, ale jakoś nie mogę ich nosić – utrudniają oddychanie, nie mogę swobodnie mówić do klientów, więc musi wystarczyć ta osłona z plastiku. Jestem zdrowa, obserwuję klientów. Jeśli ktoś zakaszle, bez wahania zwracam mu uwagę.

Przyznaje, że sklep ma krótsze godziny pracy ze względu na epidemię, i nie bardzo chce odpowiedzieć na pytanie o natężenie ruchu. – Teraz to jest ruch w Biedronce, bo czynna całą dobę – stwierdza w końcu poirytowana. – Ale to nieważne, ważne, byśmy byli zdrowi. Odwołałam też na wszelki wypadek czerwcowy urlop.

Inny sklep (tu również wstawiono pleksi nad ladą): – Wielu klientów woli kupić u nas, niż stać w gigantycznych kolejkach pod marketami. Ruch jest więc taki jak zwykle, szczególnie po południu, i przychodzą nie tylko po alkohol. Dużo mamy starszych pań, które zupełnie ignorują to, że mają wyznaczone bezpieczne godziny między 10 a 12. W ogóle nie stosują się do tych zaleceń.

Pytam sprzedawczynię, czy boi się zakażenia. – Jasne, ale mam nadzieję, że niczego nie złapię.

Rozmawiam także z pracownicą jednego z dwóch czołowych dyskontów. – Boję się koronawirusa, ale co mogę zrobić? Jeszcze nie zaliczam się do seniorek, więc nie wieję na zwolnienie – śmieje się. – No i traktuję tę pracę trochę jak służbę, bo przecież wszyscy musimy gdzieś kupić jedzenie. Mam też to szczęście, że dostanę premię za swoją pracę, a słyszałam, że sprzedawcy w galeriach handlowych otrzymali wypowiedzenia. Nie wiem więc, co gorsze – wirus czy bezrobocie.

Anna Brzeska

eprasa.pl 38b889f7bb

Górnicy kopalni Sośnica wydrążyli w marcu rekordowe 608 m chodnika

Fedrować jak gdyby nigdy nic

Górnicy w kopalniach węgla kamiennego pracują nadal, a nawet biją rekordy

Jan Opielka

Kontrast jest niesamowity. Jadąc wczesnym poniedziałkowym rankiem przez śląskie Gliwice, kierowcy mogą się czuć jak w święta – ulice świecą pustkami. Przed wiadomościami o godz. 6 w radiu audycja akcji „Zostań w domu". Jednak tylko kilka kilometrów i minut później, przed wjazdem do Kopalni Węgla Kamiennego Sośnica, widać doskonale, jak wielu ludzi w domach pozostać nie może. Parking dla pracowników jest zapełniony do ostatniego miejsca, na przystanku autobusowym czekają górnicy i inni pracownicy wracający z nocnej szychty. Nie wszyscy chcą rozmawiać, nie tylko z powodu zmęczenia po ciężkiej pracy. Swoje robi niepewność wywołana koronawirusowym kryzysem. – Od 30 lat pracuję na przeróbce – mówi pani Anna przez maseczkę. – Mamy teraz obowiązek noszenia tych masek, ale i tak jest nas mniej niż zwykle, więcej osób jest na chorobowym, przynajmniej u nas na wydziale. Mamy utrzymywać między sobą dystans, o ile się da. Tak generalnie to wśród ludzi jest trochę strachu – co będzie w przyszłości z pracą.

Na razie o samą pracę branża górnicza bać się nie musi – przynajmniej nie z powodu rządowych obostrzeń, które tutaj obowiązują tylko w małym stopniu. Państwowa spółka, Polska Grupa Górnicza, do której także należy KWK Sośnica, zatrudnia w sumie ponad 40 tys. osób. Zakłady pracują. Według informacji spółki PGG wprowadziła pewne instrumenty bezpieczeństwa – obok obowiązku noszenia na terenie zakładów maseczek mierzona jest pracownikom temperatura, a pomieszczenia są dezynfekowane. We wszystkich kopalniach PGG działają sztaby kryzysowe, które mają wdrażać ostre wymogi bezpieczeństwa. Przykładowo w ruchu Halemba w KWK Ruda izoluje się od siebie poszczególne zespoły pracowników. Jak informuje spółka, składy tych zespołów w miarę możliwości pozostają niezmienne. Na początku kwietnia na dwutygodniową kwarantannę skierowanych zostało 20 osób, które współpracowały z jednym z pracowników ruchu Marcel, u którego stwierdzono zakażenie koronawirusem. Do wind, którymi zjeżdżają górnicy pracujący przy ścianach, wpuszczanych jest mniej osób i mają one stać do siebie tyłem. Więcej jest też wagoników, którymi górnicy dojeżdżają do ścian, i dzięki temu więcej w nich miejsca – teoretycznie. – Ale wiadomo, że ludzie chcą jak najszybciej wracać do domu – uśmiecha się pan Piotr. W Sośnicy pracuje od roku, w jego oczach strachu nie widać. Wszak praca przy ścianie to nieustające ryzyko utraty zdrowia i życia.

Jednak koronawirus zaczyna działać na branżę w pośredni sposób, w pewnym sensie potwierdzając obawy górników o przyszłość ich pracy. Postój innych sektorów przemysłu i całej gospodarki spowodował spadek zużycia energii, a to przekłada się na malejący popyt na surowiec ze strony elektrowni. Kontrolowane przez skarb państwa koncerny, np. Enea i Tauron, obecnie nie kupują w PGG, ponadto w ostatnich latach zainwestowały we własne ściany wydobywcze, produkują tańszy surowiec i same muszą redukować wydobycie, jak poinformował na początku kwietnia Tauron. Nie dziwi zatem, że w apelu opublikowanym 30 marca związek zawodowy Kadra Górnictwo pisał: „Utrzymanie zdolności produkcyjnych owocuje zapełnianiem się zwałów przykopalnianych z powodu braku odbioru wystarczającej ilości węgla". Związkowcy z przewodniczącym Kadry Krzysztofem Stanisławskim apelują „do osób i instytucji odpowiedzialnych za bezpieczeństwo energetyczne kraju o natychmiastowe podjęcie działań ratujących branżę. Ratujmy miejsca pracy".

Na razie jednak praca jest – i choć w różnych kopalniach i różnych przedsiębiorstwach sytuacja wygląda inaczej, środki zapobiegawcze są podobne. Jastrzębska Spółka Górnicza postanowiła wprowadzić zmianę systemu pracy, aby chronić pracowników – apeluje też do nich „o bezwzględne zachowanie szczególnej ostrożności i przestrzeganie podstawowych zasad higieny osobistej". Podobnie jest w PGG, gdzie kadra pracująca na powierzchni, np. w administracji i rachunkowości, ma także możliwość pracy zdalnej. – Myślę, że u nas około połowy personelu pracującego na powierzchni pracuje zdalnie – opowiada inspektor dołowy jednej z kopalń PGG. I choć, jak mówi „niemal wszyscy są wystraszeni, bo przecież prawie wszyscy mają rodzinę", to z jego relacji wynika, że gorzej mają ci, którzy pracują na dole. Zdalna praca jest z oczywistych powodów niemożliwa. A zalecenia zarządu dotyczące „dołu"? – Są te zalecenia, ale nie da się ich do końca zrealizować – mówi inżynier.

Gdy ostatni pracownicy po poniedziałkowej nocnej zmianie opuszczają gliwicki zakład, nad szybem kopalni wschodzi czerwone słońce. – Nie chcę rozmawiać, jestem po ciężkiej zmianie – tłumaczy górnik czekający na autobus. W jego oczach widać ogromne wyczerpanie i niepewność. W branżowej prasie kilka godzin później czytam: „Górnicy kopalni Sośnica wykonali w marcu rekordowy postęp drążenia chodnika: 608 m". Pytania są dwa: czy górnicy nie zachorują masowo i czy po epidemii będzie jeszcze zbyt na ich węgiel? ■

FOT. P. DZIURMAN/REPORTER

eprasa.pl 38b889f7bb

Ewa Smolińska-Borecka

Układ krwionośny

Listonosze, kurierzy, pracownicy komunikacji miejskiej, kolejarze – to dzięki nim nasze życie może się toczyć w miarę normalnie

Są niezbędni, by społeczeństwo mogło funkcjonować. Nawet tak ograniczone zakazami jak teraz. Dzięki nim przemieszczamy się, wysyłamy i otrzymujemy przesyłki. Są jak układ krwionośny dla organizmu.

Listonosze – podmiot strategiczny

Był taki czas, kiedy wydawało się, że prywatne firmy zepchną Pocztę Polską na margines. Teraz jednak urosła do rangi podmiotu strategicznego, bo to właśnie ona ma dźwigać na barkach odpowiedzialność za korespondencyjne wybory prezydenckie. Na początku kwietnia prezesem Poczty Polskiej i jednocześnie członkiem rady nadzorczej tej firmy został wiceminister obrony Tomasz Zdzikot. To jasny sygnał, że instytucja stała się zmilitaryzowana i w razie jakichkolwiek problemów personalnych czy innych kierownictwo nie zawaha się sięgnąć po rozwiązania drastyczne. Z wykorzystaniem Wojsk Obrony Terytorialnej albo Żandarmerii Wojskowej włącznie. Trudno się dziwić, że w tej sytuacji listonosze, nawet *incognito*, nie chcą się wypowiadać na temat swojej pracy. Ale i na wyższych szczeblach jest pewna blokada informacyjna, a kierownicy urzędów pocztowych odsyłają do zwierzchników.

Rzeczniczka prasowa Poczty Polskiej odpowiedziała na wysłane do niej pytania, niestety, milczeniem pominęła m.in. takie: „Ilu listonoszy jest teraz na zwolnieniu, jest nieobecnych z powodu opieki nad dzieckiem do ósmego roku życia, jest na urlopie płatnym lub bezpłatnym?”. Za to napisała, że listonoszy jest więcej niż obwodów doręczeń, aby zapewnić „zastępowalność” w przypadku absencji któregoś. Zresztą – jak twierdzi rzeczniczka – zastępowanie innych listonoszy w ramach godzin pracy lub w nadgodzinach NALEŻY DO ZADAŃ KAŻDEGO LISTONOSZA. W każdym razie nie ma oficjalnych danych, które by wskazywały, ilu listonoszy jest w tej chwili nieobecnych w pracy z powodów zdrowotnych lub życiowych. Z drugiej strony od znajomych słyszałam, że przez wiele dni nie doszły wysłane przez nich listy.

Poczta Polska zatrudnia ok. 25 tys. listonoszy, 28% to kobiety. Bez wątpienia część jest nieobecna. Ale firma przekonuje: damy radę! W przypadku korespondencyjnych wyborów prezydenta, co może nastąpić już niebawem, jeden listonosz będzie musiał dostarczyć średnio 1,2 tys. pakietów do głosowania. Dużo?

Na czas epidemii pracownicy urzędów pocztowych i listonosze, czyli ci, którzy mają bezpośredni kontakt z klientami, dostali 280 tys. płynów do dezynfekcji w poręcznych opakowaniach. Sprowadzono też tysiące litrów płynów w dużych pojemnikach. Poza tym pracownicy otrzymali 1,6 mln par rękawiczek i 250 tys. maseczek. W marcu każdy dostał dodatkowo 50 zł, aby mógł we własnym zakresie kupić środki ochrony indywidualnej. Na te wszystkie zakupy i dopłaty firma wydała 50 mln zł.

Jedno jest pewne: Poczta Polska może nie wynagradza sowicie swoich listonoszy, ale pensje wypłaca regularnie i odprowadza ZUS. I nie bankrutuje.

Poczta nie odpowiada na pytanie, ilu listonoszy jest teraz na zwolnieniu albo na urlopie.

Wystarczy prawo jazdy

Na dwukołowy wózek do przewożenia towarów ładuje trzy paczki i pięć pękatych kopert. Nie nosi maseczki ani rękawiczek, ale widocznie nie obawia się koronawirusa. Wygląda jak licealista. Śmieje się, kiedy słyszy, że wzięłam go za nastolatka. – Studiuję dziennikarstwo na jednej z prywatnych uczelni – mówi. – A że jest przerwa w zajęciach, dorabiam jako kurier. Pracuję dla UPS, ale zatrudnia mnie jeden z podwykonawców tej firmy. Prawie miesiąc jestem kurierem. Nie miałem problemu z dostaniem pracy, bo potrzeby w tej bran-

eprasa.pl 38b889f7bb

ży są bardzo duże, a nie trzeba mieć doświadczenia, jedynie prawo jazdy.

Ma na imię Oleksander. Jest Ukraińcem. Choć wielu jego rodaków wyjechało do ojczyzny, on został w Polsce. Jest tu od czterech lat, mówi bardzo dobrze po polsku. Jest grzeczny, ale widać, że zaczyna się denerwować, bo się śpieszy. Jeszcze tyle przesyłek do rozwiezienia. Dla kurierów to okres wytężonej pracy.

Kiedy zaczepiam innych, np. z firmy GLS, też nie mają czasu. Odpowiadają równoważnikami zdań. Jeśli mają maseczki i rękawiczki, to okazuje się, że sami je sobie kupili.

Nawet Ministerstwo Rozwoju dostrzegło, jak ważnym elementem w funkcjonowaniu społeczeństwa w dobie zarazy są kurierzy. 5 kwietnia resort stwierdził w komunikacie w internecie, że codziennie dzięki 30 tys. (!) pracowników firm kurierskich doręczane są setki tysięcy przesyłek i listów: „Doceniamy wysiłek i poświęcenie wszystkich pracowników z branży kurierskiej, którzy w czasie epidemii dostarczają nam przesyłki, w tym niezbędne produkty. Dziękujemy!”.

Czerwony autobus mknie

Marian gasi papierosa i siada za kierownicą autobusu warszawskiej linii 522, chociaż jeszcze ma kilka minut do odjazdu z pętli przy Dworcu Centralnym. – Czy pan nie obawia się pracować w czasie epidemii? – pytam 45-latka. Zastanawia się chwilę. – Czy się boję? Po pierwsze, pasażerowie są od nas odsunięci poza taśmę; po drugie, jest zasłona z pleksi, a po trzecie i czwarte mamy maseczki i płyny do dezynfekcji – wyjaśnia. – Powiem prawdę: uważam, że te wszystkie zabezpieczenia nie dają 100-procentowej pewności. Ale cóż, pracować trzeba. Kto zapłaci za mnie rachunki, alimenty i raty kredytu? No, gdybym miał chociaż kilkadziesiąt tysięcy złotych oszczędności, to może bym pojechał teraz na urlop, jak król Tajlandii. On jest w Bawarii.

Czy brakuje teraz kierowców autobusów i trzeba zawieszać kursy? Marian mówi, że problem się skończył, bo kiedy zbankrutowały albo zawiesiły działalność firmy turystyczne, autobusowe linie międzynarodowe i międzymiastowe, na rynku pracy jest nadmiar kierowców autobusów.

Na pętli na warszawskim osiedlu Piaski stoją tramwaje linii 11 i 28. W jedenastce motorniczy Antoni, miły 62-latek. – Pracuję, nie mam wyjścia, bo pieniądze są potrzebne.

Codziennie dzięki 30 tys. pracowników firm kurierskich doręczane są setki tysięcy przesyłek i listów.

Poza tym ludzie muszą jakoś dojechać do pracy. Słyszałem, że w niektórych zajezdniach mają problemy z motorniczymi. Tak z ulicy przyjść do nas nie można, bo trzeba skończyć kurs – tłumaczy. – Młodzi kończą kurs, a potem uciekają, bo praca jest trudna. Firma dba o nas w czasie epidemii. Mamy płyny do dezynfekcji i rękawiczki. Szanuję tę pracę, bo zawsze w terminie jest wypłata.

Kiedy zawiesiły działalność firmy turystyczne i linie międzynarodowe, na rynku pracy jest nadmiar kierowców autobusów.

Komunikacja miejska funkcjonuje we wszystkich miastach. Jest dofinansowywana przez samorządy. Na razie stać je na to. Prezydent Warszawy, przewidując znaczne zmniejszenie liczby pasażerów w tramwajach, autobusach i metrze, próbował wprowadzić w dni powszednie sobotni rozkład jazdy, ze wzmocnieniem w godzinach szczytu, jednak ze względu na opór mieszkańców i radnych z pomysłu się wycofał.

Nie jedzie pociąg z daleka

Warszawa Centralna jest najsłynniejszym dworcem kolejowym w Polsce. Na tę stację w ciągu doby wjeżdża ponad 300 pociągów. Normalnie budynek dworcowy, podziemie handlowe i perony są wypełnione ludźmi. Teraz jednak czynne są nieliczne placówki handlowe. W podziemiach i w budynku ledwie kilka osób z bagażami. Kilku funkcjonariuszy straży kolei przygląda się potencjalnym pasażerom. Z kilkunastu kas czynne tylko trzy. Kupujących mniej niż kas.

Kobieta w informacji mówi, że odwołano wiele pociągów. Po pierwsze, międzynarodowe. Po drugie, te, w których nie było pasażerów, skoro większość ludzi siedzi w domach. Już 16 marca minister infrastruktury Andrzej Adamczyk powiedział, że jego resort pracuje z PKP Intercity, by wytypować te pociągi, których ruch zostanie ograniczony. To – jak stwierdził – wynika i z mniejszego popytu na przemieszczanie się, i z troski o zdrowie drużyn konduktorskich oraz maszynistów. Zawsze w tej branży był niedostatek rąk do pracy, a kiedy część osób musi opiekować się dziećmi, sytuacja jeszcze się pogorszyła. – Dostaliśmy informację z PKP Intercity, że w ostatnich dniach aż 75% pasażerów zrezygnowało z zakupionych biletów – powiedział wtedy minister. I zapewnił, że każdy kierunek musi być obsługiwany, choć połączeń w ciągu dnia będzie mniej. W efekcie kursuje tylko co trzeci pociąg Intercity. W Wielki Piątek do Gdańska odjechało zaledwie pięć pociągów, do Krakowa – siedem, dwa razy mniej niż normalnie. Minister kontaktował się również z marszałkami województw, którzy mają w swojej gestii połączenia regionalne. Ponieważ liczba pasażerów spadła o połowę, poszczególni marszałkowie ograniczyli liczbę pociągów. ■

Nowy numer tygodnika „NIE”:
Wojska NATO przegrały
z wirusem i z kretesem.

FOT. PIOTR SKORNICKI/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 38b889f7bb

Spekulanci, czempioni i giganci – kto zarabia na pandemii

Gospodarka zdaje się stać w miejscu. Ale to nieprawda, dla niektórych pandemia jest świetnym interesem

W ostatnich tygodniach mamy wysyp reklam rękawiczek i maseczek.

Jakub Dymek

Klikam w reklamę maseczek, która wyświetla mi się uparcie w jednym z serwisów społecznościowych. Nazwa firmy ani jej logo nic mi nie mówią, ale luźne skojarzenie podpowiada, że to raczej nie medyczny gigant. Intuicja się potwierdza – trafiam na stronę projektantki kostiumów kąpielowych, która na fali pandemii COVID-19 postanowiła dołożyć do swojego asortymentu środki higieny osobistej i akcesoria ochronne.

Kilka kliknięć szybko jednak dowodzi, że maseczki mają ograniczone zastosowanie – nie zabezpieczą przed wirusem, a jedynie higienicznie zasłonią twarz, jednorazowo. To i tak dobrze, że firma uczciwie o tym informuje. Jeden z producentów pościeli zwyczajnie zaczął ciąć tkaninę przeznaczoną na poduszki i kołdry – bo jest bezpieczna dla skóry i ma ekologiczny certyfikat – i robić z niej maseczki. Od stycznia cena maseczki chirurgicznej skoczyła nawet stukrotnie, a niektórzy za kawałek zwykłej bawełny na gumce – wcale nie skuteczniejszy od zwyczajnej chustki na szyję – kasują teraz kilkanaście lub kilkadziesiąt złotych.

Wyprodukowanie maseczki chirurgicznej kosztuje 9 gr netto, a już w lutym sprzedawano je ze stukrotnym przebiciem.

Jedni zwyczajnie próbują adaptować się do nadchodzącego kryzysu, a może i przy okazji pomóc, dostosowując produkcję do wymogów chwili. Drudzy zwietrzyli okazję. Jak pisał na stronie MedExpress.pl – w notce pod wymownym tytułem „Pazerność niekontrolowana" – dr Leszek Borkowski, wyprodukowanie maseczki chirurgicznej kosztuje 9 gr (!) netto, a już w lutym sprzedawano je ze stukrotnym przebiciem. Niektórzy potrafią i bawełnianą maseczkę, o jeszcze mniejszej przydatności, oferować za kilkanaście złotych od sztuki.

Bo jedno się nie zmienia – trzeba zarabiać, żeby żyć. Niektórzy w czasach pandemii zarobią więcej niż inni.

Nowe kształty na mapie

Nie ma nic oryginalnego w stwierdzeniu, że kryzysy, przełomy czy katastrofy to okres nie tylko masowej pauperyzacji, ale i licznych okazji do szybkiego wzbogacenia się. Dzisiejsza sytuacja jest jednak pod wieloma względami inna. To nie „typowe" załamanie gospodarki wywołane jej niewydolnością, przegrzaniem czy krachem finansowym, kryzys w kapitalizmie, jakich wiele. Obserwujemy właśnie bezprecedensowy eksperyment z natychmiastowym, awaryjnym wyhamowaniem gospodarki „w trakcie jazdy" – co i grozi wywrotką, i utrudnia podejmowanie decyzji. Wymarłe centra metropolii

eprasa.pl 38b889f7bb

– w normalnych czasach krzykliwe, rozświetlone wizytówki późnego kapitalizmu – jak w Warszawie, Rzymie i Nowym Jorku, sugerują, że nie dzieje się dosłownie nic. To jednak nie do końca prawda. Po prostu mapa kapitalizmu, przepływów gotówki i nowych zależności gospodarczych, nabiera innych kształtów.

Obecnie widać zaledwie jej zarysy i wyłaniające się tendencje czy strategie, które wpłyną na jej ostateczny kształt. Ale można już się pokusić o pewien szkic. Na bieżącej sytuacji zarabiają trzy typy podmiotów, które roboczo można nazwać spekulantami, czempionami i gigantami – pierwsi zyskają na niepewności i cudzym nieszczęściu czy upadłości, drudzy dzięki wiodącej roli lub monopolowi w czasach pandemii, trzecim zaś przysłużą się sama wielkość i nieograniczone możliwości ekspansji w przestrzeni cyfrowej, ponad granicami państw i regułami kwarantanny.

Złoto dla pośredników

Jednym ze sposobów na zarobienie w trakcie katastrofy, jest… otrzymanie publicznej pomocy. Nie chodzi, rzecz jasna, o drobnych przedsiębiorców czy jednoosobowe „firmy" ani o rządową, dziurawą jak sito tarczę antykryzysową. Mali na publicznej pomocy najczęściej nie zarobią, o ile w ogóle otrzymają w porę konieczne wsparcie. Jednak najwięksi... Ci, których rządy na świecie ratują z powodów strukturalnych, ci „za duzi, by upaść", a także ci, których rząd wybiera na operatorów, dostarczycieli albo współorganizatorów pomocy dla innych oraz najróżniejszych działań ratunkowych – oni mogą zyskać.

Przykłady? Po kryzysie finansowym z 2008 r. amerykański rząd zdecydował się na tzw. bailouty, czyli wykupywanie wielkich instytucji finansowych z kłopotów. Wiele osób straciło wtedy pracę w sektorze finansowym (przynajmniej na chwilę), a kilka instytucji rzeczywiście upadło, ale inni w tym samym czasie przejmowali ich aktywa, nieruchomości, zasoby i portfolio, już wolne od długów. Wielu prezesów i menedżerów wypłaciło sobie pod koniec roku sowite premie. Wiele firm wyszło dzięki tej olbrzymiej przecenie cudzych akcji jako większe, bogatsze i silniejsze niż kiedykolwiek.

Nie inaczej było w Europie. W Grecji podczas kryzysu w strefie euro z lat 2010-2015 trwała wymuszona unijnym planem ratunkowym prywatyzacja publicznego majątku – nieruchomości, przedsiębiorstw, a nawet państwowego totolotka. Wiele wystawionych na sprzedaż publicznych dóbr miało zaniżone ceny, bo trzeba było je sprzedać jak najszybciej, nie bacząc na długoterminowe kalkulacje. Wtedy zjawili się na miejscu chętni inwestorzy, często z chińskim paszportem, a także fundusze prywatyzacyjne i finansowe, które chętnie pośredniczyły w takich transakcjach. Czasem, dodajmy, poprzedzonych długimi kampaniami na rzecz prywatnego przejęcia tego czy innego segmentu publicznej własności przez „wolny rynek". I choć program prywatyzacji miał zasilić grecki budżet, najlepiej wyszli na nim zewnętrzni pośrednicy i operatorzy. Nieuczciwość urzędników też nie była bez znaczenia, a grecka prokuratura miała (i ma do dziś) niemało pracy w związku z ich działaniem w roli „niezależnych" nadzorców procesu prywatyzacyjnego.

Pomimo lekcji z kryzysu sprzed dekady wydaje się, że podobne zapisy i rozwiązania – pozwalające różnym „stronom trzecim" bogacić się na pośrednictwie i obrocie środkami pomocowymi – są dodawane obecnie do powstających pod presją chwili ustaw antykryzysowych. Dziennikarze zwracają już uwagę, że w USA banki mają gwarantowane w 100% przez rząd kredyty, które będą przynosić im zysk niezależnie od tego, czy zostaną ostatecznie umorzone, czy spłacone. Z kolei te pieniądze, które dziś mają trafić do firm, nie są obarczone prawie żadnymi ograniczeniami – istnieje więc ryzyko, że zamiast wspomóc pracowników lub zostać zainwestowane w rozwój, szybko wrócą na rynek finansowy, zasilając te same banki i instytucje finansowe, które je pożyczają z gwarancjami rządowymi. Firmy będą mogły emitować obligacje kryzysowe, które trafią na rynek papierów dłużnych i instrumentów finansowych. Będą nimi obracały inne firmy, inwestując w ten rynek pieniądze, które nie powędrują do realnej gospodarki ani na płace… I tak dalej. Błędne koło.

Wyspy w pustych miastach

Można też w trakcie kryzysu zostać, z państwową pomocą lub bez, *quasi*-monopolistą niezbędnych usług. Trudno w przerażającej pustce naszych miast nie zauważyć tych nielicznych sieci, które pozostają otwarte. Stacje benzynowe zyskały niezwykły impuls popytowy już po wprowadzeniu zakazu handlu w niedziele, gdy stały się jednymi z miejsc najbardziej

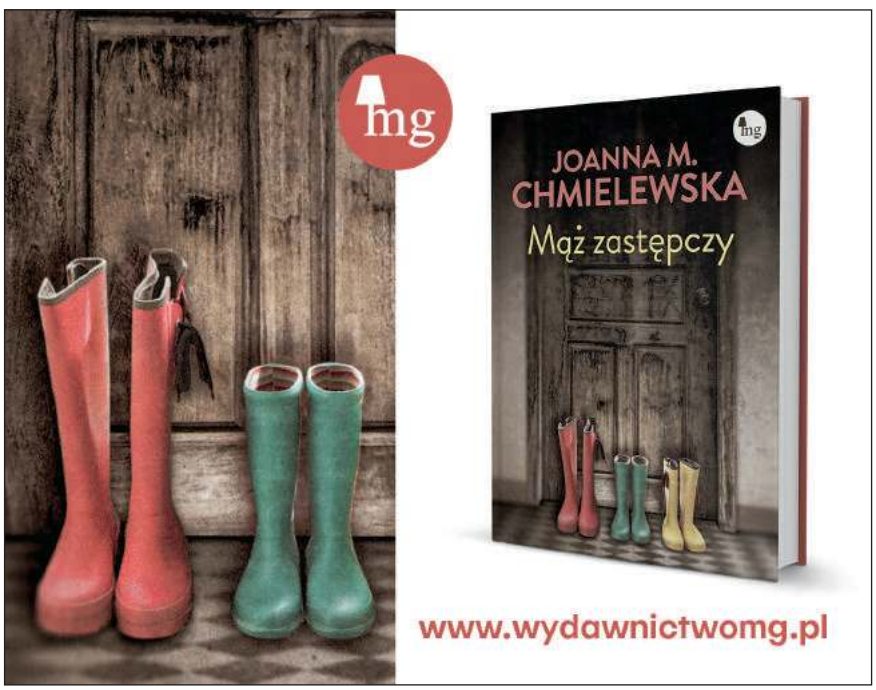

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 38b889f7bb

obleganych przez mieszczuchów w niedzielne poranki. Podobnie jak sieci detalicznych sprzedawców, którzy znaleźli kreatywne sposoby na niestosowanie się do zakazu handlu. Jedna z franczyz uczyniła wręcz wymogiem dla nowych sklepikarzy utrzymywanie ich sklepów otwartych w każdą niedzielę od rana – co dawało niezwykłą przewagę konkurencyjną nad innymi, którzy nie byli w stanie wykonać podobnego ruchu.

Dziś widać, że te punkty, które stają się swoistymi centrami usług mieszkańca, gdzie można odebrać paczkę, zjeść hot doga i zrobić niezbędne zakupy, znalazły się w wyjątkowo korzystnym dla przetrwania nadchodzącego kryzysu położeniu. Każdy rząd do ostatniego dnia będzie zwlekał z zamknięciem aptek i sklepów spożywczych, więc te stają się lokalami ostatniej szansy. To tylko przyśpiesza rozpoczęty jakiś czas temu marsz w kierunku integracji możliwie wielu usług w ramach jednej sieci – płatność rachunków, doładowanie telefonu, przesyłki pocztowe i kurier. Złośliwi mogliby dodać, że kwestią czasu jest – szczególnie po wprowadzonych przez Sejm zmianach w ordynacji – kiedy do tej palety dojdzie jeszcze głosowanie w wyborach.

Możliwość przedłużenia godzin otwarcia, rządowa tarcza antykryzysowa – stwarzająca okazję do obniżki wynagrodzeń przy jednoczesnym pobieraniu dopłat z budżetu – i powrót do rynku pracodawcy, na którym rąk do pracy jest wiele, a groźba bezrobocia duża, tworzą warunki do zdecydowanej ekspansji lub wręcz powstania mono- i oligopoli wśród sieci handlowych. W zamrożonej gospodarce ci, którzy nie tylko mają możliwość działania, ale również zdjęto im wiele poprzednich ograniczeń, są uprzywilejowani podwójnie.

Każdy rząd do ostatniego dnia będzie zwlekał z zamknięciem aptek i sklepów spożywczych, więc te stają się lokalami ostatniej szansy.

Ekranowi giganci

Skutkiem zamierającego życia na ulicach i zatrzymanego obrotu gospodarczego w tuzinach branż jest jeszcze jeden, zupełnie oczywisty w tych okolicznościach, fenomen. Przeniesienie do sieci i na platformy online wszystkiego, co tylko da się robić zdalnie lub za pomocą zdalnych narzędzi albo mobilnej sprzedaży. Pandemia przyniosła bum zarówno w gospodarce cyfrowej jako takiej, jak i w różnych usługach z osobna.

Gdy dziesiątki tysięcy firm, biur i instytucji kontynuują działalność w trybie pracy z domu, spotkania, konferencje i zebrania przeniosły się na komunikatory. Żart mówi, że cała ta zaraza to spisek firmy Zoom – najpopularniejszego dziś narzędzia do telekonferencji – której nazwa powoli staje się w powszechnej świadomości synonimem pracy online. Złote żniwa mają też inne komunikatory, zarówno ze względów zawodowych, jak i z powodu… nudy. Sieci społecznościowe takie jak Instagram, chiński TikTok (nagłośniony w Polsce przez prezydenta Dudę), nie mówiąc już o najpopularniejszych Facebooku i YouTubie, są dosłownie zalewane nowymi treściami od znudzonych i poszukujących rozrywki użytkowników. Zamknięci w domach, czasem odizolowani od bliskich, poszukujący towarzystwa i przynależności spędzamy przed telefonami uzbrojonymi w aplikacje więcej czasu, bardziej intensywnie i z większą dawką uczuciowego (i cielesnego) ekshibicjonizmu. Platformy online pośredniczą w większej liczbie codziennych czynności, bo nagle wzrosła gwałtownie np. liczba ćwiczących przed komputerami jogę, uczących się języka, próbujących swoich sił w gotowaniu i majsterkowaniu. Nierzadko z instruktorką lub instruktorem po drugiej stronie ekranu. Przy temacie intymności i ekshibicjonizmu dodać można, jakkolwiek to oczywiste, że większym zainteresowaniem – i odbiorców, i twórców – cieszy się też internetowa pornografia.

Rekordowe notowania mają te serwisy, które dostarczają nam treści pozwalających zająć czymś głowę w czasie zamknięcia. Netflix, aplikacja telewizyjna HBO GO, usługi streamingowe od Apple'a i Amazona – wszyscy mogą się pochwalić bezprecedensowymi notowaniami. Tak samo jak dostawcy gier i platformy do wspólnego grania. Największa, czyli Steam, szczyt zainteresowania odnotowała już w pierwszych miesiącach tego roku, podczas gdy normalnie występuje on pod koniec roku, gdy trwają święta, premiery mają najnowsze tytuły na rynku gier, a zimowa pogoda sprzyja zamknięciu w domu. W wielu aspektach dziś okoliczności zewnętrzne wymusiły to samo, a rynek gier przeżywa wielki skok.

To, co się dzieje, tylko przyśpiesza marsz ku integracji możliwie wielu usług w ramach jednej sieci.

Jedni i drudzy napotkają prędzej czy później problem wynikający z tego, że na platformy trzeba ciągle dostarczać nowości – bo każdy serial w końcu zostanie obejrzany – a to z powodu zawieszenia pracy planów filmowych i wstrzymanej produkcji będzie trudniejsze. To jednak dość odległa perspektywa. Na razie internetowi giganci, którzy i tak zagarniali coraz większe przestrzenie życia, dostali od rzeczywistości niespodziewany prezent. Słowem, jeśli coś można zrobić online, najpewniej w najbliższych latach będziemy to robili online.

I w tym sensie, choć dookoła zmienia się dużo, jedno jest trwałe – na powierzchni pozostają najwięksi. A fala nie podnosi – i nie zatapia – wszystkich po równo.

Jakub Dymek

eprasa.pl 38b889f7bb

Z Galicji

Jan Widacki

Koronaprezydent

PiS z koalicjantami przeforsowało ustawę o korespondencyjnych wyborach prezydenta, bardzo przy tym zachwalając ten tryb wyborów. A dopiero co prominentni działacze PiS gorliwie przekonywali, że wybory korespondencyjne są niedopuszczalne, bo łatwo je sfałszować i fałszerstwa są nie do wykrycia. Jeszcze niedawno publicznie tak twierdzili stary pisowski wyjadacz i niegdysiejszy spin doktor tej formacji Adam Bielan i młody wilk Marcin Horała.

Jarosław Kaczyński z uporem dąży do wyborów 10, a choćby i 17 maja, bo wie, że kiedy kryzys się rozleje, jego „kandydat idealny" Andrzej Duda nie będzie miał szans. Jak zawsze więc idzie po trupach, w przenośni i – niestety – dosłownie. Coraz częściej przy tej okazji wypominają mu lądowanie za wszelką cenę w Smoleńsku. O co chodzi? Przecież Jarosław Kaczyński do Smoleńska wtedy nie leciał. Jakiś telefon? Macierewicz czegoś jeszcze nie zbadał i ciągle bada? Będzie jakaś sensacja?

Wybory w szczycie epidemii to nie tylko absurd. To zbrodnia! „Spisane będą czyny i rozmowy", jak mówił poeta.

Te wybory, jeśli nawet na siłę odbędą się w maju, będą po prostu nieważne! Mam nadzieję, że zbojkotuje je większość Polaków, a przede wszystkim zbojkotują je dotychczasowi kandydaci opozycji. Łudzę się, że – po pierwsze – ogłoszą, że w tych wyborach nie będą uczestniczyć, a po drugie, wezwą do bojkotu swoich wyborców.

Ale nie jestem pewien, czy są do tego zdolni. Nie jestem pewien, czy opozycyjnym kandydatom i ich partiom wystarczy rozumu i charakteru. O brakach tego pierwszego świadczy niedawna wypowiedź przepoczciwego i szlachetnego Bogdana Borusewicza, którego w stan podniecenia wprawiły nawet tandetne hamletyzowania Gowina. Gdy pół Polski z Gowina się śmiało, Borusewicz proponował go na… premiera!

Gowin, jak zwykle, chciał odegrać historyczną rolę. Jak kiedyś głosował za łajdactwem, ale się nie cieszył, tak ostatnio przy innym łajdactwie sam wstrzymał się od głosu, ale swoich (?) posłów namawiał, aby zagłosowali za. Wniosek z tego taki: albo Gowin cierpi na schizofrenię, albo nie panuje nad swoim Porozumieniem. Wprawdzie namaszczona na jego następczynię pani Jadwiga Emilewicz zapewniła, że zmiana ról niczego nie zmieni, bo posłowie Porozumienia „będą wykonywać wolę prezesa Gowina", ale wzbudzić to musiało kolejne zdumienie: wola prezesa *suprema lex*?

Żałosna ta pani Emilewicz. Jeszcze nie dostała nominacji na wicepremiera i ministra nauki (i nie wiem, czy i kiedy dostanie), a już hardo i arogancko – nawiasem mówiąc, też niezbyt mądrze – odpowiadała prowadzącej z nią wywiad dziennikarce. A później pomylił się jej stan klęski żywiołowej ze stanem wojennym. Już widziała ulice pełne wojska. Wystraszyła się chyba, że gen. Jaruzelski stanie na czele.

Jak na ministra to dość kompromitujące nie odróżniać trzech stanów nadzwyczajnych opisanych w konstytucji. A są to: stan wojenny, stan wyjątkowy i stan klęski żywiołowej. PiS nie wprowadziło żadnego z nich, ale z pomocą głosów opozycji (wstyd!) wprowadziło nieznany konstytucji stan epidemii. W tym stanie, aktualnie nam panującym, ograniczenia swobód obywatelskich są większe niż w konstytucyjnych stanach nadzwyczajnych. Nie ma za to dwóch konsekwencji, które przy stanach nadzwyczajnych opisanych w ustawie zasadniczej są obowiązkowe: nie wolno w ich czasie przeprowadzać wyborów i obywatelom należą się rekompensaty od rządu za straty poniesione w trakcie stanu nadzwyczajnego. PiS nie chce ani przesunięcia terminu wyborów prezydenckich, ani wypłacania odszkodowań. Jakieś ich żałosne namiastki wymyśla premier Morawiecki i jeszcze każe się chwalić, że taki dla ludzi dobry. Z tych powodów PiS uporczywie wzbrania się przed wprowadzeniem stanu klęski żywiołowej.

Odszkodowania za stan klęski żywiołowej wypłaca się latami, jedynie część w gotówce, resztę w obligacjach i akcjach państwowych firm.

Tandetnie hamletyzujący Gowin mówi, że budżetu państwa nie stać na odszkodowania. Myśli zapewne, że musiałyby być wypłacone w gotówce, od razu po zakończeniu klęski żywiołowej. Nigdy i nigdzie tak nie było. Takie odszkodowania wypłaca się latami, jedynie część w gotówce, część w obligacjach, a część w akcjach państwowych firm.

Niech robią wybory prezydenckie w maju. Niech sobie wygrywa koronaprezydent Duda. Przy jednoznacznej postawie opozycji, przy społecznym bojkocie tych wyborów nikt nie uzna. A reakcja na kryzys, na którą nie trzeba będzie długo czekać, i tak przebuduje polską scenę polityczną.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 38b889f7bb

Maturzyści poszli do sądu

Uczniowie klas maturalnych i rodzice ósmoklasistów pozywają rządzących

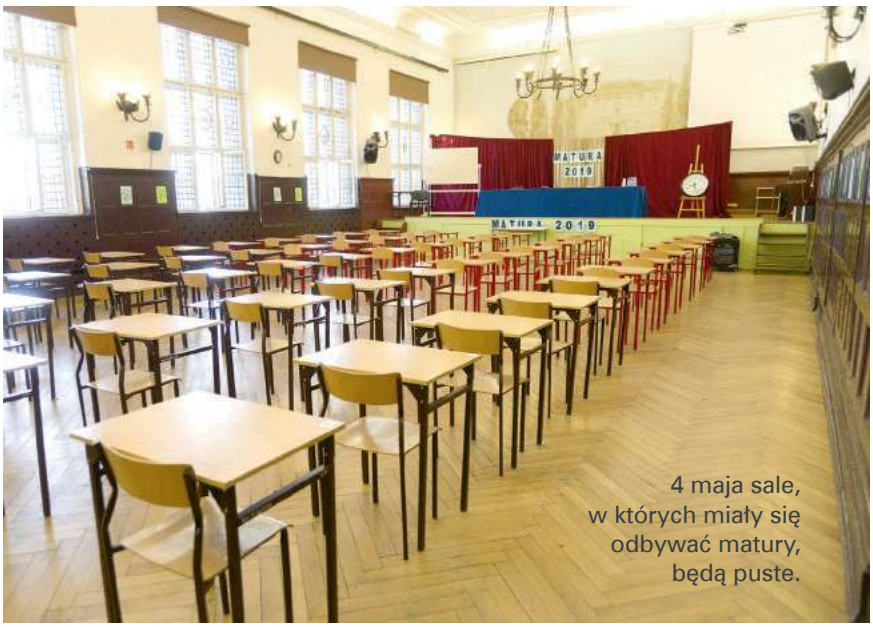

4 maja sale, w których miały się odbywać matury, będą puste.

Edyta Kolasińska-Bazan

Dopiero w ostatni czwartek 250 tys. maturzystów i 350 tys. uczniów klas ósmych usłyszało, że nie będą musieli zdawać egzaminów w szczycie pandemii. Premier Mateusz Morawiecki oświadczył, że odbędą się one najwcześniej w drugiej połowie czerwca. O dokładnym terminie uczniowie dowiedzą się trzy tygodnie wcześniej. Czy nie można było podjąć tych decyzji wcześniej? Czyżby rząd przestraszył się dopiero pozwów złożonych przez maturzystów i rodziców ósmoklasistów.

Ruch Protestujących Maturzystów

Utworzony w przestrzeni wirtualnej ogólnopolski nieformalny Ruch Protestujących Maturzystów 7 kwietnia wystąpił do Sądu Okręgowego w Warszawie z wnioskiem o zobowiązanie Rady Ministrów oraz Ministerstwa Edukacji Narodowej do podjęcia działań w celu ochrony prawa do życia i zdrowia uczniów oraz nauczycieli, którzy mieliby uczestniczyć w egzaminach. Inaczej mówiąc, chodziło o wstrzymanie procesu przygotowania matur w ogłoszonym wcześniej terminie, czyli od 4 do 21 maja. Jak uzasadniali maturzyści, z powodu koronawirusa w niebezpieczeństwie znajdą się nie tylko oni, ale także członkowie komisji egzaminacyjnych.

Złożenie wniosku to nie pierwsze działanie młodych ludzi. 30 marca wystosowali list do premiera i ministra edukacji narodowej. Zaczynał się on żądaniem: „Domagamy się ogłoszenia przez rząd jasnego stanowiska w sprawie terminów matur, biorąc pod uwagę niebezpieczeństwo związane z pandemią". Do listu dołączonych zostało 20 tys. podpisów (8 kwietnia podpisów było już ponad 44 tys. – przyp. aut.). Przez tydzień ani nie dostali odpowiedzi, ani rząd nie podjął jasnych decyzji. Stąd pozew. Jeśli i on nie odniesie skutku, maturzyści zamierzają wystąpić do sądu z powództwem o ochronę życia i zdrowia przeciwko tym, którzy w nieludzki sposób odwlekają rozstrzygnięcie kwestii egzaminów.

Podobny problem dotyczy ósmoklasistów, których egzaminy końcowe zaplanowano jeszcze wcześniej. Mając świadomość podobieństwa sytuacji, ich rodzice również – tyle że indywidualnie – składają do wnioski sądów.

Z apelem o przesunięcie terminów egzaminów zewnętrznych w szkołach podstawowych i ponadpodstawowych 26 marca zwrócił się do premiera Mateusza Morawieckiego także prezydent stolicy Rafał Trzaskowski. W Warszawie problem dotyczy prawie 15 tys. uczniów VIII klas szkół podstawowych oraz ponad 16 tys. maturzystów. Jak informuje wiceprezydent Warszawy Renata Kaznowska, do 8 kwietnia również Rafał Trzaskowski nie otrzymał odpowiedzi.

Czekając na decyzję rządu

Młodzi ludzie z Ruchu Protestujących Maturzystów działają na Facebooku, Instagramie i Twitterze. Mają poza tym swoją stronę internetową. Dzielą się odczuciami i obawami. – Jest mi zwyczajnie przykro. Ignorancja rządzących nam uwłacza – stwierdza Wiktoria Jędroszkowiak, związana z grupą RPM maturzystka z II LO w Poznaniu. – Ignoruje się ogromną część społeczeństwa, także lokalne władze, związki zawodowe. Z ust rządzących – w tym ministra Piontkowskiego – słyszymy tylko słowa pogardy.

Krysia Zajkowska z 21. Społecznego Liceum Ogólnokształcącego im. Jerzego Grotowskiego w Warszawie, aktorka musicalowa związana ze Śródmiejskim Teatrem Muzycznym, ocenia sytuację jednoznacznie: – Uważam, że matura bez zmiany terminu jest nieodpowiedzialnym działaniem ze strony rządu. Zwłaszcza że naukowcy przewidują szczyt zachorowań na ten właśnie okres. Chciałabym uniknąć sytuacji, w której nasza matura zostanie odwołana tydzień przed. Doceniam determinację i starania moich nauczycieli.

Na psychikę młodzieży wpływa nie tylko niepewność dotycząca terminu matury, ale w ogóle wszystko, co się wokół dzieje. Natalia Pieprz z III LO w Gdańsku: – Strach o bliskich,

eprasa.pl 38b889f7bb

niepewność własnej przyszłości, totalna izolacja od normalnego życia, wizja kryzysu po zakończeniu pandemii... A od nas oczekuje się 100% motywacji, maksymalnego wykorzystania czasu kwarantanny i stanu pełnej gotowości, „gdy tylko dadzą nam znać". I milczą… Zjada mnie niepewność. Siadam do książek i gapię się w ścianę. Boję się, że przez czyjeś irracjonalne wymysły zaprzepaszczę ostatnie trzy lata mojej ciężkiej pracy.

– Mierzenie się jednocześnie z pandemią i ze stresem maturalnym jest ponad siły – potwierdza Zuzanna Odrzywołek z II LO im. Czesława Miłosza w Jaworznie. – Niepewność jest dla nas podwójnie szkodliwa; stres narasta, motywacja spada, nie wiemy, jak zaplanować najbliższe miesiące, które są kluczowe w naszym życiu. Zasługujemy na poważne traktowanie!

Przygotowaniu do matury nie sprzyja zdalne nauczanie. – Całe dnie przed komputerem – to źle wpływa na samopoczucie, zdrowie (mam wadę wzroku – oczy strasznie na tym cierpią) – skarży się Patrycja Kędzierska z XXXIX LO im. Lotnictwa Polskiego w Warszawie. – Ogromna jest też tęsknota za bliskimi. Minister ma nas za ludzi ze stali i mówi, że powinniśmy być zawsze przygotowani na egzamin dojrzałości. Nikogo nie obchodzą nasze uczucia, stres. Przecież jesteśmy już dorosłymi ludźmi, wielu z nas – jak ja – pracuje. Jak mam sobie planować życie, studia, pracę, jeżeli nie wiem, czy i kiedy odbędzie się matura?! Niech wreszcie podejmą decyzję, w końcu po to powinna być władza w kraju!

– Trzymanie nas w niepewności i wielkim stresie jest nie fair – podkreśla Paweł Romańczuk z Olsztyna.

– Czasu jest coraz mniej. E-lekcje nie są najlepszą formą przygotowania się do matury – zwraca uwagę związana z RPM maturzystka i youtuberka Wiktoria (optymistkavlog) z Chorzowa. – Obawiam się, że tegoroczne wyniki egzaminów mogą być o wiele gorsze niż w latach ubiegłych.

Andrzejowi Tkaczowi z VIII LO im. Władysława IV w Warszawie zdalna nauka wprawdzie nie przeszkadza, ale udziela mu się ogólna atmosfera: – E-nauczanie pozwala zaplanować dzień, nie traci się czasu na dojazdy, nie trzeba rano wstawać. Z drugiej strony ogólnospołeczny niepokój przenosi się i na mnie. Brak możliwości spotkania się z przyjaciółmi, strach o babcie i dziadków, brak informacji na temat egzaminu maturalnego – to wszystko stresuje. Rząd powinien rozwiać wszelkie nasze wątpliwości, podejmując jasne decyzje.

Brak rozstrzygnięć co do formy i terminu przeprowadzenia matury niepokoi Weronikę z Zespołu Szkół im. Stanisława Staszica w Miętnem: – Czuję silną presję czasu i niepewność. Moi rodzice też się martwią.

Związana z RPM Agnieszka z Chorzowa zapewnia, że uczy się tak, jakby maturę miała pisać planowo, w maju. – Mam nadzieję, że matury się odbędą, nieważne, czy w maju, czy we wrześniu, a rekrutacja na studia przebiegnie bez większych problemów – mówi.

Bo sama matura to jedno, a rekrutacja to drugie. – Na przykład konkurs świadectw jest najbardziej niesprawiedliwym sposobem rekrutacji na studia, ma najmniejsze przełożenie na faktyczną wiedzę. Przecież oceny są subiektywne – stwierdza Julia Cygan z III LO w Opolu.

Jedni ignorują, drudzy wspierają

Na rządzących maturzyści i ósmoklasiści nie mogą liczyć. Ale rozumieją ich nauczyciele, psycholodzy i samorządowcy. – Absolutnie nieludzkie jest to, że młodzież klas VIII i maturzyści wciąż nie wiedzą, co ich czeka – uważa wiceprezydent Warszawy Renata Kaznowska. – Narastająca atmosfera lęku o zdrowie własne i najbliższych oraz konieczność przebywania w domach bez kontaktu z rówieśnikami w realnym świecie negatywnie wpływają na kondycję psychofizyczną dzieci i młodzieży.

– Skandaliczne jest utrzymywanie terminu matur bez jakiejkolwiek refleksji na temat stanu psychicznego uczniów – ocenia Małgorzata Staszewska, polonistka z XXXIX LO im. Lotnictwa Polskiego w Warszawie. – Nieporozumieniem była matura próbna, podczas której potraktowano maturzystów niepoważnie – skopiowano arkusze z poprzednich lat, prezentując je jako nowe. Milczenie ministra edukacji jest tak samo irytujące jak brak propozycji realnych rozwiązań. Wspieram swoich uczniów, jak mogę.

Olimpia Rumianowska-Zapiór, dyrektorka Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej Nr 21 w Warszawie, zwraca uwagę, że młodzi ludzie są w kryzysie nie tylko ze względu na egzaminy. – Przecież to przełomowe momenty w ich życiu, mające wpływ na dalsze losy. Rośnie również napięcie związane z poczuciem zagrożenia, niepewnością o zdrowie własne i bliskich. Nienaturalną sytuacją jest ograniczony kontakt z rówieśnikami. W takich warunkach poziom stresu staje się tak wysoki, że nie może być mowy o efektywnej nauce. Psychicznie ósmoklasiści i maturzyści mają prawo być mniej odporni niż dorosły człowiek. Dodatkowym obciążeniem jest obecna sytuacja domowa – rodziny zmagają się z niepewnością jutra, utratą dochodów, chorobą bliskich lub izolacją podczas kwarantanny. Wiele rodzin jest w kryzysie, potrzebuje wsparcia.

Co więc mają robić maturzyści i ósmoklasiści? Jolanta Bylica, psycholog i terapeuta, radzi: – Powinni koncentrować się na obszarach, na które mają wpływ: porządkowaniu i utrwalaniu wiedzy, byciu w zdalnym kontakcie z rówieśnikami i nauczycielami. Powinni rozmawiać z bliskimi, a gdy czują taką potrzebę, szukać wsparcia u specjalistów. To wzmacnia.

List maturzystów dostępny jest pod linkiem: naszademokracja.pl/petitions/list-maturzystow-do-rzadu

Maturzystka z Jaworzna: Mierzenie się jednocześnie z pandemią i ze stresem maturalnym jest ponad siły.

Maturzystka z Warszawy: Minister ma nas za ludzi ze stali i mówi, że powinniśmy być zawsze przygotowani na egzamin dojrzałości.

FOT. ANNA BOBROWSKA/KFP/REPORTER

eprasa.pl 38b889f7bb

Chałupnicza walka z pandemią

Maski z Decathlona i przyłbice z drukarek 3D służą lekarzom do ochrony przed wirusem

Rozmawia
Małgorzata Szczepańska-Piszcz

BARTOSZ FIAŁEK
– przewodniczący regionu kujawsko-pomorskiego Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Lekarzy, szef grupy specjalnej OZZL zajmującej się ochroną praw pracowniczych lekarzy.

Na co skarżą się lekarze swoim związkom zawodowym na początku pandemii COVID-19?

– Przede wszystkim – oceniam, że to aż ok. 90% – skargi dotyczą drastycznych braków środków ochrony indywidualnej, czyli masek, maseczek chirurgicznych, okularów, kombinezonów. Doskonale wiemy, że ten koronawirus jest bardziej zaraźliwy niż wirus grypy (choć mniej zaraźliwy niż wirus odry) i bardziej śmiercionośny. Przenosi się drogą kropelkową. Jedynym sposobem, żeby personel medyczny mógł się zabezpieczyć i nie zachorować, nie umrzeć, jest używanie pełnych pakietów ochronnych. A ich najczęściej nie ma.

Porównuje pan lekarzy i pielęgniarki do robotników, którym kazano sprzątać po wybuchu reaktora w Czarnobylu bez żadnych zabezpieczeń.

– Zwykle personel medyczny otrzymuje maseczkę chirurgiczną i fartuch fizelinowy, czyli zestaw, który w małym stopniu chroni przed koronawirusem. Do efektywnego zabezpieczenia potrzeba okularów i maski (zabezpieczają śluzówkę oka oraz usta i nos przed wniknięciem wirusa), a także kombinezonu ochronnego, niepozwalającego osadzić się wirusowi na prywatnej odzieży, skąd łatwo go przenieść do ust, oczu czy nosa. Okularów i kombinezonów brakuje najbardziej.

Czyli te maseczki, które szyje medykom i sobie cała Polska, gdzieś w prywatnych mieszkaniach na prywatnych maszynach, to bardziej pomoc psychologiczna niż realna?

– Nawet takie maseczki są pomocne. Czytałem w amerykańskim piśmiennictwie naukowym o badaniach, z których jasno wynikało, że lepiej osłaniać usta i nos szalikiem niż niczym. Bo to jednak jest jakaś ochrona, choć mocno niedoskonała. Od szalika lepsza jest zwykła maseczka chirurgiczna. A ponieważ państwo się nie sprawdziło i nie dostarczyło nam w wystarczającym stopniu zabezpieczenia, to lepsze są takie szyte chałupniczo maseczki niż żadne. Niemalże pełną ochronę dają maski z filtrem FFP3, które mają tak niską przepuszczalność, że nawet kichnięcie pacjenta zarażonego koronawirusem nie jest straszne. Oczywiście pod warunkiem, że oprócz takiej maski mamy również kombinezon i okulary.

To prawda, że zgodnie z prawem personel medyczny nie może z powodu braku maseczek, kombinezonów czy rękawiczek ochronnych odmówić wykonywania zadań?

– Niestety, to prawda. Wprawdzie art. 210 Kodeksu pracy w ust. 1 mówi, że gdy warunki pracy zagrażają zdrowiu lub życiu pracownika albo są niezgodne z bezpieczeństwem i higieną pracy, może on odmówić wykonywania obowiązków służbowych, ale już w ust. 5 zapisano, że osoby pracujące przy ratowaniu życia i mienia są z tego grona wykluczone.

Rozumiem, że w środku pandemii może zabraknąć w szpitalach masek czy kombinezonów, ale u nas, na długo zanim w województwie kujawsko-pomorskim pojawił się pierwszy pacjent zarażony koronawirusem, w bydgoskim szpitalu zakaźnym zabrakło nawet maseczek. I to nie był odosobniony przypadek.

– Świadczy to tylko o niedobrym zarządzaniu w szpitalach, zgodnie z zasadą: jakoś to będzie. I jakoś jest, dopóki nie przychodzi kryzys. Wówczas wszystko się sypie. Cała ochrona zdrowia od lat tańczy na cienkiej linie. Zanim pojawił się koronawirus, pracowałem w SOR w dużym szpitalu klinicznym i wiele razy, rozpoczynając dyżur, modliłem się, żeby mi nie przywieźli pacjenta niewydolnego oddechowo, bo mam tylko jeden respirator, i to transportowy. Jeśli taki pacjent zostałby przywieziony, musiałby czekać, aż zwolni się respirator stacjonarny. A jak wiemy, nastąpi to dopiero wtedy, gdy któryś z pacjentów podłączonych do takiego sprzętu umrze. Po prostu cała ochrona zdrowia była niewydolna od dawna. Kryzys jeszcze bardziej ujawnił braki. Z koronawirusem można walczyć skutecznie i nie pozwolić mu na rozprzestrzenianie się. Pokazuje to przykład Tajwanu, ale do tego potrzeba sprawnych procedur i systemu gotowego na walkę z epidemią. W Polsce w ogóle nie przygotowu-

eprasa.pl 38b889f7bb

jemy się na sytuacje nadzwyczajne. A przecież, gdy zarządza się szpitalem, wypadałoby się przygotować również na gorsze czasy i zapewnić pracownikom coś więcej niż maseczkę i fizelinowy fartuch.

Czyli jesteśmy teraz skazani na chałupnictwo: szycie maseczek po domach, produkowanie plastikowych przyłbic na drukarkach 3D. Gdzieś medycy przerabiają nawet sprzęt do nurkowania na potrzeby walki z koronawirusem.

– Dochodzą do mnie sygnały, że maski z Decathlona są przerabiane na coś, co pozwoli ochronić oczy. Gumki uszczelki z Castoramy dołączane są do chałupniczo tłoczonych przyłbic z plastiku. Słyszałem, że na drukarkach 3D robione są także specjalne filtry – rozgałęźniki do respiratorów, które pozwalają jednemu respiratorowi podawać tlen nawet kilku pacjentom naraz.

Jaką ochronę zapewniają takie przyłbice?

– Przyłbice nie przylegają co ciała, odstają. Dlatego bardziej nadają się do ochrony oczu przed drzazgami podczas piłowania drewna niż przed wirusami i innymi patogenami. Ale gdy nie ma specjalnych okularów, lepsza jest plastikowa przyłbica niż nic. A to wymuszone chałupnictwo kwitnie – co warto podkreślić – gdy najgorsze jeszcze przed nami, gdy epidemia w Polsce dopiero startuje. Teraz jest właśnie ten moment. Obecnie mamy ok. 5 tys.* potwierdzonych zakażeń. I za chwilę się okaże, czy krzywa pandemiczna pójdzie dalej wysoko, czy może dzięki kwarantannie i innym restrykcjom uda się ten wykres wypłaszczyć.

Jednak wypłaszczenie krzywej zależy nie tylko od zatrzymania ludzi w domach, ale również – jak twierdzi WHO – od wczesnego wyłapywania ludzi zarażonych, czyli testowania. A z tym jest kiepsko.

– Niestety, u nas nawet niektórzy lekarze są przeciw masowemu testowaniu. Oczywiście nie chodzi o to, żeby przebadać wszystkich Polaków. Ale jeśli w kwarantannie i pod nadzorem epidemiologicznym jest dziś ponad 180 tys.* osób, to wszyscy ci ludzie powinni zostać obowiązkowo przetestowani. Bo jeśli trafili do kwarantanny czy pod nadzór, to znaczy, że ten kontakt z koronawirusem z dużym prawdopodobieństwem nastąpił. A my zadowalamy się testowaniem tylko tych, którzy mają objawy choroby i jednocześnie potwierdzony kontakt z wirusem. W rezultacie w prawie 38-milionowej populacji Polaków przeprowadzono ledwo ok. 92 tys.* testów. A WHO nawołuje: testować, testować i jeszcze raz testować. Namawia z prostej przyczyny – bo, wiemy to na pewno, zarażają także ludzie, którzy nie mają objawów zakażenia. Dokładniej mówiąc, człowiek może zarażać już po drugim dniu od zakażenia. A pierwsze objawy infekcji koronawirusem SARS-CoV-2 pojawiają się średnio po pięciu dniach. Przez trzy dni człowiek chodzi i zaraża, nie mając o tym pojęcia. Nie wystarczy zatem izolować tych, którzy mają objawy choroby. Trzeba wyłapywać również bezobjawowych nosicieli. A temu służą testy.

90% skarg lekarzy dotyczy drastycznych braków środków ochrony indywidualnej: masek, okularów, kombinezonów.

W mojej ocenie liczba zarażonych i ofiar śmiertelnych koronawirusa jest zdecydowanie niedoszacowana.

Na forach sfrustrowani medycy piszą, że rzetelnego obrazu epidemii nikt nie zna, bo krajowe statystyki są mało wiarygodne, nie pasują do tego, co oni obserwują w szpitalach.

– Ministerstwo Zdrowia musi sobie odpowiedzieć na pytanie, czy chcemy ładnych, czy rzetelnych statystyk. W mojej ocenie liczba zarażonych i ofiar śmiertelnych koronawirusa jest zdecydowanie niedoszacowana. Na przykład dlatego, że nie badamy zmarłych w kierunku koronawirusa, nawet gdy taka osoba była w kwarantannie. A robią to inne kraje, chociażby Włochy. Dlatego nasze statystyki są nieporównywalne. Wszystko wskazuje, że zależy nam na ładnych statystykach, a nie na prawdzie.

Chin też na początku nie interesowała prawda.

– Jedną z głównych przyczyn wybuchu pandemii na świecie była chińska polityka po pierwszych zachorowaniach na COVID-19. Władze na wiele sposobów uciszały lekarzy, którzy nawzajem informowali się o nowym wirusie. Zarzucały im sianie paniki. Gdyby rządzący, zamiast gnębić lekarzy, wcześniej zaczęli walczyć z wirusem, do pandemii by nie doszło. Tuszowanie, zatajanie, uciszanie to nie są dobre metody walki z wirusami.

U nas też zaczyna się uciszanie służb medycznych. Symptomatyczne jest zwolnienie położnej z Nowego Targu skarżącej się w internecie na brak maseczek oraz pismo wiceminister Józefy Szczurek-Żelazko do wojewódzkich konsultantów, zabraniające im wypowiadania się na tematy związane z koronawirusem.

– W dodatku – zgodnie z tym pismem – nawet krajowi konsultanci mogą się wypowiadać jedynie po uzgodnieniu z ministrem zdrowia i głównym inspektorem sanitarnym. Przed tą sytuacją dziennie dostawałem po 20-30 sygnałów o różnych nieprawidłowościach. Po zwolnieniu położnej i następnie kolejnego pracownika ochrony zdrowia z podobnego powodu, mało kto informuje mnie o nieprawidłowościach. Choć oczywiście zapewniamy całkowitą anonimowość. Dostałem za to informacje, że dyrektorzy szpitali zakazują pracownikom wypowiadania się, pod groźbą upomnień i nagan, które zostają w aktach. Ale co się dziwić, skoro dyrektor szpitala w Nowym Targu nie zawahał się zastosować wobec podwładnej kary najwyższej – zwolnienia dyscyplinarnego, zarzucając jej mówienie nieprawdy i sianie paniki.

To zwyczajne zastraszanie.

– W reakcji na to Helsińska Fundacja Praw Człowieka już wystosowała apel do rządu, żeby nie ograniczać personelowi medycznemu wolności słowa, którą gwarantuje art. 54 konstytucji.

*dane z 7 kwietnia ■

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 38b889f7bb

Przez kwarantannę droga do ojczyzny

W ośrodku jest dwóch mężczyzn, których żony nie wpuściły do mieszkania w obawie przed koronawirusem

Ewa Smolińska-Borecka

Na Mazowszu funkcjonuje 86 ośrodków kwarantanny zbiorowej. Powołano je do życia *ad hoc*, kiedy rząd 13 marca ogłosił, że Polacy wracający do kraju muszą się poddać kwarantannie. Po dziesięciu dniach, kiedy w województwie mazowieckim w zamknięciu było 159 osób, ok. 30% poddanych kwarantannie przebywało w ośrodku w Starej Dąbrowie. Na portalach internetowych ukazały się o nim niepochlebne opinie. Nie wiadomo, kto je umieścił, bo autor był anonimowy.

W każdym razie z opisu wynikało, że w ośrodku źle się dzieje. Autor wpisu alarmował, że ludzie mieszkają nawet w pięcioosobowych pokojach, co w przypadku odbywania kwarantanny jest poważnym błędem, bo powinni być odizolowani. Że w niektórych pokojach śpią na piętrowych łóżkach. Że na kilkadziesiąt osób jest jeden płyn dezynfekujący i jeden termometr. Że tylko w niektórych pokojach są łazienki, więc część ludzi musi korzystać z łazienek zbiorowych, na które przypada nawet kilkanaście osób. W dodatku miejscowi nie są życzliwie nastawieni do mieszkańców ośrodka, bo obawiają się, że przywloką do wsi zarazę. Skarżyli się też, że ludzie z kwarantanny maseczkami na twarzach straszą dzieci.

Czyli dramat. Pojechałam to sprawdzić.

Fałszywy alarm

Stara Dąbrowa. Wieś jakby zatopiona w Kampinoskim Parku Narodowym. Rozciągnięta wzdłuż drogi jak szczerbaty grzebień, bo działki z domami przegrodzone są tymi, które już wchłonął park. I z czasem pewnie miejscowość zniknie z mapy. Wtedy zostaną jedynie przydrożne kapliczki, kilkumetrowy krzyż i ośrodek Związku Harcerstwa Polskiego.

Brama półotwarta, ale i tak nikt nie próbuje tu wchodzić, napis ostrzega, że za nią zaczyna się teren kwarantanny. Mieszkańcy ośrodka też nie próbują wychodzić, choć nie byłoby to trudne. Musieli dać się zamknąć dla dobra swojego i społecznego. Jest 30 marca. Dziś właśnie pierwsza zamknięta tu kobieta po 14 dniach opuściła ośrodek. Pozostało 49 osób. Dziesięć kolejnych zakończy pobyt nazajutrz. Na ich miejsce zapewne przyjadą następni, bo Polacy wciąż wracają do ojczyzny. Niektórzy są skazani na takie właśnie ośrodki.

Za ogrodzeniem w zadrzewionym parku kobieta i mężczyzna. Nie zbliżają się do siebie. Spacerują, rozmawiając przez telefon. Gdy próbuję do nich zagadać, szybko wchodzą do budynku. Dlaczego nie chcą rozmawiać? To przecież okazja, by poskarżyć się na opisane na portalach warunki. Widzę twarze w oknach. Ktoś wychodzi przed budynek, ale nie zbliża się w moim kierunku. Nie rezygnuję. W końcu jest! Młody mężczyzna idzie ku bramie, zatrzymuje się w bezpiecznej kilkumetrowej odległości.

Dominik Domińczak nie jest na kwarantannie. Jest szefem bazy. W ośrodku pracuje jako wolontariusz. Zapytany, dlaczego ludzie nie chcą rozmawiać, odpowiada, że nie ufają dziennikarzom. Po tym jak przeczytali o ośrodku na portalach, byli bardzo wzburzeni. Ich życie na kwarantannie podobno wygląda zupełnie inaczej, niż to opisano. Muszę mu wierzyć na słowo, bo – co oczywiste – wejść do środka nie mogę.

Zaczęło się od telefonu. W sobotę wieczorem, 14 marca, zadzwonił do Domińczaka ktoś z Centrum Zarządzania Kryzysowego Wojewody Mazowieckiego. Powiedział, że w tempie błyskawicznym muszą stworzyć ośrodek kwarantanny zbiorowej, i spytał, czy w tej harcerskiej bazie nie dałoby się tego zrobić. Sanepidy zaproponowały różne miejsca na tego rodzaju ośrodki, np. szkoły i hotele. Ale wszystkie zaproponowane hotele odmówiły z obawy przed zakażeniem. A szkoły? Owszem, z powodu zawieszenia lekcji są puste, ale jak tu z marszu zorganizować ośrodek w szkole, w której są tylko ławki i tablice?

Alarmistyczne doniesienia o złych warunkach w ośrodku w Starej Dąbrowie okazały się nieprawdziwe.

– To był taki moment, kiedy byliśmy w kropce – wspomina Domińczak. – Właśnie w sobotę miało się rozpocząć szkolenie dla wolontariuszy, ale z powodu rozporządzenia ministra zdrowia zostało odwołane. Ośrodek był więc gotowy na przyjęcie gości, wszystko było wysprzątane, pościel powleczona, zapasy żywności zrobione. I nagle ten telefon w sprawie ośrodka kwarantanny zbiorowej. Postanowiłem, że się zgodzę i poprowadzę ten ośrodek.

Czy się bał? Oczywiście, że tak. Ale pomyślał, że przecież ktoś musi

eprasa.pl 38b889f7bb

opiekować się ludźmi na kwarantannie. Do pomocy ma dwie osoby – stałych pracowników ośrodka. Pani Bożena, kucharka, przychodzi na osiem godzin, używa wejścia z drugiej strony budynku, z nikim się nie kontaktuje. Jedzenie wystawia przez okienko. Potrafi sama przygotować posiłki nawet dla stu osób, więc te 50 na kwarantannie to dla niej małe piwo. Rano zawsze pieczywo białe i ciemne, jakieś wędliny, twarożek, pomidory, papryka i coś ciepłego, np. jajecznica albo parówki. Na obiad zupa i drugie. Dziś pieczarkowa, na drugie ryż z potrawką z kurczaka i surówką z kiszonej kapusty. Kolacja podobnie jak śniadanie, ale bez ciepłego dodatku.

– Kiedy są u nas szkolenia, jest szwedzki stół, więc każdy nakłada sobie tyle, ile chce – tłumaczy Domińczak. – Teraz jest inna sytuacja, bo wszyscy jedzą posiłki w pokojach, a porcje nakłada pan Erwin. Nie ograniczamy ilości jedzenia, ale uprzedzamy, że wszystko trzeba zjeść, żeby się nie marnowało.

Pan Erwin to człowiek od wszystkiego. On odbiera posiłki z kuchennego okienka, roznosi je, zbiera naczynia, sprząta korytarze i łazienki (pokoje sprzątają i odkażają sami mieszkańcy), robi drobne naprawy. Pan Erwin i Domińczak poruszają się po ośrodku w białych fizelinowych kombinezonach, maskach i rękawiczkach, żeby się nie zarazić, choć teoretycznie wszyscy są zdrowi. Przez dwa tygodnie działania ośrodka tylko raz była wzywana karetka, bo temperatura u jednego z mężczyzn skoczyła do 37,7 st. C i było podejrzenie, że jest zarażony koronawirusem. Ratownicy przyjechali ubrani w czerwone kombinezony, jak do chorego. Ale jak pacjent dojechał do szpitala, to temperatura mu spadła i miał tylko 37,0 st. C. Lekarz powiedział, że być może podskoczyła z powodu stresu. Do 30 marca w Starej Dąbrowie nie stwierdzono więc ani jednego przypadku zakażenia.

Dominik Domińczak: – Mieliśmy rozpocząć szkolenie dla wolontariuszy, ale zostało odwołane. Postanowiłem, że poprowadzę ten ośrodek kwarantanny zbiorowej.

Dementi

Dominik Domińczak chciałby zdementować niektóre informacje publikowane na portalach na temat ośrodka. Po pierwsze, nieprawdą jest, że ludzie mieszkają w pokojach po pięć osób i śpią na piętrowych łóżkach. Maksymalnie w pokoju są trzy osoby, tylko w jednym mieszka czterech mężczyzn, ale pokój mają ogromny, bo przeznaczony dla 12 osób. I razem kwateruje się osoby, które przyjechały tym samym transportem, czyli mogły wcześniej się pozarażać, lub są rodziną – jest tu jedno małżeństwo z dziewięcioletnim synem Frankiem. – O, ten pan z piłką to właśnie tata Franka. Będzie z synem grał w nogę – wyjaśnia Domińczak. A jest gdzie grać, bo za budynkiem przestrzeni do uprawiania sportu dużo.

Po drugie, to nieprawda, że w ośrodku jest tylko jeden pojemnik z płynem do dezynfekcji rąk dla wszystkich. Jeden pojemnik przypada na trzy osoby. Owszem, są łazienki zbiorowe, ale nie korzysta z nich kilkanaście osób, jak pisano na portalu, tylko dwa pokoje, czyli najwyżej sześć osób. Łazienki są regularnie sprzątane i dezynfekowane przez pana Erwina, a każdy – tak na wszelki wypadek – może też samodzielnie zdezynfekować urządzenie w łazience, z którego będzie korzystał. Na początku był pewien problem z płynem do dezynfekcji powierzchni, ale harcerze z Nowego Dworu przysłali do ośrodka chusteczki antybakteryjne. A potem również zadbali o kondycję psychiczną zamkniętych na kwarantannie – zrobili wśród znajomych zbiórkę książek i gier planszowych. Wszystkie one były poddane ozonowaniu, żeby były bezpieczne. Po użyciu zaś są wycofywane i jadą do ozonowania.

W sumie w ośrodku do 30 marca było 60 osób, ale dziesięć wyjechało po jednej nocy. Okazało się, że mogą odbyć kwarantannę we własnych mieszkaniach. Przyjechali do ośrodka, bo sądzili, że będą tu mieć izolatki, opiekę lekarską i pielęgniarską oraz łatwy dostęp do testów na koronawirusa. Kiedy przekonali się, że opieki medycznej na miejscu nie ma, szybko się spakowali i pojechali do domów. Zostali ci, którzy nie mają wyjścia. Na przykład muzyk, który grał na włoskim statku pasażerskim. Rejsy zawieszono, pracy nie ma. Wrócił do kraju, ale mieszkania nie ma i od ręki nie wynajmie. Co miał robić? W ośrodku jest także dwóch mężczyzn, których żony nie wpuściły do mieszkania w obawie przed koronawirusem i kazały jechać na zbiorową kwarantannę. Jeden był na Ukrainie zaledwie dwa dni, ale i tak żona z obawy o zdrowie innych domowników nie wpuściła go za próg, choć dom mają duży. Dwie noce spał w samochodzie, zanim trafił do Starej Dąbrowy.

Hotele odmówiły przyjęcia osób na kwarantannę, bo obawiano się zakażenia.

Jest kobieta, która wróciła z pracy sezonowej z zagranicy i zamierzała odbyć kwarantannę u siebie, bo mieszka sama w dużej willi. Ale sąsiedzi ją napiętnowali, bojąc się, że przywlokła wirusa. W rezultacie musiała tu przyjechać. Przyjechała również inna osoba zaszczuta przez środowisko, bo na lokalnych portalach pojawiły się informacje, że pod takim a takim adresem mieszka osoba zarażona. Przebywa w ośrodku również matka, która trafiła tu tylko dlatego, że prom ze Szwecji się spóźnił i zamiast przed północą dotarł do Polski po północy z 14 na 15 marca, kiedy to zaczął obowiązywać nakaz kwarantanny. Przyjechała po córkę,

FOT. EWA SMOLIŃSKA-BORECKA

eprasa.pl 38b889f7bb

która ferie spędzała u babci w Polsce. Mogła pojechać do matki, ale nie chciała narażać jej ani córki.

W ośrodku są przyjezdni z różnych krajów. Na parkingu stoi z dziesięć aut. Wiele osób przyjechało, bo straciło pracę. Zdarzało się, że decyzję podjęli w 12 godzin. Najcenniejszy dobytek spakowali w walizki, duże sprzęty rozdali przyjaciołom. Niektórzy powiedzieli Domińczakowi, że część ich bagaży zaginęła w czasie lotu, teraz – skoro są w zamknięciu – nie mają szans szukać swoich walizek. Dlatego Domińczak musi zadbać też o to, żeby dokupić im najpotrzebniejsze rzeczy, np. podkoszulki czy szczoteczki do zębów. Po sąsiedzku, ok. 100-200 m dalej, jest dobrze zaopatrzony sklep spożywczo-przemysłowy, więc kiedy czegoś potrzeba, szef ośrodka tam zamawia towary.

Raz ktoś z mieszkańców Starej Dąbrowy zobaczył go w sklepie i zrobił się rwetes, że jakiś człowiek uciekł z kwarantanny. Wezwano policję. Ale sprawa szybko się wyjaśniła. Domińczak – wedle zamówień swoich podopiecznych – kupuje wodę mineralną, coca-colę, słodycze, a także środki higieniczne, podpaski. Zamawia również dla nich leki, głównie przeciwbólowe albo na żołądek. Wtedy właściciel sklepu grzecznościowo robi zakupy w aptece. Pomaga też miejscowy ośrodek pomocy społecznej. Czasem rodzina zrobi zakupy, przywiezie paczkę, ale zostawia ją pod bramą. Bo strach.

– Tu mają lepiej niż w mieście, bo przynajmniej mogą wyjść na zewnątrz i pospacerować – twierdzi Domińczak. – Czy się zaprzyjaźniają? Raczej nie, bo izolacja utrudnia integrację. Spotykają się czasem, kiedy wychodzą na zewnątrz na papierosa, ale trzymają dystans. Czterech mężczyzn codziennie uprawia jogging, więc widują się w parku, ale i oni nie zbliżają się do siebie.

Razem kwateruje się osoby, które przyjechały tym samym transportem, czyli mogły wcześniej się pozarażać, lub są rodziną.

Widząc, że szef ośrodka rozmawia ze mną, mieszkańcy placówki zaakceptowali moją obecność. Wychodzą z budynku. Ci palą papierosy, tamci rozmawiają przez telefon, ktoś siedzi zamyślony, inny rozwiesza na sznurku uprane skarpetki. Jednak nadal nikt nie chce rozmawiać. Co najwyżej podaje imię, które nie musi być prawdziwe. Mateusz przyjechał z Serbii, mieszka pod Warszawą, wyjdzie na wolność za pięć dni. W tym momencie jest osobą o najmniejszym kwarantannowym stażu. Marcin przyjechał z Niemiec, mieszka pod Płockiem. Wyjdzie za dwa dni. Leszek przyjechał z Ukrainy, mieszka w Warszawie. Wyjdzie za trzy dni.

Jakaś dziewczyna macha do mnie z okna na pierwszym piętrze. Krzyczy, żebym dokładnie usłyszała i niczego nie przekręciła: – Tu mamy bardzo dobre warunki. Nic lepszego w tej sytuacji nie mogło nam się zdarzyć!

Gdzieś trzeba było ich umieścić

Barbara i Stanisław Firchałowie prowadzą sklep naprzeciwko krzyża. To do nich wpada od czasu do czasu Domińczak z zamówieniem dla swoich podopiecznych. Dziś Stanisław zrobił dla nich zakupy w aptece. Niemało tego, bo w końcu w ośrodku jest 49 „kwarantariuszy". Plus Domińczak i pan Erwin, którzy też nie opuszczają ośrodka.

Czy miejscowi boją się ośrodka kwarantanny? Firchałowie są przekonani, że nie. No bo przecież tamci ludzie nie wychodzą za ogrodzenie. A w końcu gdzieś ich w czasie kwarantanny trzeba umieścić. Wiadomo, że każdy wolałby, żeby jak najdalej od niego. Ale ten ośrodek jest oddalony od zabudowań, otoczony puszczą. – Myślę, że mieszkańcy wsi to rozumieją. Bo co zrobić z tymi ludźmi, którzy wracają do kraju? Rozstrzelać? – pyta retorycznie Stanisław. A kiedy mówi rozstrzelać, to mimochodem patrzy na zdjęcie zawieszone na ścianie sklepu. Na nim Stanisław Firchał, pseudonim „Wicher", żołnierz AK, uczestnik powstania warszawskiego. To stryj Stanisława, z którego dumna jest cała rodzina. Z jego postawy rodzina czerpie też zapewne moc, by wykazywać odwagę w czasach zarazy.

•

Jak wynika z danych uzyskanych z biura prasowego MSWiA, do przeprowadzenia kwarantanny zbiorowej w kraju zabezpieczono 255 obiektów. Dostępnych jest w nich 13 995 miejsc. Dwutygodniowy pobyt na kwarantannie może kosztować do 1750 zł, z uwzględnieniem trzyposiłkowego wyżywienia, bo stawka maksymalna została ustalona przez rząd na 125 zł dziennie. Koszty te pokrywają wojewodowie, którzy otrzymali wsparcie finansowe z budżetu państwa. W niedzielę, 5 kwietnia, w ośrodkach zbiorowej kwarantanny w kraju przebywały 4822 osoby.

Ewa Smolińska-Borecka

Przekaż swój 1% dla PCK w Morągu

Oddział Rejonowy PCK w Morągu zachęca do przekazania 1% podatku na zakup sprzętu rehabilitacyjnego.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ

PAMIĘTAJ!

Oprócz numeru **KRS 0000225587** w rubryce „cel szczegółowy" obowiązkowo wpisz: **„OR PCK Morąg – na sprzęt rehabilitacyjny"**. Tylko wtedy Twoje pieniądze zostaną w całości wydatkowane na ten cel.

PCK w Morągu dziękuje wszystkim ofiarodawcom

eprasa.pl 38b889f7bb

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Andrzej Duda naszym prezydentem

Kiedyś, dawno, dawno temu, kiedy prasa papierowa przechodziła już nadchodzący kryzys, zostałem na parę miesięcy, z braku laku, jakimś naczelnym jakiegoś tygodnika. Właściciel, wielka firma polska i niepolska, postanowił mnie przygotować do tej roli. Nie tyle redakcyjnie, bo tu nie bardzo mieli czego mnie nauczyć, ile byznesowo, sprzedażowo, markietingowo, wicie rozumicie, prasa to taki sam produkt jak inne, trza tylko umieć sprzedać.

Słuchałem z otwartą gębą kilka godzin (tylko ja... co za uczucie, tutoring najprawdziwszy, uczeń-mistrz relacja). Usłyszałem rozbudowaną charakterystykę czytelników prasy tygodnikowej w ogóle i tego w szczególności. Okazało się, że nasz tygodnik, wiekowy, bo ukazujący się od dawna, dawna, ma najgorszą, najmniej oczekiwaną grupę czytelniczą, czyli tzw. czytelnika wiernego. Wiernego, tj. takiego, który zawsze i wszędzie kupuje i czyta tylko nasz tygodnik. I nic innego, nigdy, za nic, za żadne zdrapki, filmy, wycieczki, sianko pod wigilijny obrus, dodatek o papieżu. To trzeba zmienić – grzmiał mi młodociany spec – zależy nam na czytelniku, który skacze po tytułach, raz kupi taki, raz inny, coś go przyciągnie do naszego, coś go odepchnie od innych i w ostateczności wyniki sprzedażowe będą wyższe niż ci cholerni „wierni". Przypadkowa, niemal losowa sprzedaż bardziej się opłaca w skali: sprzedane egzemplarze. Wybieramy między identycznymi ofertami, wszystko przypomina siebie nawzajem nie do rozpoznania i już – cała tajemnica.

Tymczasem wiele lat po tamtej przygodzie (nie trzeba dodawać, jak się skończyła) nadszedł rok 2020, wiosna zarazy.

Pandemonicznie obijamy się od ściany do ściany, walimy niesprawczą głową w mur, tłuczemy na oślep zaciśniętymi pięściami w bezsilnym gniewie, zatracamy się w bezradności wspierani w tym mocno przez całą opozycję. Tańczymy, jak zagra nam całkowicie i bezwyjątkowo niemuzykalny pan Jarek z Żoliborza. Jaka muzyka, taki taniec. Niepisany, pozaformalny przywódca narodu nie jest w stanie zaśpiewać nawet hymnu, choć polskość najprawdziwsza nie schodzi mu z ust. No, może raczej się zsuwa, wycieka, wyciurkuje.

Tańczymy, jak zagra nam całkowicie i bezwyjątkowo niemuzykalny pan Jarek z Żoliborza.

Nie wszyscy tańczą do tej muzyczki-polityczki. Na przykład taki Galopujący Major, jeden z najprzedniejszych (co tu dużo gadać, orzeł po prostu prawdziwy) polskich blogerów politycznych, wysunął ostatnio niedefetystyczną propozycję w reakcji na apele białej flagi o bojkot wyborów korespondencyjnych, i zaproponował – usiądźcie wygodnie i stabilnie – porozumienie wszystkich sił opozycyjnych i wystawienie jednego, wspólnego kandydata przeciwko Bąbelkowi Tiktokowi, znanemu z dowodu pod nazwiskiem Andrzej Duda.

I tu zmierzam do swojej propozycji, twórczo rozwijając pomysł Majora. Tak, zgoda, wspólny kandydat, jeden kandydat. Jeden kandydat i – UWAGA – jedno nazwisko! Trzeba nam wystawić Andrzeja Dudę! Ponad 18 tys. Polaków nosi nazwisko Duda, musi tam być Andrzejów od groma, to jedno z trzech najpopularniejszych imion w Polsce. Gorszego Andrzeja Dudę od Andrzeja Dudy trudno sobie wyobrazić, poza tym na kartce nie będą się różnić niczym.

W sumie uda się skonsumować nasz narodowy nieogar, brak umiejętności czytania ze zrozumieniem, wypranie polityki z jakiegokolwiek sensu poza interesem partyjnym. Jak można było na to nie wpaść? Oddajmy Polskę na pastwę losu. Andrzej Duda zwycięży.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 38b889f7bb

W firmie Urbicom trwają prace nad prototypem urządzenia VentilAid.

Wirtualne respiratory

W mediach pojawiły się nierzetelne informacje o nowych możliwościach wyposażenia naszych szpitali w urządzenia do ratowania życia zarażonych

Bronisław Tumiłowicz

„Bezcenne urządzenie opracowane przez polskich uczonych. Rozwiąże problem respiratorów?", „Respirator ostatniej szansy z drukarki 3D. Niezwykły projekt inżynierów z Krakowa" – takie dwa komunikaty zelektryzowały w ostatnich dniach marca media, budząc nadzieję na zwiększenie możliwości ratowania chorych na COVID-19. Niestety, po bliższym przyjrzeniu się sprawie okazuje się, że entuzjazm był przedwczesny.

Respirator dla dwojga

W pierwszym przypadku chodzi o urządzenie Ventil opracowane już dosyć dawno w Instytucie Biocybernetyki i Inżynierii Biomedycznej im. Macieja Nałęcza PAN, przetestowane i możliwe do wdrożenia do produkcji. Wbrew anonsom medialnym nie jest to nowy polski respirator, tylko urządzenie współpracujące z respiratorem. Ważną jego cechą jest możliwość podłączenia dwóch pacjentów do jednego respiratora. W dramatycznej sytuacji można by więc podwoić liczbę pacjentów, których oddech wymaga wspomagania.

Niestety, w tej chwili to tylko teoria. Prototyp jeszcze nie trafił do produkcji. Ma tym się zająć Sieć Badawcza Łukasiewicz – Instytut Techniki i Aparatury Medycznej (Ł-ITAM) z Zabrza. Pierwsza seria 100 ventilów miałaby opuścić zabrzański instytut w połowie kwietnia. Całe przedsięwzięcie ma być finansowane ze środków Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Czy wdrażanie projektu do seryjnej produkcji już się zaczęło? Próbowaliśmy zasięgnąć informacji u źródła i trafiliśmy na całkowitą blokadę. W Zabrzu powiedziano, że prawo do wszelkich kontaktów z prasą w tej sprawie zastrzegła sobie dyrekcja Instytutu Biocybernetyki i Inżynierii Biomedycznej PAN z Warszawy. Z kolei wicedyrektor IBIB PAN prof. dr hab. inż. Piotr Ładyżyński przekazał, że politykę informacyjną w kwestii projektu Ventil prowadzi bezpośrednio dyrektor instytutu prof. Adam Liebert w porozumieniu z dyrektorem Ł-ITAM.

Entuzjazm studzi też komunikat Polskiej Agencji Prasowej, z którego wynika, że produkcja ventilów może ruszyć nie w połowie kwietnia, ale kilka tygodni później, po czym urządzenia trafią do badań klinicznych w wyznaczonych szpitalach. Data rozpoczęcia badań ani ich zakończenia nie została podana. Co więcej, jak czytamy w komunikacie: „Dotrzymanie terminu dostarczenia urządzeń do placówek medycznych zależy nie tylko od zespołu realizującego to przedsięwzięcie, lecz również od czynników zewnętrznych, takich jak np. dostępność komponentów niezbędnych do wytworzenia aparatów Ventil".

Z drugiej strony dowiadujemy się, że urządzenie przeszło już pozytywnie wieloletnie (!) testy prowadzone wspólnie z Kliniką Anestezjologii i Intensywnej Terapii Lubelskiego Uniwersytetu Medycznego, co prawda nie u dwóch, ale u jednego pacjenta, za to pomagało wentylować oba płaty płucne.

Kiedy zatem pierwsze ventile będą mogły wspomagać leczenie najbardziej chorych pacjentów, tak naprawdę nie wiadomo.

Jak samouk z Krakowa produkował respirator

Z krakowskiej firmy Urbicum, produkującej drukarki 3D, przyszła natomiast informacja, że tamtejszy główny konstruktor Mateusz Janowski wydrukował respirator o podobnej nazwie co urządzenie z IBIB PAN – VentilAid. Komunikat brzmi bardzo optymistycznie: „Zespół polskich inżynierów opracował i udostępnił za darmo projekt respiratora, który można wydrukować na drukarce 3D. VentilAid stworzony przez firmę Urbicum to projekt w pełni funkcjonalnego urządzenia, w którym łączny koszt komponentów wynosi ok. 200 zł. (...) Wykorzystuje tanie i powszechnie dostępne komponenty – może uratować życie tysiącom ludzi w miejscach, gdzie dostęp do tych urządzeń jest utrudniony. (...) – Opracowanie koncepcji VentilAid zajęło naszemu głównemu konstruktorowi Mateuszowi Janowskiemu zaledwie dwa dni – opowiada Szymon

FOT. JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 38b889f7bb

Chrupczalski, szef Urbicum. VentilAid jest pozbawiony najpoważniejszej wady podobnych projektów, czyli konieczności stosowania trudnodostępnych elementów".

Można do tego dodać, że drukowanie jednego aparatu trwało 15-17 godzin. Na stronie internetowej firmy Urbicum jest trochę zdjęć oraz anglojęzycznych apeli o podjęcie współpracy z firmą i wsparcie dalszego udoskonalania projektu VentilAid. Na pytanie, od kogo firma oczekuje wsparcia, konstruktor urządzenia Mateusz Janowski odpowiada: – Od osób, które mają doświadczenie w pracy z respiratorami albo prowadzą ich serwis. Chodzi o lekarzy, anestezjologów i techników szpitalnych, a także o inżynierów specjalizujących się w druku 3D oraz menedżerów, którzy mogą pomóc nam rozwijać ten projekt. Nie zamierzamy produkować respiratorów. Nasz zakład wykonuje po kilka wyspecjalizowanych drukarek 3D dziennie. Projekt urządzenia prototypowego gotowi jesteśmy przekazać nieodpłatnie tym, którzy mogliby go udoskonalić i dostosować do potrzeb pacjentów zmagających się z koronawirusem. Gdyby jednak zaszła taka konieczność, na naszych maszynach można by osiągnąć wydajność 100 aparatów dziennie. Produkcja na drukarkach 3D nie wymaga skomplikowanego łańcucha dostaw materiałów, a do zasilania VentilAid wystarczyłby zwykły akumulator samochodowy. Teraz każdy może sobie pobrać z internetu dokumentację urządzenia. Nie chcemy za to pieniędzy. Samo urządzenie może być produkowane z materiałów biodegradowalnych.

Niestety, w dalszej rozmowie okazuje się, że Mateusz Janowski tak naprawdę nie wie, czy jego urządzenie może realnie pomóc chorym. Przy konstruowaniu aparatu nie korzystał z żadnego wzoru respiratora. – Znany był cel: pompowanie powietrza do płuc. Ten cel urządzenie spełnia, ale byłoby miło, gdybyśmy nie musieli go wykorzystywać – dodaje. – Określiliśmy VentilAid jako respirator ostatniej szansy, do wykorzystania, gdy już wszystkie inne źródła zakupu i magazyny zawiodą.

Oprócz tego nieprawdziwa była informacja, że urządzenie zaprojektowali inżynierowie z Krakowa. Mateusz Janowski przyznaje, że nie jest absolwentem politechniki. – Nie mam dyplomu. Uznałem, że więcej się nauczę, podejmując działalność praktyczną. Samodzielna edukacja wydała mi się wydajniejsza.

Tyle w sprawie respiratorów, które mogą uratować życie w najcięższych przypadkach zakażenia koronawirusem. Na razie musimy korzystać z tej aparatury, którą służba zdrowia już zgromadziła. W informacjach medialnych pojawiła się jeszcze jedna, też „hobbystyczna", koncepcja pomocy chorym. Można jakoby korzystać z urządzenia tlenowego dla płetwonurków. Wystarczy dołączyć do niego specjalną nakładkę. Może w tej sprawie również przydałby się jakiś komentarz medyczny. Wszak dziesiątki akwalungów są w posiadaniu licznych klubów sportowych, straży pożarnej, WOPR, Marynarki Wojennej itd. Ale to już temat na osobny tekst. ■

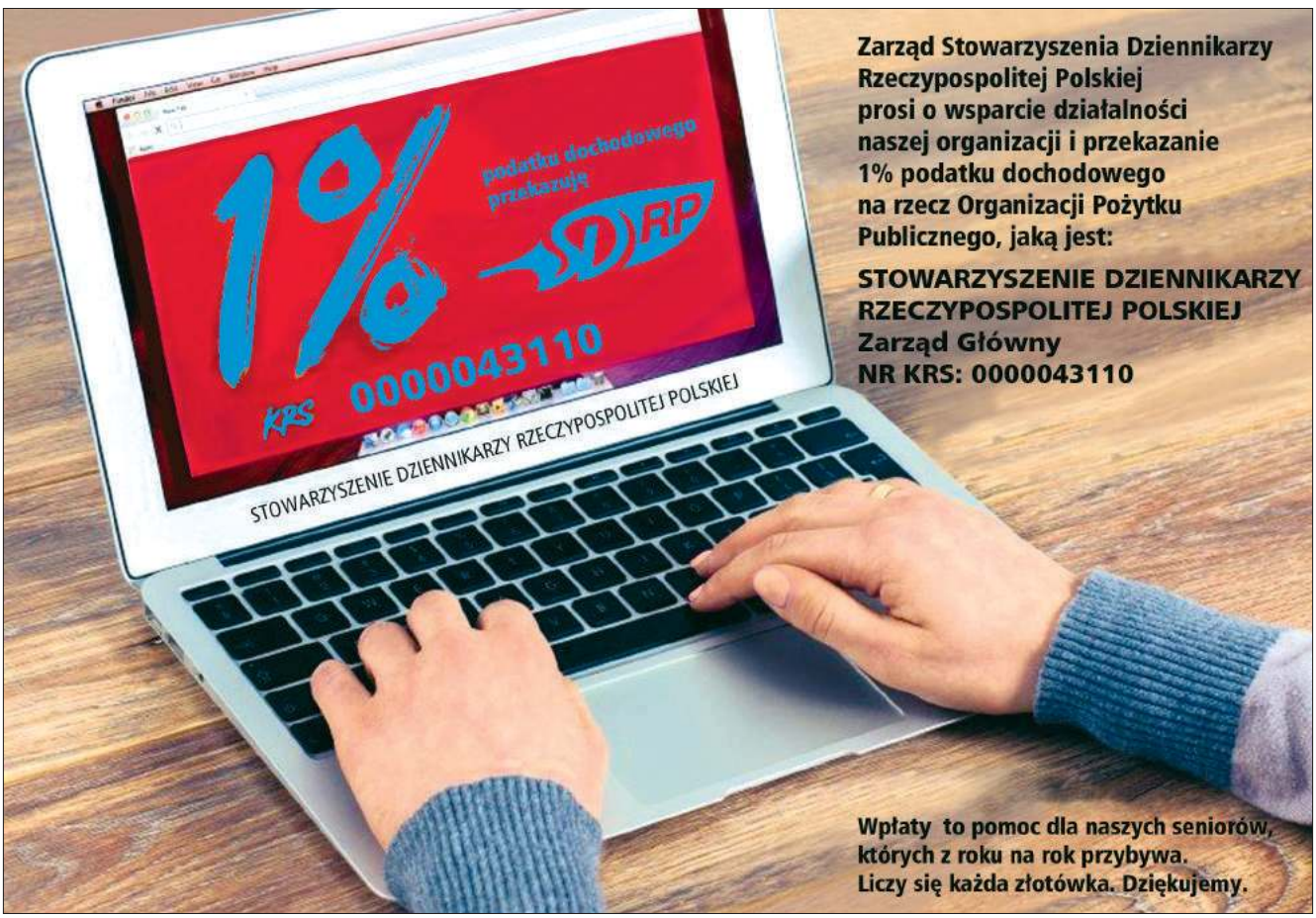

eprasa.pl 38b889f7bb

Dyrektorka kopistka

Muzeum Śląska Opolskiego zasłynęło plagiatem, zamykaniem Muzeum Czynu Powstańczego i tortem w formie patriotycznego sztandaru

Beata Dżon-Ozimek

Lubię chodzić do Muzeum Śląska Opolskiego. Nie tylko ze względu na wystawy i wydarzenia, ale też z uwagi na architekturę – kolegium jezuickie połączone z nowoczesnością prostej bryły autorstwa wybitnych opolskich architektów, Małgorzaty i Antoniego Domiczów. Muzeum jest ważne dla mieszkańców, dla rodzin śląskich i kresowych, dla odwiedzających Opole Niemców. Pomaga zrozumieć region i miasto. Przez wiele lat kojarzyło się z przyjazną atmosferą, szacunkiem dla lokalnych artystów i wysokim poziomem wydarzeń.

Jak się komuś nie podoba, może się zwolnić

Ostatnie kilkanaście miesięcy nie było najlepszym czasem dla MŚO. W grudniu 2018 r. na jego czele stanęła dr hab. Monika Ożóg, energiczna historyczka sztuki i starożytności, pełna pomysłów na zmiany, choć bez doświadczenia na podobnym stanowisku (ten warunek został usunięty z regulaminu konkursu na dyrektora). Wcześniej jej mąż, prof. Kazimierz Ożóg, startował w wyborach na prezydenta Opola, ale szybko się wycofał. Sama Monika Ożóg bez powodzenia kandydowała z list Koalicji Obywatelskiej do parlamentu. Przejęła muzeum po dyrektor Urszuli Zajączkowskiej, która zarządzała nim przez 11 lat, budując z kompetentnym zespołem silną pozycję tej instytucji i przyciągając publiczność. Jednak po przyjściu nowej dyrektor wokół muzeum zaczął się nakręcać czarny PR: miało być w strasznym stanie, fatalnie zarządzane, nic się nie działo. Po raz pierwszy w radzie muzeum nie zasiadł żaden muzealnik.

Monika Ożóg nie przedstawiła pracownikom swojej wizji działania muzeum, oczekiwań. Po trzech miesiącach zaczęła się spotykać z kierownikami działów, ale zebrania te prowadziły donikąd, rodziły konflikty. Pani dyrektor nie zdołała połączyć swojego świeżego spojrzenia na muzealną pracę z doświadczeniami pracowników, powtarzała: „Jak się komuś nie podoba, może się zwolnić". Poprzymykała drzwi dla starych przyjaciół muzeum, np. filozofów opolskich, którzy od dawna tu się spotykali raz w miesiącu. – To są rzeczy trudne do opisania, ale wyczuwalne w pracy – mówi pracowniczka MŚO, która tak jak pozostali woli nie podawać nazwiska. Pracownicy muzeum przyznają, że atmosfera się pogorszyła, byli przesadnie kontrolowani. Każde wyjście było skrupulatnie sprawdzane przez dyrektorkę, towarzyszyły temu czasem nieprzyjemne komentarze. – Przy tej wielkiej potrzebie kontroli dyrektorka nie sprawdzała spraw merytorycznych, robiliśmy w działach merytorycznych to, co sami planowaliśmy.

Szybko odeszła wieloletnia sekretarka, nowa szefowa dała do zrozumienia, że nie będzie z nią współpracować. Złe traktowanie ludzi, demonstracyjny brak zaufania czy podważanie uczciwości to trudne do udowodnienia kwestie, ale obciążające psychicznie, stąd odejścia niektórych pracowników. Obsłudze ekspozycji zakazano ze sobą rozmawiać, grupować się, ludzie nie wiedzieli, czym podpadną pani dyrektor. W ramach lepszego wykorzystania przestrzeni zabrano im pokój socjalny, dostali śmierdzącą kanciapę z niesprawną wentylacją. – W zespole pracowało 16 osób, teraz jest ich 10. Dwie panie skorzystały z tego, że mogą iść na emeryturę, inna zrezygnowała, bo nie była w stanie pracować w tej atmosferze. To była naprawdę fajna, zgrana załoga – słyszę w muzeum. Być może Monice Ożóg zabrakło doświadczenia we współpracy z ludźmi, a przecież jest także radną dzielnicy, udziela się społecznie. Dyrektorka była też trudno osiągalna dla gości z zewnątrz, asystentka umawiała ich z miesięcznym wyprzedzeniem.

Muzeum z lizakami

Wejście bez barier architektonicznych zostało w 2019 r., po 11 latach, zamknięte na jakiś czas. Uroczyście, z władzami, otwarto „nowe" wejście – to poprzednie, schodami. W muzealnym *foyer*, dawniej z kasą, pamiątkami, szatnią i wjazdem bez barier, dziś można sobie ulepić lizaka. Gości tam Manufaktura Słodkości Bonominka, prowadząca warsztaty produkcji słodyczy, bo muzeum ma na siebie zarabiać – to jeden z celów założonych przez dyrektorkę. Obezwładniający słodki zapach towarzyszy wystawom, zaskakuje gości muzeum. Pracownicy obawiają się, że obrazy i inne eksponaty przejdą tą ekspansywną wonią, przeszkadza im to w pracy.

Byłe dyrektorki MŚO, Krystyna Lenart i Urszula Zajączkowska, w tekście „Muzeum na zakręcie" („Indeks", czasopismo Uniwersytetu Opolskiego) precyzyjnie wyliczają zmiany. Kasa i sklepik zostały wtłoczone do niewielkiego pomieszczenia z polichromią i rokokowymi elementami wystroju po dawnej jezuickiej aptece, założonej w 1675 r., odrestaurowanej za środki

W programie działania Muzeum Śląska Opolskiego znalazły się sformułowania o „łódzkich mieszkańcach" i „Muzeum Sztuki".

eprasa.pl 38b889f7bb

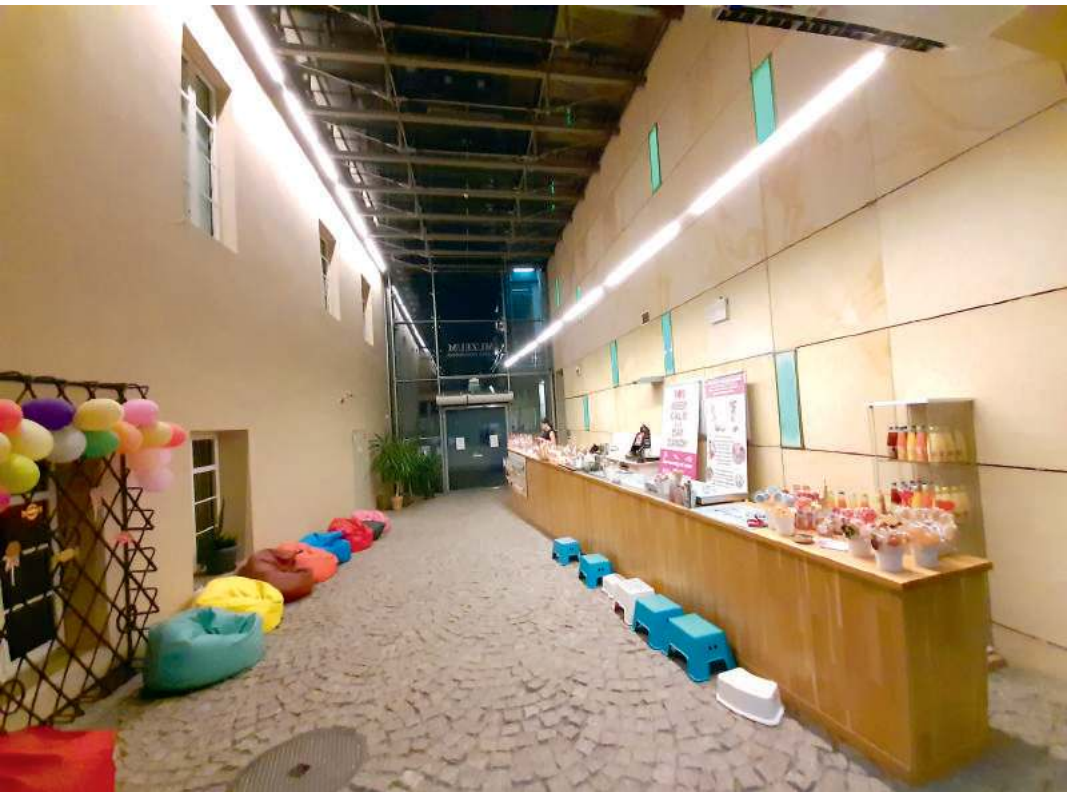

W muzealnym foyer dziś można ulepić sobie lizaka.

unijne. Do 2019 r. była tam wystawa poświęcona historii farmacji. Wtedy też przestała istnieć biblioteka Muzeum Śląska Opolskiego. Przeznaczono ją na archiwum urzędu marszałkowskiego, 26 tys. książek trafiło do piwnicy. W połowie grudnia ub.r. dyrektorka zamknęła Muzeum Czynu Powstańczego na Górze św. Anny, próbowała zwolnić pracowników dyscyplinarnie, następnie z trojgiem rozwiązała stosunek pracy, a czwartemu nie przedłużyła umowy. Kustosz i były kierownik muzeum Witold Iwaszkiewicz oddał sprawę do sądu pracy.

Zamknięcie Muzeum Czynu Powstańczego akurat w 100-lecie powstań śląskich wywołało spory skandal na Śląsku i skargę Stowarzyszenia Muzealników Polskich. „Pracę muzeum analizowała Komisja Skarg, Wniosków i Petycji Sejmiku Województwa Opolskiego (…). W świetle przedstawionych dokumentów i wyjaśnień skarga ta została przez sejmik uznana za bezzasadną", tłumaczy marszałek Andrzej Buła w wysłanym mi oświadczeniu. Ale z muzealnikami nikt nie rozmawiał. Janusz Kowalski, poseł Solidarnej Polski, złożył interpelację z prośbą o interwencję ministra kultury i dziedzictwa narodowego; w lokalnych mediach publicznych wrze. Muzeum Czynu Powstańczego zostało ponownie otwarte, organizowano tam wycieczki „wspomagające" frekwencję. Obsługiwali je jedyny pracownik (od zasobów przyrodniczych) i ochroniarz. Dyrektorka jeździła na Górę św. Anny w soboty, by wpuszczać zwiedzających. Pod koniec lutego w konkursie na stanowisko kasjer/pracownik gospodarczy dyrektor Ożóg przyjęła tę samą pracownicę, z którą rozwiązała umowę w grudniu.

21 stycznia w Muzeum Czynu Powstańczego została otwarta wystawa na 100-lecie powstań śląskich. To prywatna, skądinąd ciekawa, kolekcja 1,5 tys. modeli i figurek żołnierzyków. Wernisaż tego wystawowego kadłubka wzbudził mieszane uczucia. W muzeum przechowywany jest cenny zabytek, sztandar „Tobie Polsko", na który uroczyście przysięgali wierność Polsce mieszkańcy śląskich wsi podczas obchodów święta 3 Maja w 1920 r. Kopię tego sztandaru otrzymał niedawno prezydent Duda. W muzeum zaś goście wspomnianego wernisażu mogli zjeść sztandar „Tobie Polsko" w formie patriotycznego tortu.

Skrócona kadencja

Wkrótce okazało się, że to ostatni wernisaż Moniki Ożóg na tym stanowisku. Na przełomie lutego i marca pojawiła się informacja obywatelskiego ruchu Kultura Niepodległa o plagiacie, którym Monika Ożóg posłużyła się, startując w konkursie na stanowisko dyrektora. Członkowie 11-osobowej komisji konkursowej dziwili się, że w przedstawionym programie działania Muzeum Śląska Opolskiego znalazły się sformułowania o „łódzkich mieszkańcach" lub „Muzeum Sztuki". Jednak pytania o to kandydatce nie zadali, gdyż każdemu z czworga kandydatów mogli zadać tylko jedno, to samo pytanie – tak ustalił przewodniczący komisji, ówczesny wicemarszałek z PSL, Stanisław Rakoczy. Dziś przyznaje, że „tego programu nie przeczytał literalnie, ale podczas takich prezentacji słucha się wystąpień kandydatów", a program Moniki Ożóg uznał za najlepszy. „Literalnie" przeczytała program Alina Czyżewska z Kultury Niepodległej, bezcennego watchdoga uczciwości działań w instytucjach kultury. I odnalazła fragmenty „autorskiej koncepcji" Ożóg w koncepcji Jarosława Suchana z 2014 r., złożonej w konkursie do Muzeum Sztuki w Łodzi. Podejrzenie popełnienia plagiatu zmusiło dyrektorkę i władze do zakończenia współpracy. Doniesienie w tej sprawie wpłynęło do opolskiej prokuratury.

– Pani Ożóg nie kontaktowała się ze mną. To, co istotne, już się wydarzyło: plagiat został ujawniony, wiadomo, kto jest autorem, a kto jedynie kopistką. Kopistka poniosła konsekwencje i będzie je ponosiła, ponieważ w świecie akademickim jest to jednak poważna skaza na wizerunku. Oby tylko została z tego wyciągnięta jakaś lekcja – mówi Jarosław Suchan z Muzeum Sztuki. Stali bywalcy opolskiego muzeum, zasmuceni sytuacją, dodają: – To wygląda tak, jakby pani Ożóg powiedziano przed konkursem: napisz cokolwiek, bo musi coś być.

FOT. BEATA DŻON-OZIMEK

eprasa.pl 38b889f7bb

Program przedstawiony komisji konkursowej był także załącznikiem do kontraktu podpisanego przez marszałka województwa opolskiego, marszałek zaś uważa, że „koncepcja była przez dyrektor Monikę Ożóg z powodzeniem realizowana – było to m.in. pozyskiwanie zewnętrznych źródeł dofinansowania projektów muzeum (np. projekt na wyposażenie pracowni konserwacji papieru)". Sprawdziłam – to projekt i wniosek dr Beaty Wewiórki kierującej Pracownią Konserwacji. Marszałek chwali „wprowadzanie reorganizacji działalności muzeum związane z poprawą efektywności kosztów jego funkcjonowania" oraz „znacznie lepsze wykorzystanie powierzchni wystawienniczych i magazynowych". Rzeczywiście: zlikwidowano jeden magazyn i bibliotekę, zyskano pomieszczenie na serwer, nie ma nowych powierzchni wystawienniczych, a co do efektywności kosztów – poza ograniczeniem zatrudnienia podniesiono ceny biletów, wynajęto powierzchnię Bonomince od słodyczy i restauracji Testarossa w innym budynku. Urząd jako coś nadzwyczajnego ocenia „nawiązanie współpracy z bibliotekami posiadającymi zbiory grafik (wystawa »Rembrandt 350«) oraz organizacjami pozarządowymi (np. Opolskie Lamy)". Tymczasem ta współpraca trwała od lat, była o wiele szersza, również międzynarodowa. W MŚO pracują fachowcy, po 20-30 lat, i to oczywiste kwestie. – Jesteśmy przejęci swoją pracą i bardzo się identyfikujemy z muzeum, jest dla nas bardzo ważne – mówią na spotkaniu z marszałkiem pracownicy, dosyć zdziwieni prośbami o to, by dbali o swoją instytucję. – Cały czas robimy swoje.

Bibliotekę przeznaczono na archiwum urzędu marszałkowskiego. 26 tys. książek trafiło do piwnicy.

Nowy konkurs, nowe przepisy

Dyrektorka złożyła rezygnację 2 marca i przeprosiła tych, którzy poczuli się niekomfortowo. Pisze o nagonce na siebie, ponieważ „naruszyła dotychczasowy układ grupy osób w MŚO, które działały/działają na szkodę Muzeum". W oświadczeniu twierdzi też, że oskarżenia o plagiat „są bezpodstawne i noszą znamiona nadużycia", a inspiracji pracą Jarosława Suchana nie ukrywała. To zapewne nie koniec dyskusji, do Kultury Niepodległej trafił niedawno anonim pełen informacji o układzie, którmu pani Ożóg miałaby przeszkadzać.

Opole zapamięta okres dyrektorowania Moniki Ożóg w MŚO z wystawy 37 rycin Rembrandta z okazji jego 350. urodzin. To się chwali, nie trzeba było jechać do Wrocławia, Warszawy czy Krakowa, by obejrzeć dzieła artysty. Ale już wypowiedzi, że to jedyna na Śląsku wystawa Rembrandta, nie były rzetelne. Wcześniej odbyła się taka np. we wrocławskim Ossolineum. Pomysłem dyrektor Ożóg, który chyba się przyjmuje, były „urodziny w muzeum" dla dzieci, sprawdzone też w innych miastach.

Wiele osób w Opolu żałuje dyrektorki, tak po ludzku. Inni uważają, że dużo zrobiła, ale nie wymieniają niczego poza wystawą Rembrandta.

Z pracowników muzeum spadł wielki ciężar, odczuli fizyczną ulgę: – Kiedy przychodził poniedziałek, czuliśmy kamień w żołądku. Wraca radość z pójścia do pracy.

Ale faktem jest, że dyrektorka pozostawia po sobie braki personalne, bałagan, niepewność. Wybór Moniki Ożóg uchodził bardziej za partyjny niż merytoryczny, z pewnością nie pomagało jej to w pracy. Być może dało złudne poczucie nietykalności, bo urząd marszałkowski doceniał i wspierał jej działania, czasem wbrew faktom. Wydarzenia ostatnich tygodni kompromitują nie tylko podejrzaną o plagiat akademiczkę, ale i system konkursowy, obnażają jego nieprzejrzystość, brak rozwagi w podejmowaniu ważnych dla kultury i publicznych pieniędzy decyzji oraz ich upartyjnianie.

Na moją prośbę o komentarz dr hab. Monika Ożóg nie odpowiedziała.

Muzeum Śląska Opolskiego obchodzi 120-lecie. Czeka je kolejny konkurs na dyrektora. Marszałek województwa opolskiego Andrzej Buła zapewnia: „Obecnie jest możliwa publikacja autorskich koncepcji w związku ze zmianą przepisów ustawy z dnia 6 grudnia 2019 r., które weszły w życie 3 miesiące po jej ogłoszeniu. (...) Teraz każdy konkurs na stanowisko dyrektora instytucji kultury będzie procedowany w oparciu o te nowe przepisy". Wcześniej prawo nie zabraniało publikacji. Obecnie nakazuje. A 13 marca powstało w Opolu Stowarzyszenie Niepodległa Opolska Kultura z inicjatywy rodziny Iwaszkiewiczów, od pokoleń związanej z opolską kulturą. – Główną ideą jest ochrona kultury w regionie przed wpływami politycznymi oraz transparentność w działaniu władz samorządowych i państwowych w organizacji instytucji kultury – przyznaje Roch Iwaszkiewicz, student prawa. To idealny czas na taką inicjatywę w Opolu.

Muzeum Śląska Opolskiego potrzebuje spokoju. I dobrego dyrektora, nie tylko z dobrymi chęciami.

Beata Dżon-Ozimek

eprasa.pl 38b889f7bb

Oko w oko

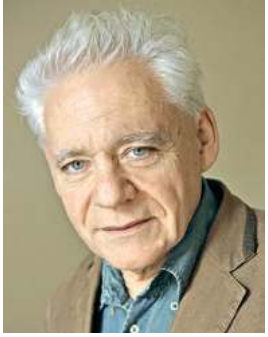

Tomasz Jastrun

Czas łaski czy płaczu

By oderwać się od przygnębienia wywoływanego zarazą, krzepię się nową biografią Leonarda da Vinci napisaną przez Waltera Isaacsona. Potężna objętościowo, a ten geniusz, niemal półbóg, i tak w niej się nie mieści. Przy okazji trafiam na trop wielkiego poprzednika Leonarda w naukowej wizji, franciszkanina Rogera Bacona, żyjącego w XIII w. Czy ktokolwiek kiedykolwiek lepiej przewidział odległą przyszłość? W „Epistola de secretis operibus artis et naturae" Bacon pisał: „Mogą być zbudowane okręty poruszające się bez wioślarzy, mogące żeglować zarówno po rzekach, jak i po morzu, prowadzone przez jednego człowieka, z większą prędkością, niż gdyby były pełne wioślarzy. Podobnie można skonstruować wozy jeżdżące bez użycia zwierząt pociągowych, napędzane niewiarygodną energią, tak jak podobno jeździły uzbrojone w kosy rydwany starożytnych. Mogą być zbudowane maszyny latające, takie że człowiek siedzący wewnątrz maszyny będzie nią kierował za pomocą pomysłowego mechanizmu i leciał przez powietrze jak ptak. Ponadto można sporządzić przyrządy, które choć same niewielkie, wystarczą, aby podnieść lub przytłoczyć największe ciężary... Mogą też być skonstruowane przyrządy podobne do tych, które wykonano na rozkaz Aleksandra Wielkiego, służące do chodzenia po wodzie lub do nurkowania".

Niezwykła wizja, ale komputera, telewizji, komórki nie przewidział, podobnie my nie przewidzimy największych wynalazków przyszłości, jeśli przyszłość będzie miała czas, by potrwać.

•

Zdawało się, że wielka zaraza odsuwa politykę w strefę „nieważne", że zamknięte zostały nasze stajnie Augiasza, a tu nagle znowu zabulgotały nieczystości. Prezes upiera się, że w maju będą wybory. Bo władza, władza za wszelką cenę, a manekin Duda do tego niezbędny. Jeśli będą ofiary z powodu wyborów, trudno, to polska racja stanu. A tu Jarosław Gowin się zbiesił. Czy ujawniło się w nim czułe sumienie? Zawsze zdawał mi się dobrym kandydatem na świętego, takiego, co w nocy skrada się do kurnika sąsiada wykradać jajka. Nie godzi się na majowe wybory, uważa, że to niebezpieczne dla zdrowia narodu. Wcześniej sumienie pozwalało mu firmować wszystkie łajdactwa PiS. Nie mnie lustrować sumienie Gowina, może ma szczelne i mu się przepełniło. Głowy za to nie dam. A może myśli, że statek PiS nabiera wody i czas się ewakuować. Cała ta pisowska ekipa została przez lata moralnie przemielona przez maszynkę do mielenia mięsa. Przegłosowano więc pocztowe wybory, przy drugim głosowaniu, bo pierwsze nie wyszło. Tłumaczą się, że sytuacja jest wyjątkowa, mają zatem usprawiedliwienie, by łamać prawo.

•

Dzwoni znajomy z Bielska-Białej, poeta i trener piłkarski, człowiek łagodny i poczciwy, jest bardzo wzburzony. Że prezesa trzeba zamknąć w zakładzie dla obłąkanych. I trzymać w odosobnieniu. Wie, że znam wielu psychiatrów. Żeby to było takie proste. Prezes bardziej się nadaje do więzienia, z wysokim wyrokiem za niszczenie naszej wspólnoty, za naszą nienawiść wzajemną, za zatrucie demokracji trupim jadem, rozbudzenie polskich demonów.

•

Epidemia zabija starych i chorych, a młodych, pracowitych i zaradnych pozbawia dorobku życia. A uwierzyliśmy, że jesteśmy kowalami własnego losu. Jest w tym jakaś wielka niesprawiedliwość. Ale ojciec dyrektor uważa, że „to czas łaski, jaki dał nam Pan Bóg". Innego zdania jest papież Franciszek, który nazywa ten czas „okresem płaczu i mroku". Natura pogroziła nam palcem: patrzcie, jak niewiele trzeba, by zachwiał się wasz porządek i zrobił nieporządek. A to przecież nic wobec tego, co nam przyniosą zmiany klimatyczne. Mam szczęście, że w taki czas mieszkam w domu z ogrodem, ale w tym ogrodzie wielka susza, niespotykana o tej porze roku.

Nie przewidzimy największych wynalazków przyszłości, jeśli przyszłość będzie miała czas, by potrwać.

Przewidywania, jak pandemia zmieni świat. Fachowcy od przyszłości mają różne wizje i fatalny zawód – zawsze się mylą. Liczne głosy, że zmieni się bardzo wiele, też w Polsce, że krach ekonomiczny zmiecie prezesa i wielu innych polityków ze sceny. Jesienią wściekli i pozbawieni pracy Polacy wyjdą na ulice. Całe życie społeczne i polityczne stanie na głowie. Ja raczej stawiam na to (bez żadnej pewności), że będzie tak samo, jak było, tylko o wiele gorzej. I nawet nie wiem, czy to jest pesymistyczna wizja.

•

Ciągnie mnie do tego wymarłego miasta, z którego jakby wypuszczono powietrze i spadło napięcie, teraz dopiero czujemy, jak wiele go na co dzień. Choroba ujawnia, jak chorzy byliśmy, żyjąc w zdrowiu.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 38b889f7bb

Ameryko! Zawieś blokadę gospodarczą Kuby

Ograniczenia nałożone przez rząd USA utrudniają lub uniemożliwiają nabywanie sprzętu medycznego, żywności i leków

Lech Miodek

Kuba zmaga się z koronawirusem. Jej walka jest jednak bardzo nierówna, bo nawet jeśli chce płacić gotówką, nie może zakupić potrzebnego jej sprzętu, lekarstw ani żywności. Przeszkodą są sankcje finansowe nałożone przez administrację amerykańską i posłuszne jej banki zagraniczne. Od ponad 60 lat Kuba jest ofiarą blokady gospodarczej i finansowej ze strony Stanów Zjednoczonych. Rząd kubański ocenia poniesione na skutek tego straty na 138,8 mld dol. w cenach bieżących. Jeśli zaś uwzględnić deprecjację dolara w okresie 60 lat, byłoby 922,6 mld dol.

Wyspa szczególnie mocno odczuła amerykańskie restrykcje dotyczące dostaw ropy naftowej z Wenezueli. Sytuacja spowodowała, że na początku lipca 2019 r. prezydent Miguel Díaz-Canel ogłosił nadzwyczajne decyzje mające na celu walkę ze stagnacją gospodarczą i ograniczenie spadku dochodów z turystyki.

Kubańscy lekarze wspierają włoską służbę zdrowia.

Ciemności w kubańskich szpitalach?

Walka z koronawirusem przełoży się na wzrost wydatków budżetowych na zdrowie, bo te, chociaż wysokie, nie są wystarczające. Czy moralne byłoby dopuścić, aby braki w dostawach ropy naftowej, czyli energii, przełożyły się z kolei na ciemności w kubańskich szpitalach i rozkład tamtejszego systemu opieki zdrowotnej?

Między innymi dlatego z samych Stanów Zjednoczonych i z Europy wysyłane są do Waszyngtonu apele o zniesienie ograniczeń, przynajmniej na czas pandemii. Z taką inicjatywą wystąpił np. prof. Carlos Lazo, Amerykanin kubańskiego pochodzenia uczący hiszpańskiego na uniwersytecie w Seattle. Wysłał on do Donalda Trumpa list otwarty, podpisany przez tysiące osób, w tym ambasadora Unii Europejskiej w Hawanie Alberta Navarra, w którym podkreślono, że restrykcje rządu USA utrudniają lub uniemożliwiają Kubie nabywanie sprzętu medycznego, żywności i leków. Stąd apel do prezydenta o „pomoc i solidarność z Kubańczykami, przynajmniej w tej wyjątkowej sytuacji". Sygnatariusze listu podkreślają, że „w przeciwnym razie na Kubie może wybuchnąć kryzys humanitarny o nieobliczalnych konsekwencjach. Względy polityczne muszą ustąpić miejsca względom ludzkim".

Z kolei 31 marca ukazujący się w Hawanie dziennik „Granma" zamieścił list Kubańczyków mieszkających w Europie, adresowany do prezydentów i premierów krajów Unii Europejskiej. Kubańczycy apelują o interwencję w Białym Domu w sprawie zniesienia blokady. W liście przypominają, że „od 16 czerwca 2017 r. do tej pory (…) w ramach działań zmierzających do zduszenia gospodarki kubańskiej zastosowano 191 różnych środków przymusu w stosunku do legalnych właścicieli".

Jeśli USA nie wycofają się z sankcji, na Kubie może wybuchnąć kryzys humanitarny o nieobliczalnych konsekwencjach.

Odkąd Donald Trump objął urząd, została cofnięta większość decyzji normalizujących relacje kubańsko-amerykańskie, podjętych przez jego poprzednika Baracka Obamę. W ciągu ostatnich trzech lat wzrosła presja finansowa na banki międzynarodowe, aby utrudnić operacje z Kubą i ograniczyć przekazy pieniężne, które kubańscy Amerykanie mogą przesyłać krewnym na wyspie. Zakaz rejsów wycieczkowców i podróży obywateli USA spowodował

FOT. IPA/BACKGRID/BACKGRID UK/FORUM

eprasa.pl 38b889f7bb

w ubiegłym roku spadek dochodów z turystyki o ponad 15%.

Pandemia w niczym nie złagodziła zimnej wojny między Waszyngtonem a Hawaną, wręcz ją zaostrzyła. Powodem było wysłanie przez Kubę brygad medycznych do walki z koronawirusem do 14 krajów, w tym trzech europejskich – Włoch, Hiszpanii i Andory. Stany Zjednoczone zaapelowały o odrzucenie tej formy współpracy, zarzucając władzom kubańskim wykorzystywanie swojego personelu medycznego. Kuba odpowiedziała, że jest to przykład niemoralnej międzynarodowej kampanii rządu amerykańskiego.

60 lat blokady

Kuba jest obiektem sankcji gospodarczych Waszyngtonu od ogłoszenia 17 maja 1959 r. dekretu o reformie rolnej, który przewidywał wypłatę odszkodowań dotychczasowym właścicielom na podstawie podatków, jakie płacili przez ostatnie lata. Sumy te były świadomie zaniżane, więc odszkodowania okazywały się znacznie niższe od rzeczywistej wartości majątku. Do kulminacji wojny gospodarczej doszło w roku 1960, kiedy najpierw Stany Zjednoczone uniemożliwiły Kubie import ropy naftowej z Wenezueli, a później Texaco, Esso i Shell odmówiły przerabiania w swoich rafineriach na Kubie ropy z ZSRR. Firmy i nieruchomości amerykańskie na Kubie zostały znacjonalizowane. W 1962 r. John F. Kennedy ogłosił całkowite embargo na handel z Kubą i zamroził wszystkie aktywa kubańskie w USA.

Przez całe dziesięciolecia Kubie udawało się przeżyć dzięki m.in. pomocy udzielanej przez Związek Radziecki. Po rozpadzie obozu socjalistycznego PKB Kuby spadło o ok. 30%.

W 1992 r. Stany Zjednoczone przyjęły ustawę Torricellego, która zabraniała wysyłania na Kubę produktów żywnościowych z wyjątkiem dostarczanych w ramach pomocy humanitarnej. Cztery lata później amerykański Kongres zatwierdził inicjatywę ówczesnego prezydenta Billa Clintona, znaną jako ustawa o wolności lub ustawa Helmsa-Burtona, która wzmocniła blokadę Kuby. Przewidywała ona m.in. w rozdziale III dochodzenie w amerykańskich sądach przez byłych właścicieli przedsiębiorstw znacjonalizowanych na Kubie odszkodowań od firm zagranicznych korzystających z ich mienia oraz odmawiała prawa wjazdu do USA osobom związanym z takimi firmami. Ponadto rząd amerykański zakazał swoim firmom jakichkolwiek transakcji handlowych z 70 przedsiębiorstwami kubańskimi zarządzanymi przez wojskowych.

Reakcja Unii Europejskiej i innych krajów pozwoliła osiągnąć pod koniec lat 90. porozumienie, na mocy którego rząd USA zawiesił stosowanie rozdziału III, chociaż zastrzegł sobie prawo prezydenta do zawieszania jego stosowania co sześć miesięcy. Bill Clinton, George W. Bush i Barack Obama utrzymywali zawieszenie ustawy. Natomiast prezydent Trump 2 maja 2019 r. postanowił jej przepisy wprowadzić w życie. W odpowiedzi Komisja Europejska stwierdziła, że postanowienia sądowe lub decyzje administracyjne wydane przez organy USA zgodnie z ustawą Helmsa-Burtona nie będą miały żadnej mocy prawnej na terytorium Unii.

Rząd Kuby co roku wnosi na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ projekt rezolucji wzywającej USA do zakończenia blokady. Mimo że do tej pory Zgromadzenie Ogólne wypowiadało się korzystnie dla Kuby 27 razy (w ubiegłym roku 187 krajów głosowało za, USA, Izrael i Brazylia przeciw, a Kolumbia i Ukraina wstrzymały się od głosu), Stany Zjednoczone pozostają nieugięte.

Donald Trump zniszczył to, co zostało z takim trudem wypracowane przez Baracka Obamę i Raúla Castro. Polityka powinna ustąpić przed zdrowiem milionów Kubańczyków! ■

eprasa.pl 38b889f7bb

Mateusz Mazzini

Władczyni amerykańskich dusz

Paula White, kaznodziejka Donalda Trumpa, w krótkim czasie stała się gwiazdą polityki

Kiedy wchodzi na scenę, występując przed dziesiątkami tysięcy wyznawców, dużo bardziej przypomina popową gwiazdę lat 90. albo prezenterkę telewizyjną niż osobę niosącą słowo boże amerykańskiemu narodowi. Duchowa doradczyni prezydenta Stanów Zjednoczonych, bo taką oficjalnie ma pozycję w strukturach Białego Domu, traktuje Biblię jak najnowszy album muzyki rozrywkowej. Jej występy pod względem logistycznym niczym się nie różnią od wielkich tras koncertowych. Hala widowiskowa, kosztujące kilkadziesiąt dolarów bilety, kilkanaście tysięcy uzbrojonych w transparenty z jej imieniem fanów, gadżety, egzemplarze Pisma Świętego podpisane przez kaznodziejkę. Widowiskowa oprawa muzyczna i wizualna, czasem nawet jakiś młodszy albo mniej znany aktywista religijny wystąpi przed nią, żeby rozgrzać publiczność. A potem pojawia się gwiazda.

Trump przyznał Pauli White status specjalnego pracownika administracji prezydenckiej.

Blond włosy, mocny makijaż. Garnitur w zdecydowanym kolorze albo odważna sukienka. Szpilki na wysokim obcasie. Biblia w dłoni. I przede wszystkim słowa. Bardzo dużo słów, właściwie o wszystkim – o polityce, Bogu, życiu doczesnym i pozagrobowym, relacjach małżeńskich. A także o pieniądzach. Bo Paula White, 53-letnia, pochodząca z Missisipi tzw. teleewangelistka, czyli kaznodziejka jednego z protestanckich odłamów chrześcijaństwa, uprawiająca działalność misyjną głównie w prywatnych kanałach telewizyjnych, sama siebie nazywa „apostołką ewangelii dobrobytu". Innymi słowy, doskonale zna wartość pieniądza oraz przeróżne sposoby na jego pomnażanie.

Słuchając jej wystąpień, można odnieść wrażenie, że White, która pierwsze lata kariery religijnej spędziła w małych wspólnotach duchowych na Florydzie, ma zapędy wręcz imperialne. Niektóre jej wypowiedzi sugerują, że uznaje się wręcz za przywódczynię światowego chrześcijaństwa, wysłanniczkę namaszczoną przez Boga. Twierdzi, że „kiedy ona spaceruje po terenach Białego Domu, spaceruje po nich sam Pan". Z Bogiem pozostaje też w bardzo ścisłych relacjach, bo „pobiera zawartość Niebios na swój własny twardy dysk".

White ma odpowiedzi na wszystko, od porad, na kogo głosować w wyborach, po rozwiązywanie problemów małżeńskich. W kazaniach bardzo dużo miejsca poświęca Szatanowi, który według niej obecny jest zawsze i wszędzie w naszym życiu. Nawet w tym nienarodzonym, bo duchowa doradczyni Trumpa w jednym ze styczniowych kazań prosiła Jezusa o „przerwanie szatańskich ciąż", z których urodzić się mogą ci, którzy później siać będą zniszczenie i grzech. Dała w ten sposób do zrozumienia, że dzięki bożej pomocy jest w stanie przewidzieć całą życiową trajektorię dziecka i wskazać tych ludzi, którzy zejdą na złą drogę. I choć kazanie okazało się internetowym i medialnym hitem, na Paulę White spadła ogromna krytyka ze strony innych konserwatywnych wspólnot religijnych. Dla wielu z nich słowa o „zakończeniu szatańskich ciąż" były bezpośrednim nawoływaniem do aborcji. Czyli najcięższego grzechu, bo za taki usunięcie płodu uważa wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Mike Pence, główny łącznik Trumpa z ewangelikalną bazą wyborców, a wraz z nim tysiące zwolenników obecnej administracji rządowej.

Żadna ze wspólnot wyznaniowych założonych przez White nie płaci podatku dochodowego.

White i Trump znają się już od 18 lat. Trudno powiedzieć, kto dla kogo był motorem dalszej kariery publicznej. Trafniejsze byłoby stwierdzenie, że szybko stali się współzależni. W 2002 r. byli jednak w zupełnie innych miejscach niż teraz. Obecny prezydent USA był już wprawdzie magnatem nieruchomościowym, ale jego reputacja nie należała do kryształowych. Po całym Wschodnim Wybrzeżu krążyły opowieści o papierowej naturze jego fortuny i monstrualnych długach, które w każdej chwili mogą go pociągnąć na dno. W dodatku obciążała go klęska jego najbardziej krzykliwej inwestycji. Na początku lat 80. zapragnął zamienić Atlantic City, 40-tysięczny nadmorski kurort w stanie New Jersey, w stolicę rozrywki całych Stanów Zjednoczonych. Stworzył więc spółkę Trump Hotels & Casino Resorts, odpowiedzialną za budowę kasyn, hoteli i innych jego kaprysów. Do tych ostatnich należał chociażby stylizowany na indyjski zabytek kompleks Trump Taj Mahal, w który biznesmen wpompował miliard dolarów. Cały projekt okazał się fiaskiem, a obecnego prezydenta przed upadkiem uratowała kreatywna księgowość. Bo Trump Hotels & Casino Resorts, nieposiadająca już żadnego majątku, tylko w pierwszej dekadzie XXI w. dwukrotnie ogłaszała bankructwo.

Paula White była wtedy mało rozpoznawalną twarzą programów religijnych na jednym z kanałów dostępnej na Florydzie kablówki. Wprawdzie od początku dawała się poznać jako postać charyzmatyczna, niekonwencjonalnie interpretująca Biblię, ale jej prawdziwą siłą była płeć – wśród amerykańskich teleewangelistów praktycznie nie ma kobiet, więc blondynka łatwo mogła się wyróżnić. Tak

eprasa.pl 38b889f7bb

White i Trump znają się od 18 lat. Trudno powiedzieć, kto dla kogo był motorem dalszej kariery publicznej.

też wpadła w oko Trumpowi, który zobaczył jej program przez przypadek i zadzwonił na wyświetlony na ekranie numer telefonu. Sama White dziś wspomina ten moment jako boską interwencję. „Bóg powierzył mi misję pokazania Trumpowi drogi do Pana. Nie wiedziałam wtedy, że zostałam poproszona o zaopiekowanie się człowiekiem, który później stanie się prezydentem USA, ale od początku wiedziałam, że jest wyjątkowy", mówiła podczas lutowego kazania w kościele Chrystusa Króla w Miami.

Kościół ten jest jedną z licznych ewangelikalnych placówek na południu Stanów Zjednoczonych, luźno zrzeszonych w konfederacji zielonoświątkowców o nazwie Nowa Reformacja Apostolska. Do grupy należy też wspólnota założona przez samą Paulę White. Regularnie zmienia nazwy, najnowsza to Miasto Przeznaczenia, oficjalnie zarejestrowane w Orlando na Florydzie. Nie sposób ocenić, ilu tak naprawdę ma członków, bo wielu jej wyznawców pojawia się tam epizodycznie lub wręcz nigdy – oglądają kazania w telewizji. Wiadomo natomiast doskonale, ile na tym kaznodziejskim biznesie Paula White zarabia. Według magazynu „Forbes" jej majątek wynosi 5 mln dol., choć liczba ta jest mocno niedoszacowana. Wiele jej przychodów przypisanych jest licznym przedsiębiorstwom, którymi kieruje. Jej program „Dzień z Paulą White", emitowany od poniedziałku do piątku w telewizjach kablowych w całych Stanach, przynosi zyski rzędu kilku milionów dolarów rocznie. Kopalnią złota jest również samo Miasto Przeznaczenia. White przyznała, że w ciągu roku należący do jej wspólnoty wierni przekazali łącznie 8 mln dol. w datkach. Oczywiście zaraz doprecyzowała, że datki nie trafiły do niej, tylko do Boga. I być może dlatego żadna z jej wspólnot wyznaniowych nie płaci podatku dochodowego, co w 2006 r. stało się nawet przedmiotem aż sześciu śledztw senackiej komisji finansowej. Kongres nie znalazł jednak żadnych nieprawidłowości, m.in. dlatego, że White i jej ówczesny mąż, Randy, odmówili wydania władzom zeznań podatkowych, po czym rozwiązali wspólnotę, przenieśli do innego stanu i założyli pod inną nazwą.

Według magazynu „Forbes" majątek kaznodziejki wynosi co najmniej 5 mln dol.

Donald Trump nie jest jedyną postacią życia publicznego, dla której Paula White stała się kimś w rodzaju spowiednika-doradcy ds. kariery zawodowej. Z jej usług korzystał Michael Jackson, głosiła kazania w szatni drużyny bejsbolowej New York Yankees. Jest również blisko z innymi wpływowymi politykami amerykańskiej prawicy, w tym z wiceprezydentem Pence'em. Oboje są bowiem kluczowymi aktorami w scenariuszu reelekcji Trumpa. Konserwatywny radykał Pence i White, oglądana przez dziesiątki milionów ludzi, często wykluczonych finansowo i społecznie, właściwie we dwójkę zapewniają przychylność protestanckich wiernych. Najnowsze dane instytutu badawczego Pew Research wskazują, że przynależność do jednej z 45 tys. wspólnot wewnątrz 60 różnych odłamów amerykańskiego protestantyzmu deklaruje niemal 100 mln obywateli Stanów Zjednoczonych. Jest więc o co walczyć, zwłaszcza że za kampanię prowadzoną przez pastorkę Trump nie musi płacić ani centa.

Symbioza Pauli White z prezydentem jest niepokojąca na wielu płaszczyznach. Trump przyznał jej status specjalnego pracownika administracji prezydenckiej, dzięki czemu ma ona do niego stały dostęp, udaje się w krajowe i międzynarodowe podróże. Jest blisko władzy, a więc i tajemnic państwowych. Jednocześnie cały czas prowadzi szeroko zakrojoną aktywność biznesową, która na bliskości Trumpa tylko zyskuje. Tyle że gdzieś po drodze gubi się w tym wszystkim religia. White mówi swoim wiernym, że Bóg chce dla nich życia „w zdrowiu i bogactwie". Żeby jednak się wzbogacić, muszą najpierw coś Bogu dać – najlepiej własne pieniądze. A ponieważ to ona jest przedstawicielką Boga na ziemi, nietrudno zgadnąć, na czyje nazwisko zarejestrowane jest konto przeznaczone do wpłacania datków.

■

FOT. FORUM

eprasa.pl 38b889f7bb

POLEMIKA Z PROF. LESZKIEM BALCEROWICZEM

Kogo kredytuje NBP

Nie ma żadnego dowodu na to, że rosnący dług publiczny powoduje wzrost stawek podatkowych

Leon Podkaminer

W opinii wyrażonej w „Rzeczpospolitej" (25.03.2020 r.) prof. Leszek Balcerowicz uprzejmie przyznaje, że „nie dziwią postulaty, żeby państwo przyszło z pomocą firmom, branżom i pracownikom". Z przedstawionych dalej czterech tez odnoszących się do krajowej polityki gospodarczej wynika jednak, że jest takim działaniom przeciwny.

Egzegezę jego argumentów zacząłbym od końca. Teza czwarta jest peanem na cześć odpowiedzialnej polityki gospodarczej, jego zdaniem prowadzonej – w odróżnieniu od Polski – w Irlandii i krajach bałtyckich: „(…) 10 lat temu gospodarki Irlandii, Estonii, Łotwy i Litwy gwałtownie się załamały (…), ale dzięki odważnej i rozumnej polityce swoich rządów szybko się z tego podniosły". Prof. Balcerowicz zdaje się nie wiedzieć, że jednym z ważnych aspektów owej polityki było odważne, rozumne – i przede wszystkim masywne – zadłużanie się sektora publicznego (co, jak powszechnie wiadomo, on sam potępia). W 2007 r. dług publiczny Irlandii stanowił niecałe 24% PKB, Estonii niecałe 4%, Łotwy 8%, Litwy 16%. Dla 2019 r. wskaźniki są wielokroć wyższe! Wynoszą one odpowiednio: 59%, 8,7%, 36%, 36,3%. Warto dodać, że w Polsce wzrost długu publicznego jako odsetka PKB był w tym samym czasie umiarkowany, z 44,2% do 47,4%.

Koszty długu

Niewiedza w sprawie ostatecznych efektów polityki zadłużania sektora publicznego przebija w pierwszej tezie prof. Balcerowicza: „Państwo ma do wydania tyle, ile ma rezerw, ile pieniędzy zabierze ludziom i firmom przez podatki oraz ile zaciągnie długu, co przekłada się na późniejsze obciążenia podatkowe. Domagając się więcej pieniędzy od państwa, domagamy się ich w gruncie rzeczy od siebie. Dotyczy to zwłaszcza przedsiębiorców". Krótko mówiąc, prof. Balcerowicz ostrzega, przede wszystkim przedsiębiorców, przed sięganiem po pomoc państwa, gdyż rzekomo przełoży się to na obciążające ich wyższe podatki w przyszłości.

Mówiąc dosadnie, jest to bujda na resorach. Nie ma żadnego dowodu na to, że rosnący dług publiczny powoduje – z takim lub innym opóźnieniem – wzrost stawek podatkowych (w szczególności obciążających sektor biznesowy). Wręcz przeciwnie! To raczej spadek udziału długu publicznego w PKB jest z reguły skorelowany ze wzrostem obciążeń podatkowych! Dług publiczny byłby rzeczywistym ciężarem dla sektora prywatnego tylko wtedy, gdyby jakiś oszalały minister finansów zechciał go spłacać. Praktycznie jednak to się nie zdarza. W normalnych warunkach dług może sobie narastać bez konsekwencji, w tempie dyktowanym przez aktualne okoliczności. Dopóki jest on we własnej walucie, nie ma powodu do niepokoju. Obsługa takiego długu praktycznie nic podatników nie kosztuje – tak długo przynajmniej, jak długo tempo wzrostu gospodarczego jest wyższe od oprocentowania długu, co już w 1944 r. opisał amerykański ekonomista Evsey D. Domar w „The American Economic Review" („»Ciężar długu« i dochód narodowy"). Zresztą tak naprawdę ogół podatników wcale nie musi odczuwać kosztów oprocentowania długu, gdyż wraca ono do niego w postaci odsetek od obligacji skarbowych.

W tezie pierwszej ukryte jest jeszcze jedno nieprecyzyjne stwierdzenie. Nie jest prawdą, że „państwo może wydać tyle pieniędzy, ile (...) zaciągnie długu". Jest odwrotnie, państwo zaciągnie tyle długu, ile wyda (ponad to, co zabierze sektorowi prywatnemu w postaci podatków). To wydatkowanie poprzedza emisje długu, ewentualnie pieniędzy – a nie na odwrót. Beneficjenci rządu lub jego agend, np. ZUS, otrzymują przekazy z banków, w których rząd ma swoje konta, np. z Banku Gospodarstwa Krajowego. Na kontach tych może nie być żadnych aktywów, tj. pieniędzy, a zlecone przekazy tylko powiększają debet rządu. Tenże debet jest następnie albo sankcjonowany jako kredyt bankowy udzielony rządowi, albo rekompensowany w formie obligacji skarbowych (rządowych), tj. „oficjalnego" długu publicznego.

> Nie jest prawdą, że państwo może wydać tyle pieniędzy, ile zaciągnie długu. Jest odwrotnie, państwo zaciągnie tyle długu, ile wyda.

Najważniejsze banki

Teza druga odnosi się do polityki Narodowego Banku Polskiego. Nie tego oczekiwałbym od wieloletniego prezesa NBP. Mianowicie powiada on, że: „Nie można dopuścić do tego, by NBP łamiąc konstytucję, weszło na drogę masowego drukowania pieniędzy dla finansowania wydatków rządu. (…) Powoływanie się na praktykę amerykańskiego Fed czy Europejskiego Banku Centralnego jest niepoważne. Nie brak zresztą ekonomistów na Zachodzie, którzy

eprasa.pl 38b889f7bb

od lat ostrzegają przed skutkami polityki pieniężnej tych banków".

Chętnie dowiedziałbym się, co jest niepoważnego w powoływaniu się na politykę najważniejszych – i chyba także najbardziej kompetentnych – banków centralnych świata. I dlaczego opinie ekonomistów ostrzegających przed skutkami polityki tych banków są ignorowane. Oraz dlaczego owe skutki (rozumie się, że jakieś straszne) nie materializują się mimo upływu wielu lat.

Wróćmy do meritum tezy drugiej. Otóż NBP nie musi wcale złamać zakazu finansowania długu publicznego, by aktywnie wspierać finanse publiczne. Nie idzie tu tylko o korzystne współkształtowanie oprocentowania obligacji skarbowych. NBP – tak jak każdy inny suwerenny bank centralny, w tym Europejski Bank Centralny – kredytuje banki komercyjne (także w pełni prywatne) pod zastaw posiadanych przez te banki obligacji skarbowych. Akceptując obligacje skarbowe jako zabezpieczenie udzielonych kredytów, bank centralny w istocie skłania banki komercyjne do nabywania tych obligacji (po to, by je potem odstąpić bankowi centralnemu). Skutek ostateczny tej dozwolonej prawem procedury jest w istocie taki sam, jak gdyby bank centralny bezpośrednio finansował deficyt finansów publicznych emisją gotówki! Zakaz bezpośredniego finansowania rządu przez NBP jest dziecinną maskaradą, na którą nikt poważny nie powinien się nabrać.

Na deser

Na deser pozostawiam tezę trzecią. W istocie dotyczy ona przeszłości, ale zawarte w niej sugestie ogólne proszą się o osikowy kołek. Teza ta jest następująca: „Polska ma mniejsze pole do bezpiecznego manewru w polityce gospodarczej niż kraje, które od lat mają nadwyżkę w budżecie (...). Rząd PiS przejadł bowiem tłuste lata, radykalnie zwiększając wydatki socjalne, a gdy bonanza zaczęła się kończyć, sięgnął dla ich finansowania do rezerw, np. do Funduszu Solidarności czy Funduszu Rezerwy Demograficznej".

Otóż, po pierwsze, „co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr". To, czy jakiś kraj miał w przeszłości deficyt lub nadwyżkę budżetową, w znikomym stopniu wpływa na możliwości aktualnego manewru w polityce gospodarczej. Przynajmniej dopóki ów manewr ma polegać na zadłużaniu się budżetu we własnej walucie. Japonia, Wielka Brytania, USA i nie tylko od niepamiętnych czasów mają deficyty budżetowe. W niczym nie ogranicza to ich możliwości dalszych deficytów w dającej się przewidzieć przyszłości. Takiego komfortu nie mają kraje, które są zmuszone do zadłużania się w walucie obcej (np. Grecja i Włochy, które używają waluty emitowanej i kontrolowanej przez ciało obce: Europejski Bank Centralny).

Po drugie, skąd pewność, że bez zwiększenia wydatków socjalnych ubiegłe lata byłyby tłuste? A może byłyby całkiem chude, tak jak w Czechach, które – małpując Niemcy – grzecznie wypracowywały nadwyżki budżetowe, płacąc za to anemicznym wzrostem PKB? Czy bylibyśmy obecnie w lepszej sytuacji, gdyby wzrost gospodarczy w ostatnich latach był dużo niższy od faktycznie odnotowanego, przy zaoszczędzonych wydatkach socjalnych?

Po trzecie, czym są owe rezerwowe fundusze, które rząd przejadł? Przecież nie gotówką zmagazynowaną na czarną godzinę, niczym ziemniaki na zimę. Rezerwy miały zapewne postać zapisów księgowych reprezentujących np. obligacje skarbowe powierzone owym funduszom. Ale te fundusze nie są jakimiś oddzielnymi bytami. Chociaż uchodzą za wyodrębnione, w istocie należą do sektora finansów publicznych – tak jak ZUS, KRUS, NFZ itp. Przejedzenie obligacji przypisanych owym funduszom sprowadziło się do umorzenia tych obligacji. Dzięki temu zabiegowi wykazany jest nieco mniejszy wzrost długu publicznego. Cała ta operacja ma jednak charakter wybitnie kosmetyczny – rzeczywisty (a nie księgowy) dług publiczny nie zmienił się o złotówkę. Rozumie się, że gdy tylko pojawi się taka konieczność, finanse publiczne (np. ZUS) faktycznie przejmą funkcje owych funduszy. Będą finansować wypłacane świadczenia kosztem ponownego wzrostu długu publicznego.

Zakaz bezpośredniego finansowania rządu przez NBP jest dziecinną maskaradą, na którą nikt poważny nie powinien się nabrać.

Autor jest emerytowanym pracownikiem Wiedeńskiego Instytutu Międzynarodowych Porównań Gospodarczych. W latach 2005-2009 był członkiem zespołu doradców ds. polityki pieniężnej Parlamentu Europejskiego

eprasa.pl 38b889f7bb

Polityczny realizm prymasa Wyszyńskiego

Porozumienie państwo-Kościół z 1950 r. stało się fundamentem funkcjonowania Kościoła katolickiego w PRL

Bohdan Piętka

14 kwietnia 1950 r. między władzami powojennej Polski (wówczas jeszcze Rzeczypospolitej Polskiej) a Kościołem katolickim zostało zawarte porozumienie regulujące funkcjonowanie tego związku wyznaniowego w Polsce Ludowej. Współczesna historiografia polska podkreśla, że zostało ono wymuszone na episkopacie przez władze. Na przykład prof. Wojciech Roszkowski w wypowiedzi dla Polskiego Radia z 2013 r. tak przedstawił okoliczności zawarcia wspomnianego porozumienia: „Władze komunistyczne przystąpiły do rozprawy z jedyną zorganizowaną siłą społeczną, jaką pozostawał jeszcze Kościół katolicki. Już od zakończenia wojny komuniści przygotowali sobie bardzo sprytny argument na podważanie jego miejsca w Polsce. Otóż dowodzili, że Kościół katolicki nie akceptuje zmian terytorialnych, jakie po wojnie zaszły, i nie akceptuje przynależności ziem zachodnich oraz północnych. (...) W marcu 1949 r. komuniści oskarżyli Kościół katolicki o wzmożenie działalności przeciw państwu. Zaczęto mu przypisywać rolę patrona polskiej reakcji. Ostro wypowiadał się na ten temat ówczesny premier Polski, Józef Cyrankiewicz". W konkluzji historyk ten stwierdził jednak: „Prymas Stefan Wyszyński, mimo krytyki części duchownych w kraju i za granicą, zdecydował się podpisać porozumienie z władzami komunistycznymi. Uspokoiło to napięte stosunki między państwem a Kościołem. Nie na długo jednak. Trzy lata później prymas został aresztowany".

Kluczowa wydaje się tutaj uwaga, że porozumienie z 1950 r. uspokoiło na pewien czas stosunki między państwem a Kościołem katolickim. Nie były one łatwe, od momentu gdy 12 września 1945 r. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej wypowiedział konkordat zawarty przez władze II RP w 1925 r. W podjętej wówczas uchwale TRJN stwierdził, że „(...) Konkordat zawarty pomiędzy Rzecząpospolitą Polską a Stolicą Apostolską przestał obowiązywać wskutek jednostronnego zerwania go przez Stolicę Apostolską przez akty prawne zdziałane w czasie okupacji, a sprzeczne z jego postanowieniami". Chodziło o to, że podczas okupacji niemieckiej papież Pius XII – wbrew literze konkordatu – mianował niemieckich biskupów jako administratorów w diecezji chełmińskiej oraz w arcybiskupstwie gnieźnieńsko-poznańskim, a więc na terenach wcielonych do Rzeszy, gdzie władze hitlerowskie prowadziły politykę eksterminacji polskiego duchowieństwa.

Episkopat miał wezwać duchowieństwo, by nauczało wiernych o poszanowaniu prawa i władzy oraz nawoływało do wzmożonej pracy nad odbudową kraju.

Relacje między władzami powojennej Polski a Kościołem katolickim zaczęły się zaostrzać w latach 1947-1949, po sfałszowanych wyborach do Sejmu Ustawodawczego, odsunięciu Władysława Gomułki od kierownictwa partii oraz wyeliminowaniu legalnej opozycji. 31 sierpnia 1948 r. władze zawiesiły wydawanie „Tygodnika Warszawskiego" – jednego z trzech głównych pism katolickich w powojennej Polsce, obok ukazującego się w Krakowie „Tygodnika Powszechnego" i PAX-owskiego „Dziś i Jutro" – a funkcjonariusze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego aresztowali do końca tego roku 17 członków jego redakcji. Chociaż „Tygodnik Warszawski" opowiadał się za dobrymi stosunkami z ZSRR, władzy nie podobały się obrona wizji państwa opartego na wartościach chrześcijańskich i własności prywatnej oraz krytyka rzeczywistości.

Dowody patriotyzmu

W *exposé* sejmowym w styczniu 1949 r. premier Józef Cyrankiewicz powiedział, że „wszelkie próby wykorzystania ambony czy szat kapłańskich dla podniecania namiętności przeciw państwu ludowemu lub popierania podziemia będą przecinane z całą stanowczością i surowością prawa. Rząd będzie natomiast otaczał opieką tych kapłanów, którzy dali i dają dowody swego patriotyzmu". Zaostrzenie kursu nastąpiło, kiedy 14 marca 1949 r. rząd wydał oświadczenie w sprawie stosunków z Kościołem katolickim w duchu oddzielania „złych" biskupów i duchownych od „postępowych" księży. Tak została stworzona atmosfera dla powołanego w październiku 1949 r. ruchu „księży patriotów", czyli kapłanów lojalnych wobec władz. W tym też duchu wydano w sierpniu 1949 r. dekret „o obsadzaniu duchownych stanowisk kościelnych". Następnym krokiem władz było ustanowienie w styczniu 1950 r. zarządu komisarycznego nad kościelną organizacją charytatywną Caritas. 30 stycznia 1950 r. Konferencja Episkopatu Polski wystosowała w tej sprawie list protestacyjny, rezygnując z przejętego przez państwo Caritasu. W odpowiedzi władze zorganizowały zjazd

eprasa.pl 38b889f7bb

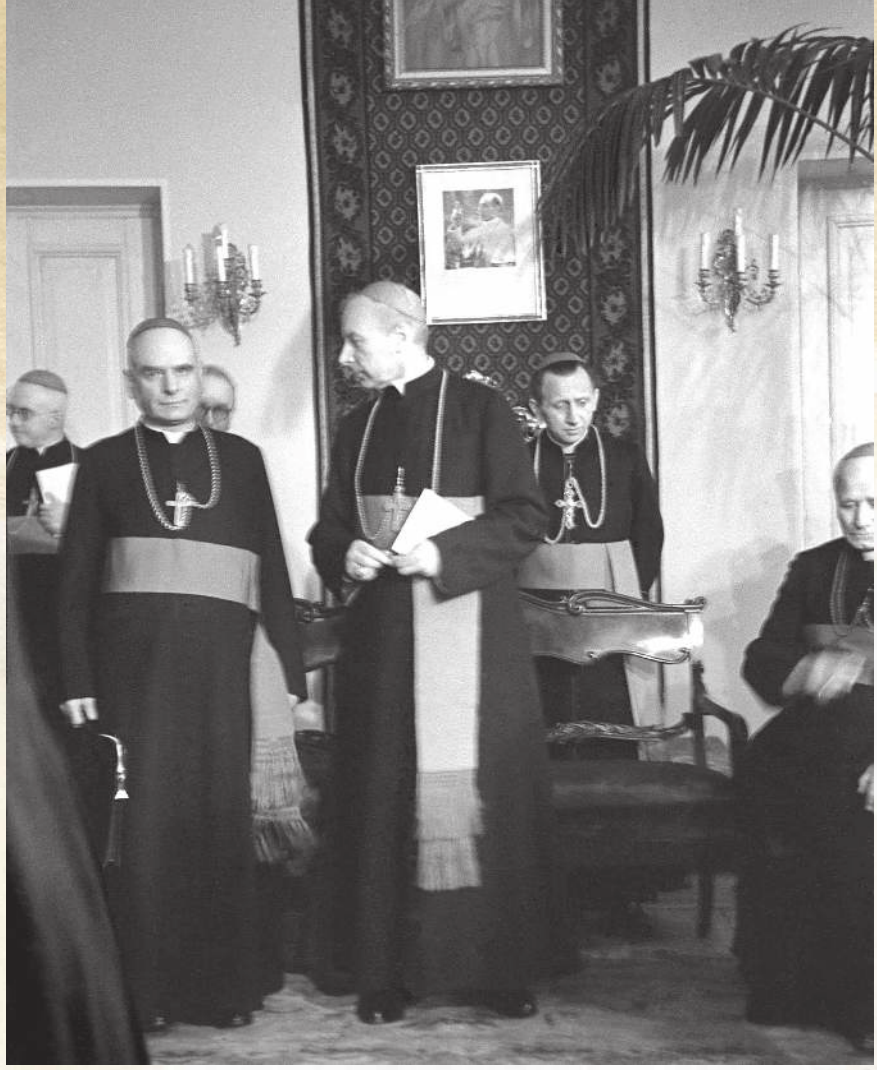

Prymas Stafen Wyszyński (nz. jeszcze jako biskup lubelski w 1947 r.) uznał, że porozumienie z władzą jest konieczne, aby uchronić Kościół przed wyniszczeniem.

1,2 tys. „księży patriotów" na Politechnice Warszawskiej, podczas którego wygłaszano oskarżycielskie przemówienia pod adresem biskupów. 16 lutego 1950 r. prymas Stefan Wyszyński i kard. Adam Stefan Sapieha wystosowali drugi list do prezydenta Bolesława Bieruta, w którym piętnowali metody walki z Kościołem. Rząd zareagował wydaniem 28 lutego komunikatu, w którym oskarżył hierarchię katolicką o wrogość wobec Polski Ludowej.

Równocześnie jednak toczyły się rozmowy pomiędzy władzami a episkopatem w ramach utworzonej w lipcu 1949 r. Komisji Mieszanej Rządu i Episkopatu. W rozmowach tych pośredniczył lider Stowarzyszenia PAX Bolesław Piasecki. Episkopatowi zależało na powstrzymaniu dalszych posunięć antykościelnych ze strony władz. Z kolei kierownictwo Polski Ludowej dążyło do wpisania Kościoła katolickiego w rzeczywistość państwa socjalistycznego i uzyskania z jego strony poparcia dla zachodzących w Polsce przemian społeczno-politycznych.

Rozmowy te doprowadziły do zawarcia 14 kwietnia 1950 r. porozumienia między rządem a episkopatem. Akt ten podpisali minister administracji publicznej Władysław Wolski, wiceminister obrony narodowej Edward Ochab i członek Biura Politycznego KC PZPR Franciszek Mazur, a ze strony kościelnej biskup pomocniczy warszawski i sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Polski Zygmunt Choromański, biskup diecezjalny łódzki Michał Klepacz i biskup diecezjalny płocki Tadeusz Paweł Zakrzewski. Dokument składał się z 19 punktów. Dziewięć pierwszych określało zobowiązania strony kościelnej. Episkopat zobowiązywał się wezwać duchowieństwo, aby „zgodnie z nauką Kościoła" nauczało wiernych o poszanowaniu prawa i władzy państwowej oraz nawoływało ich do wzmożonej pracy nad odbudową kraju. Dalej episkopat opowiadał się za przynależnością Ziem Odzyskanych do Polski i deklarował, że zwróci się z prośbą do Stolicy Apostolskiej, aby administracje kościelne na tych ziemiach, korzystające z prawa biskupstw rezydencjalnych, zostały zamienione na stałe ordynariaty biskupie. Miał też przeciwstawiać się rewizjonistycznej działalności części kleru niemieckiego, a „zasada, że Papież jest miarodajnym i najwyższym autorytetem Kościoła", winna się odnosić „do spraw wiary, moralności oraz jurysdykcji kościelnej", w innych zaś sprawach episkopat „kieruje się polską racją stanu". Kluczowe były punkty mówiące o tym, że episkopat zobowiązuje się wyjaśnić duchowieństwu, aby nie sprzeciwiało się rozbudowie spółdzielczości na wsi, a Kościół będzie się przeciwstawiał nadużywaniu uczuć religijnych w celach antypaństwowych oraz „zwalczał zbrodniczą działalność band podziemia", w tym piętnował i karał duchownych biorących udział w działalności podziemnej i antypaństwowej.

Władze ze swej strony gwarantowały nauczanie religii w szkołach, powoływanie wizytatorów nauczania religii w porozumieniu z episkopatem i swobodę praktyk religijnych wierzących uczniów, w tym odprawianie dla nich mszy w niedziele i święta oraz na początku i końcu roku szkolnego, jak również możliwość odmawiania modlitwy przed lekcjami i po lekcjach. Zgłaszającym się do rekolekcji uczniom władze szkolne miały zapewnić trzy dni wolne od zajęć. Gwarantowano szkołom prowadzonym przez Kościół katolicki korzystanie z praw szkół państwowych na ogólnych zasadach, funkcjonowanie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i stowarzyszeń katolickich, wydawnictw i prasy, prowadzenie przez Kościół akcji charytatywnej, dobroczynnej i katechetycznej oraz swobodę działalności zakonów i kultu publicznego. Przewidywano uregulowanie specjalnym statusem duszpasterstwa wojskowego i zapewnienie opieki religijnej nad chorymi w szpitalach przez kapelanów, wynagradzanych na podstawie specjalnych umów, a także opieki religijnej w zakładach karnych.

Załączony do porozumienia protokół zapowiadał przekształcenie Caritasu w Zrzeszenie Katolików dla

eprasa.pl 38b889f7bb

Obrady I Krajowego Zjazdu Delegatów Komisji Księży przy ZBoWiD z udziałem 350 duchownych. Warszawa, luty 1952 r.

niesienia pomocy biednym i potrzebującym, pozostawienie ordynariuszom diecezji i zakonom ogrodów i gospodarstw rolnych do 50 ha wraz z inwentarzem oraz utworzenie funduszu, który „będzie przekazywał odpowiednie sumy do dyspozycji ordynariuszów diecezji". Władze deklarowały też odroczenie służby wojskowej dla alumnów seminariów i niepowoływanie do czynnej służby wojskowej księży po wyświęceniu ani zakonników po złożeniu ślubów.

Pius XII grozi

Papież Pius XII, który prowadził wtedy radykalną politykę antykomunistyczną, przyjął porozumienie niechętnie. Miał nawet zagrozić biskupom Wyszyńskiemu i Choromańskiemu cofnięciem uznania. Kierujący Sekretariatem Stanu kard. Domenico Tardini uznał, że „Kościół polski poszedł na zbyt daleko idące ustępstwa".

Czy rzeczywiście? Należy zwrócić uwagę, że główne zobowiązania przyjęte przez polski Kościół dotyczyły zwalczania aktywności podziemia antykomunistycznego i podjęcia działań na rzecz utrwalenia polskości Ziem Odzyskanych. Działalność podziemia była w 1950 r. w zaniku i deklaracja jego zwalczania stanowiła w tej sytuacji po prostu zdystansowanie się Kościoła od udziału w walce politycznej z Polską Ludową. Świadczyło to o realizmie politycznym prymasa, bo w zamian za wycofanie się z konfrontacji, w której Kościół nie miał szans, uzyskiwał formalne unormowanie działalności na zasadach nieznanych w innych państwach bloku wschodniego, zwłaszcza w okresie stalinowskim.

Natomiast druga sprawa nie stanowiła problemu dzielącego polski Kościół i ówczesne państwo, wręcz przeciwnie. Już w czerwcu 1948 r. kard. Adam Sapieha udał się do Rzymu i uzyskał zapewnienie od Piusa XII, że Stolica Apostolska nie kwestionuje granic Polski po II wojnie światowej, a więc przynależności do niej Ziem Zachodnich i Północnych.

Episkopat, przyjmując literę porozumienia z 14 kwietnia 1950 r., wpisywał się w stanowisko, które 10 grudnia 1950 r. w „Tygodniku Powszechnym" wyraził publicysta katolicki Stanisław Stomma: „Patrząc na mapę Polski z roku 1939, widzi się od razu, że kraj o tak niekorzystnym ukształtowaniu granic, posiadający przeszło 30% mniejszości narodowych, był wysoce eksponowany militarnie i politycznie. W tej sytuacji katastrofa była nieunikniona wcześniej lub później. Polska dzisiejsza, stawiająca równy czworobok – oparty o morze i granice naturalne na Odrze, Nysie i Sudetach, jednolita narodowo, ma zdrowe podstawy geopolitycznego pomyślnego rozwoju. Dlatego bronić należy całości terytorialnej, Ziem Zachodnich oraz granic na Odrze i Nysie. I to jest znów sprawa wspólna z marksistami. (…) Wybór jest dla nas wyraźny. Stawiamy sprawę prosto, bez niedomówień i z całą szczerością. Marksistami ani socjalistami nie jesteśmy. Widzimy w socjalizmie wiele dodatnich stron. (…) Socjalizm jest dla nas faktem. Uznajemy zwycięstwo obozu komunistycznego jako fakt i mamy szacunek dla pełnej wiary i nieraz ofiarności walki tego obozu o realizację tego ustroju. (…) Katolicy mają wolę być lojalnymi obywatelami państwa budującego socjalizm".

Kościół deklarował, że będzie „zwalczał zbrodniczą działalność band podziemia" i karał duchownych biorących udział w działalności antypaństwowej.

Oczywiście nie wszyscy hierarchowie odnieśli się z entuzjazmem bądź przynajmniej realizmem do porozumienia z 14 kwietnia 1950 r. Przebywający w tym czasie w Rzymie kard. Adam Sapieha uznał je za ugodę „niegodną i pozbawioną realizmu". Uważał, że porozumienie da władzom zyski propagandowe i będzie przez nie łamane. Dlatego opowiadał się przeciwko jego szybkiej ratyfikacji. Jednym z przeciwników był również znany z antykomunizmu biskup kielecki Czesław Kaczmarek, wkrótce poddany przez władze bru-

FOT. KAROL SZCZECINSKI/EAST NEWS, PAP/CAF

eprasa.pl 38b889f7bb

talnym represjom. Były też jednak postawy odmienne. Na przykład biskup łomżyński Czesław Falkowski w korespondencji z prymasem Wyszyńskim odciął się od „bandy terrorystycznej" „Huzara" (Kazimierza Kamieńskiego), a punkt ósmy porozumienia, mówiący o zwalczaniu przez Kościół działalności „band podziemia", kuria łomżyńska starała się wypełniać lojalnie.

Sprawca Wyszyński

Na Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski, która odbyła się 21-22 kwietnia 1950 r. w Gnieźnie, abp Stefan Wyszyński wezwał biskupów i księży do niepodpisywania żadnych apeli ani deklaracji politycznych. Jednak sam przyznał: „Sprawcą porozumienia od strony episkopatu byłem ja", „gwarantowało ono wzajemne bezpieczeństwo", „episkopat nie mógł powiedzieć nie". W „Zapiskach więziennych" stwierdził także: „Wydawało mi się, że ułożenie kilku punktów tego *modus vivendi* jest możliwe i niezbędne, jeśli Kościół nie ma stanąć w obliczu nowego – przyspieszonego i drastycznego w formach wyniszczenia". Inaczej ocenił porozumienie bp Zygmunt Choromański: „Nie jest to kapitulacja z naszej strony. [Porozumienie] jest rzetelnym porozumieniem". Większość hierarchii katolickiej w Polsce przyjęła akt z 14 kwietnia 1950 r. ze zrozumieniem i życzliwością.

Niewątpliwie prymas Wyszyński był pierwszym w historii Kościoła katolickiego hierarchą, który zdecydował się na układy z państwem rządzonym przez komunistów. Dostrzegła to prasa katolicka, która poparła porozumienie. Entuzjastycznie zareagował ówczesny działacz PAX Tadeusz Mazowiecki na łamach „Słowa Powszechnego". Artykuły wyrażające poparcie dla tego aktu ukazały się też na łamach „Znaku", „Gościa Niedzielnego", „Niedzieli" oraz „Dziś i Jutro".

Jednym ze skutków politycznych porozumienia było powołanie 19 kwietnia 1950 r. Urzędu ds. Wyznań, który wkrótce zaczął ingerować w obsadę personalną urzędów kościelnych. Ale chociaż nie zapobiegło ono represjom wobec Kościoła i samego prymasa w latach 1953-1956, a od jego litery nastąpiły później różne odstępstwa, było faktem bez precedensu w bloku państw socjalistycznych i stało się fundamentem funkcjonowania Kościoła katolickiego w PRL. Niewątpliwie uregulowało wiele kwestii natury praktycznej, prawnej i politycznej. Nauczanie szkolne religii, chociaż stale napotykało opór ze strony władz partyjno-państwowych, było jednak w latach 50. nieprzerwanie realizowane. Stosunki między państwem a Kościołem katolickim ułożyły się w Polsce łagodniej niż w innych państwach bloku i nie będzie przesady w stwierdzeniu, że było to zasługą m.in. porozumienia z 14 kwietnia 1950 r. Chociaż nie normalizowało w pełni relacji państwo-Kościół, stanowiło próbę znalezienia w nich kompromisu. Tak też należy je traktować – bardziej jako zwycięstwo realizmu politycznego niż przejaw przymusu.

Bohdan Piętka

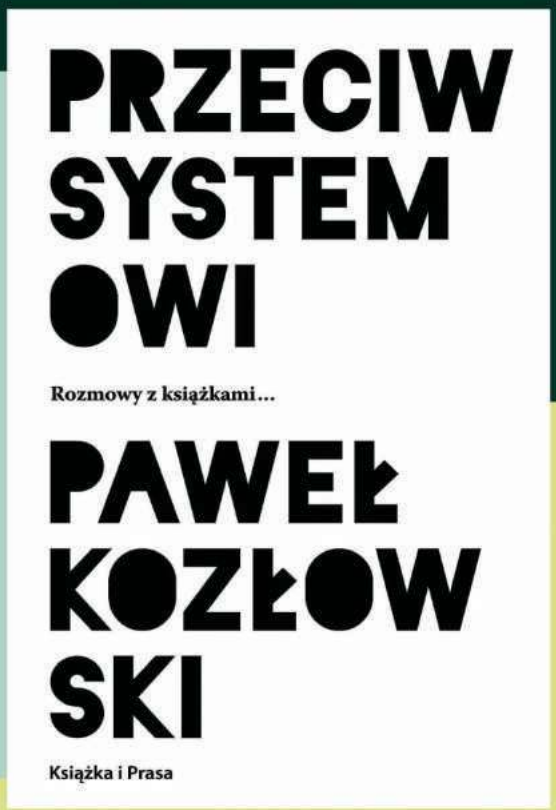

Paweł Kozłowski

Przeciw systemowi. Rozmowy z książkami

Cena 36 zł (w tym 5% VAT)

Do nabycia w księgarniach
i w wydawnictwie „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa,
telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@iwkip.org
www.monde-diplomatique.pl

eprasa.pl 38b889f7bb

Rynek książki w potrzebie

W takiej formie jesteśmy w stanie przetrwać miesiąc, ale nie trzy – twierdzą właściciele księgarń i wydawcy. I apelują o konkretną pomoc

Łukasz Grzesiczak

W normalnych warunkach Mariola Sznapka, która prowadzi w Cieszynie księgarnio-kawiarnię Kornel i Przyjaciele, szykowałaby się do obchodów czwartych urodzin swojego lokalu. A ten wziął nazwę od Kornela Filipowicza, prozaika i scenarzysty związanego z Cieszynem. W Kornelu – jak lubią mówić miejscowi – zawsze pełno, często trudno o stolik, a na spotkania autorskie z najgorętszymi nazwiskami polskiej literatury wymagana jest rezerwacja.

– Kawiarnia musiała zostać zamknięta zgodnie z wytycznymi rządu i nie działa od 14 marca. Księgarnia teoretycznie mogłaby być otwarta, ale kilka dni pokazało, że ludzie kojarzyli nas jako księgarnio-kawiarnię i kupowali książki przy okazji picia kawy – mówi Mariola Sznapka. – Wszystko się zatrzymało. Gwałtowny spadek obrotów spowodowany był też apelami o pozostanie w domach. Nikt przez pierwsze dwa tygodnie od zamknięcia szkół i instytucji kultury nie myślał o wychodzeniu. Tym bardziej po potrzeby drugorzędne, typu książka czy kawa na mieście.

Mariola w mediach społecznościowych zamieściła zdjęcie z fragmentem książki. Szybko przyszło pierwsze zapytanie o możliwość zakupu. – Ucieszyłam się i pomyślałam, że to szansa, żeby przetrwać. I w końcu sprzedawać więcej książek niż kawy. Na naszym Facebooku zaczęłam umieszczać zdjęcia z informacją, że można nas wspomóc, kupić książkę ze zdjęcia albo coś innego. Do każdej książki dokładam zakładkę i kartkę z podziękowaniem. I tak powoli akcja ruszyła – opowiada właścicielka Kornela i Przyjaciół.

Kilka dni później księgarnia dołączyła do ogólnopolskiej akcji Książka na telefon, ale dotąd w Kornelu skorzystały z niej tylko dwie osoby.

Obecnie raz w tygodniu Kornel jest otwarty. – Niektórzy chcą odbierać zamówione książki, innym wysyłam pocztą, jeszcze innym do paczkomatów – tłumaczy Mariola. – Sprzedaż książek w drugiej połowie marca 2020 r. okazała się lepsza niż w drugiej połowie marca 2019 r. Ale to nie jest naturalny przyrost, tylko gest solidarności z nami. Nikt nie wie, jak długo potrwa.

Na sprzedaży książek wciąż jednak nie zarabia tyle, by utrzymać cztery stanowiska pracy i uregulować wszystkie zobowiązania, zaległe i obecne. – W takiej formie jesteśmy w stanie przetrwać miesiąc, ale nie trzy – przyznaje.

Mariola Sznapka zapewnia, że wszyscy solidarnie zaciskają pasa i próbują przetrwać. – Osoba pracująca na umowę-zlecenie odeszła, udało się jej znaleźć inne zajęcie na najbliższe dwa miesiące. Bariści są zatrudnieni na umowę o pracę, to dwa pełne etaty, których nie jestem w stanie utrzymać, i jeśli nie zostanie uruchomiona tarcza antykryzysowa, będę zmuszona zrobić godzinową redukcję etatu. Panowie są bez pracy od 14 marca. Księgarnię prowadzę obecnie sama, zdalnie, to praca dla jednej osoby – wylicza.

Władze miasta właśnie ją poinformowały, że czynsz za marzec za lokal, który wynajmuje z zasobów miejskich, musi zapłacić w całości. – Część przedsiębiorców z Cieszyna będzie mogła się ubiegać o zniesienie opłaty za kwiecień, ale nie wiem, czy będzie tu chodziło tylko o lokale całkowicie zamknięte czy wszystkie. Innego wsparcia miasto na razie nie przewiduje – mówi Mariola Sznapka. Poza tym ulga na ZUS ma dotyczyć tylko pracowników, ona jako przedsiębiorca nie zostanie zwolniona ze swoich składek w wysokości ponad 1,4 tys. zł. – Staram się myśleć pozytywnie, ale wszystko wskazuje na to, że będzie trudno wygrzebać się z zadłużeń.

Władze Cieszyna przygotowują pakiet wsparcia dla przedsiębiorców, ale – jak informuje Katarzyna Koczwara, rzeczniczka ratusza – chcą, by był komplementarny wobec tego, co zaoferuje rząd. – Władze miasta nie dzielą mieszkańców na branże. Staramy się na bieżąco wspierać działania przedsiębiorców – wyjaśnia.

Większym optymizmem napawa sytuacja w Krakowie. Księgarnia Pod Globusem przy samych Plantach jest otwarta po prostu krócej, od poniedziałku do piątku, w godz. 10-15. – Zdecydowaliśmy o skróceniu godzin pracy z powodu małej liczby klientów. Działamy teraz więcej w internecie i na zapleczu rozwijamy sprzedaż na Allegro, realizujemy zamówienia składane mejlowo, telefonicznie i w wiadomościach prywatnych – wylicza Paulina Bandura.

Księgarnie internetowe notują zwyżki, ale w 100% nie odrobią strat z księgarń stacjonarnych.

Epidemia jednak bardzo wpłynęła na działalność placówki. – Obroty spadły z dnia na dzień o 90%. Nie możemy organizować spotkań autorskich czy warsztatów dla dzieci, które przyciągały klientów.

W Pod Globusem – jak informuje Paulina Bandura – na razie nikogo nie zwolniono, a pracownicy otrzymali normalne wynagrodzenie za marzec. – Jeśli w kwietniu sytuacja zacznie się polepszać, damy radę, chociaż z trudem. Jeśli nie, nie wiemy, co się wydarzy. Do dostawców wystosowaliśmy pisma z prośbą o odroczenie spłat należności. Cały rynek jest w trudnej sytuacji, ale mamy nadzieję, że uda nam się przetrwać kryzys – mówi. – Od wydawnictw oczekujemy zrozumienia. Kilka, np. PIW, z własnej inicjatywy przedłużyło terminy płatności faktur i planuje inne działania wspierające.

eprasa.pl 38b889f7bb

Księgarnia Pod Globusem liczy na pomoc władz Krakowa. Prezydent miasta Jacek Majchrowski zapowiedział uruchomienie programu „Kultura odporna". „Katastrofalne skutki epidemii koronawirusa odbijają się również na sferze kultury. Jednym z najważniejszych elementów, dzięki którym Kraków od lat zajmuje wyjątkową pozycję na arenie międzynarodowej, jest oferta kulturalna. W tym trudnym czasie lokalnych twórców i artystów, organizacje pozarządowe i instytucje kultury ma wspomóc program »Kultura odporna« – napisał w liście do ludzi kultury. – Bardzo ważni są dla mnie twórcy lokalni, lokalne księgarnie i kina. To oni tworzą na co dzień niepowtarzalny klimat naszego miasta, są mieszkańcami naszego miasta i tu płacą podatki. Dlatego będziemy w pierwszej kolejności szukali takich możliwości, dzięki którym lokalna scena artystyczna i powiązane z kulturą branże będą mogły utrzymać się na powierzchni".

– Miasto Kraków ogłosiło zawieszenie pobierania czynszu od przedsiębiorców w lokalach miejskich, co ma znaczenie dla 13 księgarń i antykwariatów wynajmujących lokale z zasobów gminnych – tłumaczy Michał Zalewski z Krakowskiego Biura Festiwalowego, które odpowiada za działalność kulturalną. Jak dodaje, Kraków pracuje nad długofalowymi rozwiązaniami umożliwiającymi bezpośrednie wsparcie księgarń jako działalności kulturotwórczej w bardzo trudnym dla nich okresie. Choć w tym momencie nikt nie potrafi powiedzieć, jakie pieniądze zostaną przekazane na ich uratowanie. – Jeszcze za wcześnie na przekazywanie informacji o konkretnych kwotach, ponieważ programy pomocowe są właśnie opracowywane – przyznaje Zalewski.

Kraków, podobnie jak Cieszyn, zorganizował akcję zachęcającą do wspierania księgarń poprzez korzystanie z ich sklepów internetowych. Michał Zalewski podkreśla: – Zasięg naszej działalności jest nieporównywalnie większy niż poszczególnych księgarń osobno. Tego typu działania komunikacyjne będziemy podejmowali także w następnych tygodniach. Nie jest to wsparcie finansowe, ale wpływa bezpośrednio na sytuację księgarń, które, sprzedając książki online, zwiększają zakres swojej działalności i uzyskują przychody.

Instytut Książki, który z ramienia Ministerstwa Kultury odpowiada za promocję polskiej literatury oraz popularyzację książek i czytelnictwa – jak zapewnia rzecznik IK Łukasz Jarocki – „na bieżąco monitoruje sytuację i jest w stałym kontakcie z przedstawicielami środowiska księgarzy i wydawców, m.in. Polską Izbą Książki i Stowarzyszeniem Księgarzy Polskich". – W ubiegłym tygodniu została przeprowadzona analiza możliwości i form pomocy dla księgarń i antykwariatów. Wypracowane w ten sposób propozycje zostały przekazane do ministra kultury i czekają na rozpatrzenie – informuje rzecznik. – Ponadto Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego przygotowuje dwa specjalne programy dotacyjne.

Szczegółów na razie nie znamy. Instytut chciałby także zwiększyć pulę i zmienić zasady przyznawania dotacji w ramach programu „Partnerstwo dla książki", skierowanego również do księgarzy. Dziś to ponad 5 mln zł rocznie. I tu szczegółów na razie brak.

Pytanie, czy księgarze będą mieli do sprzedania nowości, którymi w ogromnej mierze karmią się czytelnicy i którym uwagę poświęcają media.

Niemal całe Wydawnictwo Literackie, wydawca książek m.in. Olgi Tokarczuk, od trzech tygodni pracuje zdalnie. Marcin Baniak, szef działu promocji, wyjaśnia, że na kwiecień i maj WL zawiesza wydawanie książek. – Mieliśmy ambitne plany, ale śledząc doniesienia ze świata, stosunkowo wcześnie zaczęliśmy je zmieniać. Część książek przesunęliśmy już w lutym, niektóre tytuły ukazały się w mniejszych nakładach. Po wprowadzeniu ograniczeń w handlu zdecydowaliśmy się na ruch drastyczny, ale w pełni zrozumiały – w kwietniu i w maju nie ukażą się nowe pozycje ze znaczkiem Wydawnictwa Literackiego. Oczywiście krok ten podjęliśmy w pełnym porozumieniu z autorami.

Odwołanie Warszawskich Targów Książki – choć uzasadnione – to dodatkowy cios dla branży wydawniczej.

Co potem? – Nie rzucimy się od razu w wydawniczy wir – zaznacza Marcin Baniak – raczej będziemy analizować sytuację i wydawać tyle książek, ile rynek będzie w stanie wchłonąć. Jak zawsze postawimy na jakość oferty. Ale nie wiemy, jak rynek po epidemii będzie wyglądał, za wcześnie na przewidywania.

Marcin Baniak przyznaje, że dziś sprzedaż książek WL jest znikoma. – To niewielki procent tego, co uzyskiwaliśmy w styczniu, lutym czy w pierwszej połowie marca. Postawiliśmy, tak jak wszyscy wydawcy,

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 38b889f7bb

Tadeusz Klementewicz
Kapitalizm na rozdrożu
Obłęd zysku
czy odpowiedzialny rozwój
Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2019

Turbokapitalizm, którego częścią składową jest polskie społeczeństwo, znalazł się w fazie systemowego kryzysu. Rozwija księżycową gospodarkę, przynosi coraz więcej „plusów ujemnych". Pęd do akumulacji popycha władców aplikacji do otwierania nowych pól rentowności. Stąd platformy cyfrowe w handlu i usługach, biomedycyna, stopniowy podbój Alaski, wyciskanie ropy ze skał. Chcieliby dla siebie zastrzec decyzje, jak dalece może być wykorzystywana sztuczna inteligencja, modyfikacje genetyczne, prywatność ludzi. Zagrożone jest bezpieczeństwo ekonomiczne i socjalne szerokich rzesz ludzi na bogatej Północy i ubogim Południu. Od nas zależy, czy będzie to barbarzyństwo oaz luksusu i pustyń biedy, czy kapitalizm z ludzką twarzą.

Henryk Martenka
Czas przeszły odnaleziony, czyli Polak Niemiec dwa bratanki...
Margrafsen, Bydgoszcz 2020

Po niemiecku, jak to Niemiec, zacząłem od pierwszej strony… I czytałem dalej powoli, tekst po tekście. Język i felietonowy styl Henryka Martenki mnie wciągnął. Raz za razem udaje się Martence w jego tekstach wychwycić i na nowo zinterpretować interesujące, a często także zapomniane niemiecko-polskie powiązania. Kompetentnie, nierzadko ze wspaniałą dawką humoru. Urok tej książki tkwi w różnorodności poruszanych tematów. Polityczne i historyczne nieustannie zmieniają się z – oczywiście nie zawsze czynionymi na poważnie – analizami sportowymi czy refleksami dotyczącymi kultury i sztuki – rekomenduje dr Matthias Kneip z Deutsches Polen Institut w Darmstadt.

na internet, wprowadzamy rabaty, organizujemy akcje promocyjne, zachęcamy do kupowania i widzimy, że inne podmioty naszego rynku też robią, co mogą. Efekty? Pewnie nie zwalają z nóg, ale w obecnej sytuacji każdy sukces cieszy.

WL notuje nieco większą niż zazwyczaj sprzedaż e-booków. Dobrze też się trzymają audiobooki, na które od jakiegoś czasu konsekwentnie stawia krakowskie wydawnictwo. 30 marca odbyła się premiera audiobooka „Ksiąg Jakubowych" Olgi Tokarczuk i sprzedaż jest – jak na te warunki – więcej niż zadowalająca.

Inną strategię przyjęło Wydawnictwo Poznańskie, które w czasach pandemii normalnie wydaje książki. Od 16 marca praca jest wykonywana zdalnie, choć w wydawnictwie zawsze ktoś dyżuruje w sekretariacie i w magazynie. – Zdecydowaliśmy, że od marca do maja, pracując zdalnie, realizujemy plan wydawniczy zgodnie z przyjętą strategią na rok 2020, z wyjątkiem kilku tytułów, których promocja miała się oprzeć w zasadniczej części na tradycyjnych kanałach informacji, dedykowanej aktywizacji stacjonarnych punktów sprzedaży lub zaplanowanej aktywności zagranicznych autorów – mówi Anna Wasik, dyrektor handlowa Wydawnictwa Poznańskiego. Jej zdaniem przeniesienie premiery byłoby może usprawiedliwione, ale konsekwencją byłby znaczny spadek obrotów. – Koncentrujemy się na działaniach w sieci, bo tam w dużej części przeniosła się sprzedaż. Księgarnie internetowe notują zwyżki, ale w 100% nie odrobią strat z księgarni stacjonarnych – zwraca uwagę. Jej zdaniem odwołanie Warszawskich Targów Książki – choć uzasadnione – to dodatkowy cios dla branży wydawniczej, bo spotkań targowych z czytelnikami nie można zastąpić tymi w mediach społecznościowych. Choć wydawca się stara – podobnie jak inne oficyny – organizując spotkania autorskie na Facebooku.

Wydawnictwo Poznańskie za darmo udostępniło również w sieci e-book kryminału Agnieszki Pietrzyk „Zostań w domu". Według deklaracji wydawcy pobrano go prawie 2 tys. razy. Podobne akcje przeprowadziły m.in. Krytyka Polityczna, Karakter i Ha!art.

Nowości książkowe przygotowuje też krakowskie wydawnictwo SQN. Firma od 13 marca pracuje zdalnie. – Niektóre premiery zostają przesunięte, ale nie wszystkie. Są tytuły, które sprzedają się w dużej mierze „z półki," czyli klient musi zobaczyć książkę, wziąć do ręki, przeczytać opis. W przypadku takich tytułów premiery zostają odsunięte do czasu, aż otworzą się księgarnie stacjonarne. Pozostałe premiery staramy się utrzymać – mówi Łukasz Kuśnierz, współwłaściciel SQN.

Jego zdaniem sprzedaż książek w internecie nie jest w stanie zrekompensować tej w księgarniach. Dlatego firma przewiduje spadki obrotów w czasie kwarantanny na poziomie minimum 60%. – Czytelnicy mają w tym momencie inne rzeczy na głowie, martwią się o przyszłość, więc zakup książek spada na drugi plan. Mamy nadzieję, że gdy osłabnie panika, czytelnicy będą szukali sposobu na zagospodarowanie czasu i sięgną po książki – wyjaśnia i zaznacza: – A my liczymy na pomoc rządu i wspieranie biznesu. Jesteśmy normalnym przedsiębiorstwem, płacimy podatki, ZUS, wynagrodzenia pracowników. W tym momencie zaczyna nam już brakować środków na pokrycie tych zobowiązań. Pojawiają się zatory płatnicze i księgarnie opóźniają płatności. Dlatego bardzo potrzebna jest pomoc, która pozwoli zachować płynność finansową, utrzymać pracowników oraz firmę.

Problemy rynku książki w czasach pandemii dotykają nie tylko Polskę. Wydaje się jednak, że nasi przedstawiciele branży nie potrafią mówić jednym głosem, tak jak w Czechach, gdzie część księgarzy, wydawców i dystrybutorów książek wystosowała list otwarty do premiera Andreja Babiša. Jak przekonują autorzy, czeskiemu rynkowi książki grozi upadek. Przede wszystkim ze względu na katastrofę, jaka może czekać sieci księgarń, których sytuacja już wcześniej była niepewna.

W tym wszystkim Czechom nie brakuje typowego poczucia humoru. – Nie chcę bagatelizować sytuacji, ale najczęstszą wymówką pisarzy, by nie uczestniczyć w targach książki, jest potrzeba spokoju w pracy nad nową książką. A teraz, w czasie kwarantanny, sporo autorów ma tego spokoju dość, a może i za dużo – powiedział Radovan Auer, dyrektor Targów Książki w Pradze.

Łukasz Grzesiczak

eprasa.pl 38b889f7bb

SERIAL

CO ROBIMY W UKRYCIU

reż. Taika Waititi, Jemaine Clement, Jackie van Beek, Jason Woliner, prod. USA, 10 odcinków, dostępne w HBO GO

Nadja zapomniała, że 200 lat temu, podczas miłosnego uniesienia, wampirzy baron kazał jej podbić Nowy Świat. Teraz szef mówi sprawdzam, a wampirzyca i jej wierni towarzysze: mąż Laszlo i współlokator Nandor (również krwiopijcy) oraz człowieczy sługa Guillermo, którzy mieszkają w Nowym Jorku, lądują w poważnych tarapatach. Ich poczynania oglądamy w konwencji *reality show* – bohaterowie udzielają wywiadów do kamery i komentują na bieżąco akcję. Chętnie też przywołują przeszłość. A że stuknęło im kilka setek, mają co wspominać! O podbojach – dosłownych i miłosnych – opowiadają z zaangażowaniem i w archaicznej manierze, co samo w sobie jest diabelsko śmieszne. Twórcy (wśród nich Taika Waititi i Tilda Swinton) postarali się, by posplatać ich losy z dramatycznymi momentami historii; widać, że ambicją było coś więcej niż parodia „Zmierzchu" i „Wywiadu z wampirem". Udało się to również dzięki ilustrującym wypowiedzi, wyszperanym i stylowym rycinom, obrazom i muzyce sprzed dekad. Z pewnością jednak nie każdy ten specyficzny serial kupi. Warto natomiast dać mu szansę, bo *sitcom* wykorzystuje wampirzą ikonografię w niegrzeczny sposób i nie boi się dać prztyczka w nos amerykańskiej administracji ani Kościołowi.

Artur Zaborski

FABUŁA

MROCZNE WODY

reż. Todd Haynes, prod. USA, Cineman.pl

Najbardziej znany z roli Hulka Mark Ruffalo gra tu innego superbohatera – mecenasa Bilotta, któremu wygodne życie zapewniła obrona korporacji trujących świat. Ale kiedy do jego drzwi puka sąsiad babci, nieokrzesany farmer, któremu krowy masowo giną na skutek nieokreślonych owrzodzeń, coś w nim pęka. Na własną rękę prowadzi śledztwo, w którym głównym podejrzanym jest DuPont, potentat odpowiedzialny za produkcję teflonu. To film amerykański, więc Dawid i Goliat są czarno-biali, a ich nierówny pojedynek odbywa się podług starych jak kino reguł. Zwłaszcza środkowej części, w której przedłużający się proces nastawia wszystkich przeciwko Bilottowi, brakuje oryginalności. Szlachetność bohatera (a właściwie Bohatera!) nie ma szans wystawić się na próbę, ale czy w opowieściach ku pokrzepieniu serc musi? To film w słusznej sprawie, bogaty w faktografię, który ma uświadomić widzowi nieczyste praktyki korporacji. I w tej roli sprawdza się oscarowo, bo jeśli macie jeszcze teflon w domu, to po projekcji szybko się go pozbędziecie.

Artur Zaborski

OPERA W SIECI

MĄŻ Z LOSOWANIA

Przypomnienie znakomitego spektaklu Opery Krakowskiej w smutny kwarantannowy wieczór (na kanale YouTube) przydało nieco rumieńców naszemu kulturalnemu bytowaniu. Młodzieńcze dzieło Karola Szymanowskiego, z którego zachowały się tylko operetkowe śpiewy, zostało wzbogacone o paralelną fabułę w wykonaniu aktorek, grających wnuczki fundatora zabawnej „Loterii na mężów". Powstała typowa śpiewogra z ładnymi melodiami w stylu Franza Lehara i niepozbawioną pikanterii intrygą. Pojawili się artyści świetnie czujący się w takim lżejszym gatunku, wśród nich rewelacyjny Kazimierz Różewicz, co pokazuje, że nie tylko „młodzi, zdolni" mają coś do powiedzenia i zaśpiewania.

Bronisław Tumiłowicz

Karol Szymanowski, „Loteria na mężów, czyli Narzeczony nr 69", reżyseria Józef Opalski, tekst Wojciech Graniczewski, kierownictwo muzyczne Piotr Sułkowski, dostępne na YouTubie.

MIĘDZY OKŁADKAMI

Agata Tuszyńska,
Iwona Chmielewska

Mama zawsze wraca

Dwie Siostry, Warszawa 2020

Wydawnictwo znane jest z wartościowych i nagradzanych książek dla dzieci. Tym razem to książka o dziecku. Zosia Zajczyk urodziła się w maju 1939 r., życie pod okupacją niemiecką było więc jedynym, jakiego doświadczała. Jej świat szybko się zawężał, znikali z niego kolejni bliscy, a przestrzeń ograniczała się – najpierw do getta, a wkrótce do komórki na opał. Właściwie cały świat tworzyła dla niej matka, rysując go i opowiadając („Myślałam, że wiatr to jest taki ktoś. Wtedy mama tak dmuchała leciutko i tłumaczyła mi, że tak robi wiatr"), przynosząc jego cząstki: bazie, jesienne liście, żartując i ucząc czytać, pisać, haftować... Tę opiekuńczość i magię wyobraźni oddają kolaże Iwony Chmielewskiej, znanej z autorskich picture-booków. Faktura i barwa starego papieru przywołuje ciemność kryjówki. To często czarne karty albumów na rodzinne zdjęcia i rozdzielający je pergamin – jakże plastyczny. Niezwykła opowieść, o swoistej melodii, w niezwykłej oprawie graficznej. Wiele mówi o traktowaniu ocalałych w Izraelu, z drugiej strony może się przydać rodzicom tu i teraz. Bo czym wypełnić świat dziecku? Nawet w najgorszych czasach miłością i wyobraźnią.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 38b889f7bb

Dzień po

W kinie postapokaliptycznym historia świata zaczyna się od zera

Wiesław Kot

Jestem legendą

Kino od dawna próbuje wyobrazić sobie świat po zagładzie. Z postapokalipsą film próbuje się zmierzyć w najrozmaitszych formułach – od SF, przez horror, dramat psychologiczny, po cyberpunk. Wszystko na zasadzie: wprowadźmy chaos i obserwujmy, co będzie się działo. Ano, obserwujmy.

Stało się!

Kataklizm? Jaki kataklizm?! Na dobrą sprawę nikt właściwie nie wie, co zaszło. „Długi błysk i seria wstrząsów" – tylko tyle da się powiedzieć. Albo: „Nastąpił atak. Potężny. Rosjanie wynaleźli naprawdę sporo paskudnych rzeczy". Albo jeszcze inaczej. Wynaleziono rewelacyjny środek medyczny na nowotwór. Leczy wszystkie przypadki. Coś jednak poszło nie tak i po trzech latach Ameryka się wyludniła. Cóż, leku nie zbadano pod kątem nieprzewidzianych skutków ubocznych. W efekcie ludzie, którym go zaaplikowano, albo wymarli, albo zmienili się w krwiożercze bestie („Jestem legendą"). A może komuś odpowiada taki przebieg wypadków: Ziemię najechali obcy z kosmosu, żeby przejąć zasoby planety. Ziemianie użyli broni atomowej i wygrali wojnę, ale stracili miejsce do życia na skażonej planecie. Resztki ludzkości krążą na orbicie w ogromnej stacji kosmicznej. Docelowo wybierają się na Tytana, jeden z księżyców Saturna („Niepamięć").

Idźmy dalej. Specjalny środek chemiczny wypuszczono do górnych warstw atmosfery, aby obniżyć temperaturę na Ziemi i tym samym zniwelować efekt cieplarniany. Jednak nie przewidziano wszystkich konsekwencji. Ziemię skuł lód i pokrył śnieg, a życie zamarło („Snowpiercer. Arka przyszłości"). Każda poprzednia wersja filmowej zagłady przebija następną. Tajny program wojskowy uzyskał samoświadomość. Uznał ludzkość za zagrożenie i postanowił zaatakować pierwszy. Ci, którzy ocaleli, są skazani na wojnę z superinteligentnymi maszynami („Terminator. Ocalenie").

Pejzaż po apokalipsie przypomina libańskie dzielnice nędzy, brazylijskie fawele i żydowskie getta. Patrzyliśmy na to przekonani, że nas to nie dotyczy.

Świat bez drogowskazów

Większość ludzkości wyginęła. Czas stanął w miejscu. Kalendarze i mapy straciły przydatność. Rodzina, krewni, znajomi zniknęli. Z dalszych okolic dochodzą tylko mgliste sygnały i zagadkowe symptomy. Radio podaje natężenie promieniowania, „a jeżeli chodzi o dobre wiadomości, to nie ma takich" („Hardware"). Nieliczni ocaleńcy snują się w widmowym krajobrazie, kamera filmuje plener przez brązowy lub czerwony filtr („Droga"). Kolory zanikają, z trudem można odróżnić niebo od ziemi i wyznaczyć linię horyzontu. Góry piętrzą się jak hałdy kopalniane, lasy to kikuty drzew sterczące jak po pożarze. Na ziemię nieustającym deszczem opadają popioły. Właściwie nie dziwi nic – np. stary samochód ciągnięty pustynnym bezdrożem przez karawanę wielbłądów („Mad Max pod Kopułą Gromu"). Te rozbuchane wizje miewają czasem rozmach wręcz operowy jako popis dekoratorów, rekwizytorów, scenografów i speców od efektów wizualnych.

Po ulicach Nowego Jorku biegają stada dzikich kozic, polują na nie lwy, które uciekły z zoo. Trawniki zmieniły się w chaszcze. W Central Parku rośnie kukurydza („Jestem legendą"). Autostrady to pasma złomowisk – za kierownicą tkwią jeszcze szkielety kierowców, których zagłada dopadła w trakcie ucieczki. Jednak, gdy lepiej się przyjrzeć, okaże się, że tę zagładę oglądaliśmy wiele razy w wiadomościach. Z tym że daleko od nas. Pejzaż po apokalipsie przypomina a to libańskie dzielnice nędzy, a to nowojorskie slamsy, a to brazylijskie fawele, a to żydowskie getta w czasach Holokaustu. Patrzyliśmy na to z bezpiecznej odległości, przekonani, że nas to nie dotyczy.

Jednak najbardziej egzotyczną figurą w tym pejzażu pozostaje człowiek. Ewolucja się zwija, ludzie wracają na drzewa. Zmieniają się w drapieżniki, co w tej sytuacji wydaje się najrozsądniejsze. Ostatecznie przeżyją ci, którzy najszybciej upodobnią się do zwierząt

eprasa.pl 38b889f7bb

i najłatwiej, bez skrupułów, zapomną, że bycie człowiekiem zobowiązuje do czegokolwiek. I ci, którzy pierwsi zrozumieją, że mnóstwo przedmiotów dotąd będących na codziennym wyposażeniu – od telefonu komórkowego po łyżkę – traci użyteczność, a napastnika albo konkurenta do porcji jedzenia można zabić właściwie wszystkim („Cloverfield Lane 10"). Pod tym zaś względem zdegradowany *homo sapiens* wykazuje nieograniczoną pomysłowość. Zresztą człowiek stał się teraz maszyną, surowcem. Można go zjeść, można zakuć w łańcuchy i zmusić do pracy. Spory rozstrzyga się na prowizorycznych arenach walk. Sprawiedliwość jest po stronie tego, który przeżyje. Obowiązuje jedna zasada: dwóch wchodzi, jeden wychodzi. „Innych zasad nie złamiesz, bo nie istnieją" („Mad Max pod Kopułą Gromu").

Nadeszła epoka, w której żywi często zazdroszczą umarłym. Zresztą i umrzeć jest dość trudno. Śmierć głodowa to długotrwałe, wyczerpujące konanie. „Umrzeć? To głupota żądać luksusów w takich czasach". A czasy nastały takie, że często jedyną przysługą, jaką człowiek może oddać komuś z najbliższych, to zabić go w możliwie bezbolesny i humanitarny sposób.

Zagrożenie w kinie postapokaliptycznym bywa wręcz absurdalne. Oto Ziemię opanowały metalowe pająki. Są ślepe, a ludzkie ofiary namierzają dzięki wyostrzonemu zmysłowi słuchu. Kto chce przeżyć, musi się nauczyć milczeć i poruszać bezszelestnie („Ciche miejsce"). A spróbujcie w całkowitej ciszy spędzić bodaj jeden dzień! No tak, ale w świecie, który ocalał, pod znakiem absurdu upływa całe życie.

Rytuał, który ocala

Sprostanie postapokalipsie od strony psychologicznej to osobny wyczyn. Zagładę trudno znieść, nawet gdy się ocalało. Ludzie popadają w paranoję, wszędzie węszą spiski, rozpuszczają plotki, zawiązują się pośpieszne, tymczasowe sojusze, wybuchają konflikty o wszystko. Byle zgarnąć więcej jedzenia, byle przeżyć do jutra. Wszyscy wynajdują sobie bezsensowne zajęcia, żeby nie zwariować. Chętnie słuchają na wpół oszalałych samozwańczych mesjaszów. „Ten, kto robi atrakcyjne obietnice, zawsze wydaje się uduchowiony" („O-bi, o-ba. Koniec cywilizacji"). Ludzie po katastrofie rozmawiają nawet ze sklepowymi manekinami albo z własnym psem, byle zachować jak najwięcej z dawnego świata, z dawnych przyzwyczajeń, by zyskać namiastkę tego, co wcześniej stanowiło ich życiową otulinę. Bez niej radykalnie odmienny świat byłby nie do wytrzymania. Na dłuższą metę prowadziłby do szaleństwa albo samobójstwa. Przed obłędem można także się chronić poprzez regularne, drobiazgowe wykonywanie codziennych czynności, choćby był to pusty rytuał („Jestem legendą").

W nowej sytuacji kiełkują dylematy moralne, przed którymi wcześniej nie stawaliśmy. W filmie „Droga" syn wypytuje ojca w trakcie morderczej walki o przeżycie: „Czy wciąż to my jesteśmy ci dobrzy?". Pytanie na miejscu. Przed apokalipsą podobne doświadczenie było udziałem stosunkowo nielicznych nieszczęśników: więźniów obozów koncentracyjnych, gułagów czy żydowskich gett w czasie Holokaustu. Teraz to doświadczenie całej ludzkości.

Z licznych symulacji filmowych na tym polu odnotujmy i taką, że przetrzebiony gatunek *homo sapiens* może już się nie odrodzić w znanej postaci. Tsunami, które przeszło przez świat, spowodowało, że teraz powstają najdziwaczniejsze hybrydy organiczno-elektroniczno-mechaniczne. Zupełnie nowe byty – nie wiadomo, czy żywe i czy mają świadomość. By znaleźć obcych, nie musimy już się wyprawiać do innej galaktyki, jak w czasach Lema (pamiętamy wyprawę „Niezwyciężonego"?) – mamy ich za rogiem.

Zagładę trudno znieść, nawet gdy się ocalało. Ludzie popadają w paranoję, wszędzie węszą spiski, rozpuszczają plotki, zawiązują się tymczasowe sojusze.

I najbardziej dręcząca świadomość: że w tym nowym świecie już nigdy nie zrobimy tego, co sobie zawsze obiecywaliśmy: ani tatuażu, ani „szalonej nocy w Vegas"; już nie pojedziemy na wymarzone wczasy na Bali ani na pielgrzymkę do wyjątkowego sanktuarium. Nikt nas nie opłacze, gdy umrzemy: „Posiadanie dzieci to teraz słabość, sadyzm i samobójstwo". Władze zresztą ograniczają populację, cofają przydziały żywnościowe jednostkom nieprzystosowanym, kastrują mężczyzn chorych i z wysokim poziomem skażenia radioaktywnego. Dla dobra pozostałych.

Ponumerujmy priorytety

Czy z tych tragicznych wizji można wyciągnąć naukę? Można. Na przykład tę, że struktura społeczna oraz system wytwarzania i dystrybucji dóbr to skomplikowany mechanizm, działanie o wielu zmiennych. Łatwo się zacina, trudno go naprawić i szybko popada w stan kontrproduktywności i atrofii. Należy więc chuchać i dmuchać, by jak najwięcej z niego ocalało po przejściu wojny czy zarazy. Świętą powinna być zasada: zachowaj porządek, a porządek zachowa ciebie.

Wnioski polityczne? Proszę bardzo. Dyktatura – ten rodzaj rządów na czasy postapokaliptyczne prorokuje niemal każdy film. Co przypomina widzowi, jak bardzo demokracja jest niestabilna, pracochłonna i kosztowna. I jak trudno ją

POSTAPOKALIPTYCZNA TRZYNASTKA

1. **Nazajutrz,** reż. Nicholas Meyer, 1983
2. **O-bi, o-ba. Koniec cywilizacji,** reż. Piotr Szulkin, 1984
3. **Mad Max pod Kopułą Gromu,** reż. George Miller, 1985
4. **Hardware,** reż. Richard Stanley, 1990
5. **Delicatessen,** reż. Jean-Pierre Jeunet/Marc Caro, 1991
6. **Jestem legendą,** reż. Francis Lawrence, 2007
7. **Terminator. Ocalenie,** reż. McG, 2009
8. **Droga,** reż. John Hillcoat, 2009
9. **Księga ocalenia,** reż. Albert Hughes, 2010
10. **Niepamięć,** reż. Joseph Kosinski, 2013
11. **Snowpiercer. Arka przyszłości,** reż. Bong Joon-ho, 2013
12. **Cloverfield Lane 10,** reż. Dan Trachtenberg, 2016
13. **Ciche miejsce,** reż. John Krasinski, 2018

eprasa.pl 38b889f7bb

Snowpiercer. Arka przyszłości

praktykować w świecie dotkniętym przez anarchię. Najłatwiej w czasach niespokojnych przyjmuje się zamordyzm pod pretekstem zachowania porządku, który ochroni życie ocalałym. Reglamentacja wszystkiego, rygor i dozór. „Znajcie swoje miejsce! Pilnujcie go!", słychać z megafonów. Posłuch wymuszą publiczne egzekucje. Operetkowy tyran obwieszony medalami nie wiadomo za co przypomina dyktatorów z Korei Północnej („Snowpiercer. Arka przyszłości").

Poza tym ta tragiczna sytuacja wymusza na ludzkości ponumerowanie od nowa życiowych priorytetów. A to często oznacza dla człowieka kolejny kataklizm. Film „Księga ocalenia": „Przed zagładą ludzie mieli więcej, niż było im potrzebne. Niczego nie doceniali. Wyrzucali rzeczy, o które teraz się zabijają".

Filmy postapokaliptyczne testują także nauki bałamutne i groźne, które infekują umysły po zagładzie. Z wojny, która doprowadziła w zasadzie do unicestwienia ludzkości, można wyciągnąć i taki wniosek, że teraz należy wytępić w ludziach to, co jest zarzewiem każdego konfliktu – emocje. Powinni żyć jak roślinki („Equilibrium", reż. Kurt Wimmer, 2002). Ustabilizowana, w miarę zasobna wegetacja, nic więcej. By utrzymać stabilne samopoczucie, wystarczy wstrzykiwać sobie regularnie prozjum – cud farmacji, który zobojętnia. Problem tylko taki, że w ludziach – zwłaszcza bardziej wiekowych – żadne lekarstwo nie jest w stanie zabić miłości do płócien mistrzów renesansu, a choćby i do starej płyty gramofonowej. No i zwierzaki. Zdrowe organizmy ludzkie nie hodują zwierzaków – do czego toto potrzebne? A jednak za taki detal ludzie gotowi są nawet oddać życie. Kiedy nakryje ich policja, zostają poddani zmatrycowaniu, co znaczy, że przefasonuje się im psychikę, tak by żaden szkodliwy poryw jej nie zaśmiecał.

Słowo, które ma władzę nad czasem

No i wreszcie pytanie, czy w tych wizjach jest jakaś nadzieja. Słaba – tak. Bo ludzkość miewa przebłyski, flashbacki z dawnych czasów, choć to często jedynie oderwane fragmenty nieprzystające do siebie, niezrozumiałe. Nie układają się w żadną hierarchię. Świat po zagładzie jest śmietniskiem nie tylko cywilizacji, ale i ducha: kultury, prawa, religii. W dodatku te sporadyczne wizje świata sprzed wybuchu są reglamentowane przez władze: „Wspomnienia nie mogą wpaść w niepowołane ręce". Ci, którzy ustanawiają nowy ład, nie życzą sobie, aby ktokolwiek patrzył im na ręce. Dlatego wspomnienia bywają kasowane, a wiedzę o świecie – dawnym i tym nowym – przekazuje się z jednego, centralnego źródła. Oczywiście tych biednych ocalałych można bezkarnie tumanić, wykorzystywać i do woli nimi manipulować.

Nic dziwnego – zagłada zniszczyła naturalny tryb przekazywania młodszym pokoleniom wiedzy o cywilizacji, organizacji społecznej i kulturze. Tymczasem wyrosła cała generacja, która niczego nie pamięta, nie ma żadnych doświadczeń, żadnej wiedzy. To ludzie „zerowi", skoncentrowani wyłącznie na własnym przetrwaniu biologicznym, niewiele różniący się od zwierząt. Życie duchowe odradza się u nich z trudem i w formie pokracznej, ale tylko na takie ludzkość obecnie stać. Tworzy się nowa ikonografia, znaki, totemy, po których rozpoznają się plemiona zaprzyjaźnione i obce. Komuś przypomina się figura krzyża, ale nikt już nie pamięta, co on oznacza. Wszystko to trudno zresztą wyrazić, bo młode pokolenia zapomniały języka przodków. Mowę zastępują pohukiwania, szczekanie, pomruki. Jedni po drugich powtarzają stare słowa, które teraz nic dla nikogo nie znaczą. Ocalali w tym dziwacznym języku przywołują fragmenty legend zasłyszane nie wiadomo gdzie i od kogo. Ale w ten sposób rodzi się literatura. Jak za czasów Homera opowieści przekazywane są z ust do ust. I najważniejsze: każdy taki przekaz zaczyna się i kończy przypomnieniem słuchaczowi, że jak najwięcej należy zapamiętać, by przekazać potomnym.

Jednego zaraza czy kataklizm nie są w stanie zniszczyć do końca – nadziei. Ta każe wierzyć, że dawny świat się odrodzi, choć podstawy tej wiary bywają kruche. Podobno gdzieś ocalała Księga, w której zapisano zasady dawnego porządku. Ona pomoże odtworzyć świat sprzed apokalipsy, kiedy obowiązywały reguły, których teraz nikt już nie pamięta („Księga ocalenia"). To potwierdzenie odwiecznej prawdy, że słowo utrwalone na piśmie pozwala w pewnym sensie zatrzymać czas, przechować doświadczenie, a może nawet odwrócić to, co nieodwracalne. Czyż nie o tym samym mówiła Olga Tokarczuk w przemówieniu noblowskim?

Wiesław Kot

Ludzie po katastrofie rozmawiają nawet ze sklepowymi manekinami, byle zachować jak najwięcej z dawnego świata.

FOT. BEWPHOTO, LMK/BEWPHOTO

eprasa.pl 38b889f7bb

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Przedwojnie

Miałem zamiar otworzyć felieton cytatem z Ciorana, albowiem w czasie zarazy ten papież mizantropów smakuje jak nigdy, powszechna kwarantanna zdaje się najdoskonalszą przyprawą do Cioranowskich lamentacji – ale akurat natrafiłem na przestrogę, by „nie ufać myślicielom, których umysły wprawia w ruch dopiero cytat". Oto więc, samemu do siebie zaufanie utraciwszy, stwierdzam, że żarty się skończyły, zarazem chciałbym o tym powiedzieć żartobliwie. Nigdy nie czułem się patriotą, bo na pytanie: „Czy oddałbyś życie za Ojczyznę?", dotąd odpowiadałem zdecydowanie negatywnie. Owszem, życie mógłbym oddać za swoje dzieci, takoż w imię obrony własnej komuś je odebrać, ale dla Ojczyzny, dla Narodu, a już nie daj Boże dla Boga – dla wszystkich mglistych idei pisanych dużą literą – po stokroć nie. Tymczasem właśnie dziś, legalnie zasiadając na balkonie pod gałęziami kasztanowca w pąkach, zamiast radośnie kichać na wszystko i rytualnie odchorowywać falę kwietniowych pyleń, znajduję w sobie gniew zgoła patriotyczny.

Cyrk z niekonstytucyjnym wprowadzeniem głosowania korespondencyjnego, ażeby „nie łamać konstytucji", ostatecznie zdelegitymizował tę władzę. Już nie musi ona niczego udawać. Nie dziwi więc, że w poczuciu absolutnej bezkarności pisowcy wyjęli demony z zamrażarki i pod osłoną wirusa zamierzają je w najbliższych dniach poddać woli parlamentarnej większości – na czele ze średniowiecznym projektem fanatycznej sekutnicy, która chce bezwzględnego zakazu aborcji. Azaliż ryzyko zarażenia się koronawirusem jest w jakikolwiek sposób niebezpieczniejsze od ryzyka życia w totalitarnym państwie kaczystów?

Ja tam wolę odchorować swoje, niż biernie siedzieć w zamknięciu i patrzeć, jak pisowski walec rozjeżdża w Polsce resztki demokracji. *Ergo*, wbrew zakazom gotów jestem wziąć udział w demonstracjach ulicznych, nawet jeśli niesie to ze sobą ryzyko choroby, niż przyzwolić na to, by sekta narodowych socjalistów katolickich docisnęła imadło. Więcej nawet – wizja życia w państwie PiS jest mi już bardziej wstrętna niż śmierć. Władzę, która administruje bezprawiem, należy obalić wszelkimi sposobami, także siłą. Jeśli teraz się nie postawimy, nie zrobimy tego już nigdy. Nie da się protestować zdalnie.

Dokonuje się właśnie ostatni etap rewolucji społeczeństwa resentymentu. Zasiewanie przez propagandowe media wrogości do elit, autorytetów, inteligencji, podważanie kompetencji sądów, lekarzy, nauczycieli, inwersja wartości – podział Polaków na dwa gardzące sobą i nienawidzące się plemiona – to wszystko właśnie kiełkuje. Patrzenie wilkiem stało się spojrzeniem obowiązującym urzędowo. Ludzie widzą już wokół nie innych ludzi, lecz potencjalnych nosicieli zarazy. Do uprzedzeń na tle klasowym, religijnym i politycznym doszedł instynktowny lęk o własne zdrowie. Jesteśmy już na przedprożu wojny domowej (chciałem napisać: w przedpokoju, ale to raczej przedwojnie).

Ostatnie dni przed zamknięciem pensjonatów spędziliśmy na Warmii w gospodarstwie agroturystycznym emerytowanego tenisisty, który się był osiedlił na wsi przed dekadą. Żył dotąd z tubylcami zgodnie, zaopatrywał się u nich w produkty spożywcze, zatrudniał kilkoro ludzi do pomocy. Teraz przestrzegł nas, żebyśmy w sklepie wiejskim się nie pokazywali, żebyśmy nie mówili, że mieszkamy u niego – bo się boją, że „miastowe im wirusa przywieźli", gotowi pogonić nas widłami. Potem robiliśmy jednodniowe wycieczki na przedmieścia, do lasu, na rower, na przebieżki – i tego zakazano. Mundurowi polują na łatwy łup – rozdają „pięćset minus" wszystkim, których uznają za wałęsających się dla przyjemności, rowerzystów wyłapują na ścieżkach rowerowych, by wlepiać im druzgoczące kary administracyjne od 12 tys. wzwyż. Na razie władza poluje na cyklistów, przyjdzie czas na Żydów i masonów. A plemię Jarosławowe się cieszy. Donosi komu trzeba. Łypie i zgłasza. Komuż bowiem odebrano przywileje? Któż to jeździ bez celu na rowerze, biega po lasach, wizytuje muzea i teatry, któż po książki sięga?

Jeśli teraz się nie postawimy, nie zrobimy tego już nigdy. Nie da się protestować zdalnie.

Zamknięcie bibliotek było jedną z pierwszych decyzji rządu w kraju, w którym dwie trzecie społeczeństwa nie czyta wcale. Elity wielkomiejskie wreszcie mają za swoje. Społeczeństwo resentymentu już nie musi złowrogo patrzeć na ludzi cieszących się życiem – kto powiedział, że życie ma cieszyć? Jeszcze tylko ostali się ci od kanapiesków – wyłażą z nimi o każdej porze na sikupę, jeszcze ich ta smycz prywatna od smyczy państwowej chroni. Ale na nich też przyjdzie kryska. Wszak wiejskie psy z łańcucha się spuszcza, tylko żeby poszczuć obcych, całe te spacery to miastowa fanaberia. Tak sobie myślę w tym przedwojniu – został nam miesiąc, potem Duda blada na wieki.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 38b889f7bb

Polarniczki

Kobiety na stacji polarnej są znacznie bardziej niż mężczyźni nastawione na współpracę i łatwiej im rozwiązywać problemy międzyludzkie

DAGMARA BOŻEK
– autorka projektu Polarniczki (www.polarniczki.pl)

Z pingwinem Adeli. Wyspa Króla Jerzego, Antarktyka.

Rozmawia Katarzyna Niedurny

Alina Centkiewicz, autorka i współautorka popularnych książek o tematyce polarnej, jest bohaterką historii cytowanej przez ciebie w książce „Ryszard Czajkowski. Podróżnik od zawsze". Opowiada ona o tym, że droga na Antarktydę dla kobiet nie była prosta.

– Alina Centkiewicz była pierwszą Polką, która dotarła na Antarktydę. Było to w 1959 r. Wyprawa, w której brała udział, została zorganizowana przez Polską Akademię Nauk w celu oficjalnego przejęcia przez Polaków stacji badawczej Oasis w Oazie Bungera na Antarktydzie Wschodniej. Miał być to wyraz współpracy „bratnich narodów". Alina wyjechała jako stypendystka Ministerstwa Kultury. No i oczywiście była osobą towarzyszącą mężowi Czesławowi – pełnoprawnemu członkowi ekspedycji. Dalsza historia ma kilka wariantów. Alina na pewno dotarła do stacji Mirnyj, największej ówczesnej radzieckiej stacji na Antarktydzie. Okazało się jednak, że nie może polecieć do samej Oazy Bungera. Pozwolono jej jedynie na przelot nad stacją. Sami Centkiewiczowie piszą o tym w książce „Kierunek Antarktyda" z goryczą, a w ich opisach pojawia się sugestia, że problemem miała być Alina jako kobieta. Ze źródeł, do których dotarłam, wynika jednak, że sprawa była bardziej skomplikowana i najważniejszym czynnikiem były warunki atmosferyczne oraz pojemność samolotu.

Kiedy w historii polarnictwa pojawiły się pierwsze Polki?

– Muszę zrobić zastrzeżenie, że w projekcie Polarniczki zajmuję się kobietami, które uczestniczyły w ekspedycjach naukowych, a nie sportsmenkami. Pierwszą polską naukowczynią, która pojawiła się na Spitsbergenie, była więc geografka Zofia Michalska z Uniwersytetu Warszawskiego. Dotarła tam w wyprawie letniej w 1958 r. jako asystentka prof. Stefana Zbigniewa Różyckiego. Gdyby nie to, że towarzyszyła mężczyźnie, jej przyjazd nie byłby możliwy. Podobnie było w kolejnych przypadkach. W 1960 r., również w wyprawie letniej, trafiła tam Anna Wanda Siedlecka, żona Stanisława, założyciela stacji w Hornsundzie. Chociaż jest ona z wykształcenia geologiem i prowadziła własne badania, jak podkreśla, bez męża nie mogłaby nawet marzyć o takiej wyprawie. Jeśli chodzi o zimowanie, czyli całoroczny pobyt, pierwsza była tam w latach 1995-1996 geolożka Danuta Bednarek. Jej mąż Jacek Bednarek był kierownikiem wyprawy. Dopiero na początku XXI w. kobiety zaczęły się pojawiać tam jako pełnoprawne uczestniczki ekspedycji, a ich obecność stała się naturalna.

A jeśli chodzi o Antarktykę?

– Pierwsze kobiece nazwiska pojawiają się tam znowu w kontekście wypraw letnich na przełomie

Dagmara Bożek – polarniczka, autorka książek „Dom pod biegunem. Gorączka (ant)arktyczna", „Ryszard Czajkowski. Podróżnik od zawsze". Uczestniczyła w 35. Wyprawie Polarnej IGF PAN do Polskiej Stacji Polarnej Hornsund na Spitsbergenie (2012-2013) oraz 40. Wyprawie Antarktycznej do Polskiej Stacji Antarktycznej im. Henryka Arctowskiego na Wyspie Króla Jerzego (2015-2016). Na co dzień pracuje w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN jako wsparcie logistyczne stacji im. Arctowskiego.

eprasa.pl 38b889f7bb

lat 70. i 80. Pierwsza zimowniczka Anna Kołakowska to dopiero połowa lat 80. W stacji Arctowskiego, szybciej niż na Spitsbergenie, pojawiła się kierowniczka wyprawy. Była to prof. Maria Olech, która zimowała tam w latach 1991-1992. W Hornsundzie, na północy, była to dopiero Anna Kowalska w latach 2010-2011.

Dzięki projektowi Polarniczki z częścią tych kobiet miałaś okazję się spotkać. Jakie są ich wspomnienia z wypraw? Płeć była problemem?

– Dotychczas przeprowadziłam 10 wywiadów. Planuję zrobić ich ze 40. Najciekawsze fragmenty rozmów publikuję na stronie internetowej, na fanpage'u o tej samej nazwie zajmuję się działalnością popularyzatorską, a także przygotowuję się do napisania książki. Z kobiet, o których tu mówimy, widziałam się z prof. Marią Olech, Anną Wandą Siedlecką i Danutą Bednarek. I od razu powiem, że pamięć jest bardzo podatna na działanie czasu. Mamy tendencję do pamiętania dobrych rzeczy. Moje rozmówczynie mówią, że pozostali uczestnicy wypraw dobrze się do nich odnosili, że wyjazdy wpłynęły na ich dalsze życie zawodowe. A jednocześnie podkreślają, że weszły w środowisko całkowicie męskie i że przepustką do wyjazdu byli ich mężowie. Wyjątkiem jest tu prof. Olech, która od początku działała jako samodzielna badaczka. Musiała się przedzierać i rozpychać łokciami, żeby udowodnić swoją wartość i zaistnieć w tym środowisku badawczym. A ja wszystkim tym paniom jestem bardzo wdzięczna za ich starania. Dzięki temu, że przetarły szlaki, ja i moje koleżanki możemy wyjeżdżać na kolejne ekspedycje bez większych problemów.

Ty zimowałaś dwukrotnie: raz na Spitsbergenie, raz w Antarktyce. Czy mimo to coś cię zaskakiwało w przeprowadzonych rozmowach?

– Nie, ale myślę, że bez osobistego doświadczenia nie mogłabym prowadzić wywiadów. Zimowanie jest bardzo abstrakcyjnym przeżyciem i trudno je sobie wyobrazić. Natomiast z zaskoczeniem odkryłam w czasie prowadzonych badań, że znana pisarka Magdalena Tulli również jest biolożką i polarniczką i że spędziła pół roku w stacji Arctowskiego. Kiedy umówiłyśmy się na spotkanie, pani Magdalena zastrzegła, że nic ciekawego mi nie opowie, bo wspomnienia już w niej się zatarły. Tymczasem wychodząc z rozmowy, miałam wrażenie, że dopiero ją zaczęłam. Przekonałyśmy się, że operujemy tym samym językiem, mamy podobne doświadczenia, a pobyt w stacji polarnej jest czymś, co zostaje w człowieku na zawsze.

W książce „Dom pod biegunem. Gorączka (ant)arktyczna" przytaczasz anegdotę, w której lekarz podczas badań przed wyjazdem spostrzega, że ma tylko pieczątkę z napisem zdolny, a tymczasem w twoim przypadku przydałaby mu się wersja: zdolna. Jak na wyjazd na Spitsbergen zareagowali twoi bliscy? Usłyszałaś, że to nie jest miejsce dla kobiet?

– Generalnie dobrze. Jechałam na wyprawę, jak każe tradycja, z moim – teraz byłym – mężem. Większość osób reagowała z ożywieniem i zaciekawieniem, bliscy martwili się, że coś może nam się stać. Chociaż pamiętam jeden z absurdalnych komentarzy: farbowałam wtedy włosy na blond i ktoś dopytywał, jak ja sobie dam radę bez fryzjera. Tymczasem w obliczu całego przedsięwzięcia najmniejszym problemem wydawało mi się to, czy będę miała włosy ufarbowane, czy nie. Gorzej mają koleżanki, które na wyprawy jeżdżą regularnie. Katarzyna Greń z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu była na Spitsbergenie w ośmiu wyprawach letnich. Teraz będzie zimowała na stacji Arctowskiego, a spotykała się z komentarzami, że czemu taka młoda dziewczyna życie sobie marnuje, że mogłaby pomyśleć o rodzinie...

Z czym jeszcze kobiety muszą się mierzyć w czasie wypraw? Co dla ciebie było problemem?

– Przekonanie się o tym, że jestem słabsza fizycznie. W normalnym świecie nigdy tego nie odczuwałam, a tam stało się to dla mnie dużym problemem. Nie byłam w stanie np. podnieść 50-kilowego silnika łodzi motorowodnej, aby bezpiecznie zacumować. Ktoś musiał mi zawsze pomagać. Dużo było takich sytuacji, które mnie frustrowały, ale nie spotkałam się z tym, żeby ktoś śmiał się ze mnie z tego powodu. Nikt mi nie wypominał, że jestem kobietą i nie daję rady. Musiałam za to przeżyć to w sobie. Problemem okazuje się tam również fizjologia. Na stacjach badawczych wszystkie reakcje są ostrzejsze, a nasze organizmy bardziej czułe, dlatego widać tam, jak w trakcie cyklu zmieniają się nastroje kobiet. I chociaż nie miało to wpływu ani na ich pracę, ani na relacje międzyludzkie, widziałam jak same panie męczyły się z tym. Autoocena była w tym najtrudniejsza.

W „Domu pod biegunem" piszesz za to, że obecność kobiet na ekspedycjach znacznie poprawia atmosferę na stacji.

– Z badań przeprowadzonych w ramach psychologii polarnej, dość młodej dziedziny, zajmującej się polarnikami, wynika, że kobiety na stacji są znacznie bardziej niż mężczyźni nastawione na współpracę i łatwiej im rozwiązywać problemy międzyludzkie. Łagodzą również obyczaje. Przy nas panowie mniej przeklinają, dbają o wygląd zewnętrzny, starają się lepiej zachowywać w przestrzeni stacji. W polskim środowisku polarników bardzo popularnym argumentem powtarzanym w kontekście tego, dlaczego kobiety nie powinny zimować, była opinia, że wywołują one zbyt wiele konfliktów w grupie. Tymczasem okazuje się, że jest na odwrót. Różnice widoczne są również w pełnionych funkcjach. Panie są najczęściej zatrudniane i aplikują na stanowiska naukowe i administracyjne, bardzo

Polarniczki z poprzednich lat podkreślają, że weszły w środowisko całkowicie męskie i że przepustką do wyjazdu byli ich mężowie.

Wyprawy polarne są laboratorium stosunków międzyludzkich. Nie można strzelić focha i do kogoś się nie odzywać przez dwa tygodnie, reakcja następuje natychmiast.

eprasa.pl 38b889f7bb

Na południowym Spitsbergenie.

rzadko na techniczne. Z moich obserwacji wynika również, że kobiety na stanowiskach naukowych są bardziej niż mężczyźni drobiazgowe w zbieraniu i opracowywaniu danych i wykazują o wiele więcej cierpliwości w monotonnych, powtarzalnych czynnościach.

Joanna Perchaluk-Mandat, z którą rozmawiałaś, zwraca uwagę na to, że kobiety są bardzo krytycznie oceniane w czasie wyjazdów.

– Moje rozmówczynie faktycznie mówią, że kobiety i ich kwalifikacje do tej pracy są częściej brane pod lupę niż kwalifikacje mężczyzn. W przypadku Asi sytuacja jest jeszcze trudniejsza. Na swojej pierwszej wyprawie pracowała jako meteorolog, za drugim razem została zastępczynią kierownika, a kierownik na wyprawę nie dojechał, więc musiała przejąć jego funkcję i zająć się grupą, której sama nie zrekrutowała. Najwyraźniej Instytut Geofizyki PAN był z tej współpracy zadowolony, bo ponownie zaproponował jej zostanie kierownikiem. Chcę powiedzieć, że w tym przypadku Asia była oceniana podwójnie – i jako kobieta, i jako kierownik, a temu w czasie wyprawy ciągle patrzy się na ręce, niezależnie od płci. Na stacji polarnej kierownik to osoba, która jeśli chce wypracować sobie autorytet w grupie, musi pokazywać swoim przykładem, co trzeba zrobić, jak trzeba to zrobić i że to ma być doskonale zrobione. Jeśli tego nie robi, zawsze spotka się z krytyką.

Wydaje mi się, że w ogóle w czasie takich wyjazdów relacje międzyludzkie wyostrzają się.

– Dla mnie wyprawy są laboratorium stosunków międzyludzkich. Tam jak pod mikroskopem można się przyjrzeć, jak te interakcje przebiegają, i przez to, że jest tam mała przestrzeń i niewielka grupa, niezwykle się dynamizują. Nie można strzelić focha i do kogoś się nie odzywać przez dwa tygodnie, reakcja następuje od razu, czy to w formie wyjaśnienia sobie sytuacji, czy zbluzgania kogoś. Poza tym funkcjonuje się tam w pewnym mikroświecie, w oderwaniu od codziennych problemów, takich jak konieczność zrobienia zakupów czy stania w kolejce w urzędach. Za to problemami stają się tam sprawy banalne, np. to, że ktoś postawił buty w nie tym miejscu, co trzeba. To może się stać powodem kłótni na śmierć i życie.

Problemami stają się sprawy banalne, np. to, że ktoś źle postawił buty. To może stać się powodem kłótni na śmierć i życie.

Ciągle mówimy o problemach, a jednak tam jeździcie, a nawet wracacie na kolejne zimowania. Co was motywuje?

– Gorączka polarna! Pojawia się ona najczęściej po pierwszym wyjeździe i sprawia, że ludzie chcą wracać w te rejony. A początkowo jest różnie. Najczęstszą motywacją jest chęć przeżycia przygody, spełnienia marzenia. Joanna Plenzler, która jest obecnie kierowniczką 44. Wyprawy Antarktycznej na stacji Arctowskiego, o byciu polarniczką marzyła od dziecka i tak kierowała karierą, żeby w końcu w wieku trzydziestu kilku lat na nią trafić. Kolejną pobudką jest motywacja zawodowa kobiet zajmujących się nauką, które tylko tam mogą przeprowadzić swoje badania. Najrzadziej spotyka się motywację finansową, bo te wyjazdy nie są bardzo wysoko płatne.

Czego najbardziej brakowało tobie i twoim rozmówczyniom na terenach polarnych?

– Wbrew stereotypom żadnej z nas nie brakowało wizyty u fryzjera, u kosmetyczki lub w sklepie. A wszyscy – i kobiety, i mężczyźni – mieliśmy bardzo przyziemne tęsknoty: za smakiem ulubionego napoju, ulubionej potrawy, pójściem w ulubione miejsce i spotkaniem z lubianymi ludźmi. W odczuwaniu smutku determinuje nas nie płeć, ale bycie człowiekiem. Rozłąka dla wszystkich jest tak samo trudna. A już bardziej szczegółowe odpowiedzi są zdecydowanie indywidualne, tak jak to, kim stajemy się po powrocie, jak się definiujemy w kontekście wypraw. To nie jest łatwe, bo pod koniec każdy musi się zastanowić, jak będzie funkcjonować w rzeczywistości, którą zostawił na rok. Sama po powrocie miałam wrażenie silnego niedopasowania. Jako stały skutek tego doświadczenia wymieniam fakt, że nie potrafię wrócić na etat i moja praca musi być zadaniowa.

A za czym najbardziej tęsknisz z tamtego świata?

– Za samotnością odczuwalną wtedy, kiedy nie widzi się niczego i nikogo dookoła, oraz ciszą. Bo na lodowcu panuje taka cisza, która pozwala słyszeć wszystko: pulsowanie krwi w skroniach, bicie serca i odgłos spadającego śniegu.

Katarzyna Niedurny

FOT. PIOTR ANDRYSZCZAK, AGNIESZKA SKORUPA

eprasa.pl 38b889f7bb

TWÓJ 1%

WESPRZE „KĄCIKI BABCI I DZIADKA” W DPS.

Na 100% !!!

Fundacja Jolanty Kwaśniewskiej

„Porozumienie Bez Barier”

KRS 0000167578

FUNDACJA JOLANTY KWAŚNIEWSKIEJ
Porozumienie Bez Barier

eprasa.pl 38b889f7bb

Marcin Margielewski

Zaginione arabskie księżniczki

Amina była załamana. Miała się stać własnością innego mężczyzny, wykupioną, z podpisanym kontraktem

Amina

To były ostatnie dni, gdy Fahda miała na co dzień wsparcie Aminy. Mniej więcej rok później jej niespełna 15-letnia siostra została wydana za mąż. Zdanie panny młodej nie miało najmniejszego znaczenia. Amina była załamana. Jej życiem do tej pory dyrygował ojciec, który – co trzeba przyznać – nigdy nie nadużywał swojej władzy wobec córek. Teraz miała się stać własnością innego mężczyzny, wykupioną, z podpisanym kontraktem. Warunki negocjował wuj Bashar, który często wchodził w rolę obrońcy beduińskich wartości.

Przyszły mąż Aminy nazywał się Ahmed Baldawi. Miał 42 lata i dwie wielokrotnie brzemienne żony, zamknięte w należących do niego pałacach. Kolejny już czekał na nową lokatorkę. Nastoletnia Amina miała być dla niego szansą na powiększenie i tak już pokaźnej gromadki 16 dzieci.

– Nie mogę za niego wyjść! Ja go nie kocham… – żaliła się Amina matce, kiedy ta próbowała przygotować ją na nowy etap życia.

– Pokochasz go z czasem, córeczko. Ja też w dniu ślubu niczego nie czułam do twojego ojca. A dziś kocham go nad życie. (…) Wszystko się ułoży, przecież nadal masz nas – próbowała ratować sytuację. Wiedziała, że nie jest w stanie zmienić decyzji męskiej części rodziny o wydaniu córki za mąż. Amina została przehandlowana w pałacu za poparcie rodziny Baldawi, z której wywodziło się wielu wpływowych kleryków i uczonych w piśmie. Saudyjska rodzina królewska doskonale wiedziała, że ten, kto ma religię, ma władzę, dlatego robiła wszystko, by się przypodobać przywódcom religijnym. Amina miała być kolejną ofiarą złożoną w tej sprawie.

Ahmed Baldawi był właścicielem kilku okazałych willi, ewidentnie wzorowanych na królewskim pałacu i tylko przez szacunek mniej okazałych od niego. Wszystkie znajdowały się w prestiżowej części Rijadu wtedy zwanej Al Gosur, a dziś znanej jako Al Rabua. Ta, która czekała na Aminę, stanowiła część jej *mahru*. Oczywiście nie była to jedyna zapłata za jej dziewictwo. Ahmed obsypał przyszłą żonę kosztownościami i litrami wonnych olejków. (…)

Klan Baldawich od początków dynastii Saudów był bliski rodzinie królewskiej. Unię tę potwierdzało wiele małżeństw. Dzięki religijnym wpływom Baldawich rodzina królewska mogła swobodnie manipulować społeczeństwem, a w zamian za to gwarantowała im dostęp do wielu intratnych interesów. (…)

Sam Ahmed Baldawi po śmierci ojca i wuja został głową rodziny i objął absolutną władzę nad poczynaniami jej członków. Szejk Hafez uznał, że małżeństwo jego córki z tak prominentną postacią będzie nie tylko zaszczytem, ale też doskonałym posunięciem politycznym. Jego teść, król Fahd, był tym pomysłem zachwycony, a rodzony brat Bashar zacierał ręce i naciskał, by do ślubu doszło jak najszybciej.

Od decyzji nie było więc odwrotu. Uroczystości zaślubin miały miejsce tydzień po święcie Id al-Fitr. Były krótkie i jak na rodzinę królewską wyjątkowo mało wystawne. Dla Ahmeda był to zwykły kontrakt, dzięki któremu zyskał kolejną żonę.

Amina była w nastroju bardziej odpowiednim na pogrzeb niż na zaślubiny. Wysoki i postawny Baldawi sprawiał wrażenie obcesowego gbura. Wygląd doskonale oddawał jego osobowość. Nieustannie żuł *miswak*, mlaskając przy tym głośno i budząc powszechną odrazę. Co istotne, zdawał sobie z tego sprawę – i robił to celowo. Często powtarzał, że żucie miswaku wzmacnia potęgę modlitwy. (…)

Amina nie widziała go przez blisko dwa tygodnie po ślubie. Nietrudno się domyślić, że nie ubolewała nad tym. Ale miała świadomość, że to tylko odroczenie, a nie kasacja wyroku. Zamknięta w luksusowej willi, otoczona służbą, całymi dniami wpatrywała się w biel ścian, popadając w apatię i zwątpienie. Ożywiała się tylko podczas wizyt matki i sióstr. Limitowanych, bo jej mąż zgodził się na maksymalnie dwa widzenia w tygodniu. I to niechętnie.

– Amina, kochanie, nie możesz tak! – Fatma załamywała ręce. – Musisz zacząć żyć! Baldawi zapewni ci wszelkie wygody. Zobaczysz, córeczko.

– Pogódź się z tym, siostro. Jesteś jego żoną i raczej nic tego nie zmieni. Daj mu szansę, może się okaże dobrym mężem – dodała doświadczona po kilku latach w małżeństwie Salima.

Tylko Fahda siedziała cicho. Wiedziała, że Amina nigdy nie pogodzi się z tym, iż sprzedano ją jak

eprasa.pl 38b889f7bb

rozpłodową klacz. Poza tym tęskniła za siostrą. Obie wszak były jeszcze dziewczynkami…

Amina wkrótce przestała nią być. Ahmed Baldawi był ucieleśnieniem prymitywnego beduina. Kiedy dwa tygodnie po ślubie zawitał do willi podarowanej nowej żonie, bez zbędnych słów zaciągnął ją do sypialni, zdarł z niej ubranie i beznamiętnie pozbawił dziewictwa. (…) – Chcę syna! – zawołał, kończąc.

Amina milczała. Była przerażona, obolała, poocierana. Krwawiła nie tylko z łona, ale idąc za radą mamy i siostry, starała się dać temu małżeństwu szansę. Tamtego wieczoru, podczas swojego pierwszego w życiu, dalekiego od ideału, stosunku Amina zaszła w ciążę. Kiedy kilka tygodni później lekarz potwierdził jej podejrzenia, Ahmed przyjechał do willi z kilkoma oprawionymi w skórę pudełkami biżuterii. Wręczył je Aminie z zaangażowaniem dostawcy pizzy.

– Wiedziałem, że młoda żona to był dobry ruch. Urodzisz mi wielu synów – powiedział, wyjmując z ust *miswak*, by ją pocałować. Do tej pory nigdy tego nie robił.

Amina zrozumiała, że od tej pory jej życiowa rola sprowadzać się będzie do nieustannego chodzenia z brzuchem. Tylko to sprawiało, że jej mąż był zadowolony. Dobrą stroną bycia w ciąży i jedynym w niej pocieszeniem było to, że Ahmed zgodził się na częstsze wizyty teściowej. (…)

Ahmed nie był częstym gościem u żony. Zresztą żadnej ze swoich żon nie odwiedzał zbyt często. Miał je, bo tego wymagała od niego pozycja, ale większość czasu spędzał w Stanach Zjednoczonych, gdzie bez najmniejszych skrupułów i opamiętania korzystał z usług dam do towarzystwa lub podrywał dziewczyny chętne na przygodę z bogatym Arabem. (…)

Dziewięć miesięcy później w asyście Fatmy i Salimy Amina urodziła Ahmedowi pierwszą córkę, maleńką Nur. (…)

Koran mówi wprost, że narodziny córki to dla jej ojca nieszczęście. (…) Ahmed Baldawi był skrajnym muzułmańskim konserwatystą i podręcznikowym przykładem hipokryty. To dlatego nie śpieszył się, by poznać swą nowo narodzoną córkę. Każdy dzień zwłoki coraz bardziej niepokoił Aminę. Nie tęskniła za nim, ale wiedziała, jak bardzo chełpił się swoim męskim potomstwem. Narodziny Nur przerwały tę szczęśliwą serię, co w najlepszym wypadku mogło być dla niego rozczarowaniem, a w najgorszym… Może się zdenerwuje i ją odeśle? Rozwiedzie się z nią i będzie mogła wrócić do rodzinnego pałacu wraz z Nur? Amina marzyła o tym skrycie. (…) Odzyskała dobry nastrój. Zabrała maleństwo na spacer po pałacowym ogrodzie, a potem rozsiadła się z nim przy basenie. (…)

To tu, nad basenem, po raz pierwszy córkę zobaczył jej ojciec. (…)

– Jesteś. Wreszcie możesz poznać swoją córeczkę – powiedziała Amina, zaskoczona zachowaniem męża. (…)

Baldawi, wciąż się uśmiechając, spojrzał na kojec, w którym pod bogato zdobionym baldachimem spała maleńka Nur. Podszedł bliżej i delikatnie podniósł kruche ciałko. Nur była niewiele większa od jego dłoni. Złapał ją i…

Muskane delikatnym pustynnym wiatrem wody basenu przeszyło uderzenie drobnego ciałka śpiącej księżniczki. Nur się nie obudziła, gdy woda zabrała ją na dno, w mgnieniu oka pozbawiając życia. Wszystko zadziało się tak szybko, że Amina początkowo nie wiedziała, co tak naprawdę się stało. Potrzebowała chwili, by zrozumieć, że jej mąż właśnie zabił ich dziecko. Rzuciła się w kierunku basenu z nadzieją, że będzie jeszcze w stanie uratować Nur. Ale Ahmed złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie, po czym gwałtownie rzucił na szafirową terakotę. Pstryknięciem palców odesłał oniemiałą służbę, która była świadkiem zabójstwa Nur. Amina leżała twarzą do posadzki i pragnęła tylko jednego – nakarmić i utulić swoją córeczkę. Wciąż jeszcze nie docierało do niej, że już nigdy nie będzie mogła tego zrobić.

Tymczasem Baldawi zdarł z niej ubranie, podciągnął swój *thawb* i brutalnie zgwałcił, powtarzając przez cały czas jak mantrę:

– Mówiłem: ma być syn! Ma być syn! Ma być syn… Mówiłem ci przecież, ma być syn! Ma być syn!

Gdy skończył, wstał, poprawił ubranie i jeszcze raz wrzasnął:

– Tym razem ma być syn!

Tari

Na zdjęciu, które przywiozła ze sobą z Bali, Tari wyglądała jak mała księżniczka. Na fotografii była z rodzicami. (…) Nie pamiętam, kiedy dokładnie pojawiła się w pałacu, ale musiała mieć około 10 lat. Przyjechała wraz z transportem kilku innych nieletnich służących z Indonezji. Choć nigdy o tym nie mówiła, prawdopodobnie została porwana lub – jak ja przed laty – sprzedana za marne grosze i przywieziona do kraju, w którym czekało ją życie pełne mozolnej pracy od świtu do nocy, bez cienia nadziei na poprawę losu.

Tari była obdarzona niezwykłą urodą. Choć jako służąca nie miała czasu jej pielęgnować, nawet okutana w zgrzebne chusty zwracała uwagę swoim pięknem. (…) Wiadomość o chorobie Tari dotarła do mnie bardzo szybko. Przyniosła ją zaniepokojona Hana. Nie ja podejmowałem decyzje dotyczące służby, ale w związku z nieobecnością książęcej pary byłem najstarszym rangą sekretarzem, opiekunem jedynego księcia zamieszkującego w tym czasie pałac. Musiałem się o tym dowiedzieć. Tari uskarżała się na bóle brzucha, ale zapewniała, że są do zniesienia i tak naprawdę nic jej nie jest. Jednak gdy chciała wstać z łóżka, żeby to udowodnić, zemdlała. Tari ewidentnie coś przed nami ukrywała. Nie wiedziałem jeszcze wtedy co, ale byłem pewien, że powód jej złego samopoczucia jest jej znany. Tari wcale nie wróciła do pełni zdrowia. Wprawdzie od powrotu właścicieli pałacu służba nie była już na mojej głowie, ale martwiłem się o nią, tak zwyczajnie, po ludzku. (…) Wymiotowała i mdlała, jednak za każdym razem, gdy proponowałem, że załatwię z szejkiem Hafezem, by zezwolił na wizytę lekarską, wzdrygała się i z histerycznym płaczem błagała, bym tego nie robił. Zawsze też zapewniała, że już czuje się lepiej. Jej twarz zdradzała, że jest inaczej, ale nie nalegałem. Nie chciałem być

Ślub był krótki i jak na rodzinę królewską mało wystawny. Dla Ahmeda był to zwykły kontrakt, dzięki któremu zyskał kolejną żonę.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 38b889f7bb

kolejnym człowiekiem, który ją do czegoś zmusza. Chciałem tylko pomóc. (…)

Zgodę na wezwanie lekarza wykorzystałem w dniu, w którym Tari podczas sprzątania jednej z komnat osunęła się na posadzkę i straciła przytomność. Lekarz zjawił się w pałacu niemal natychmiast. Jego diagnoza przeraziła nas wszystkich. Ale dla Tari mogła się okazać śmiertelna. Służąca była w ciąży!

Mówiłem: ma być syn! Ma być syn!

To ja wezwałem lekarza i to ja z nim rozmawiałem. Ryzykując bardzo wiele, musiałem poprosić go o dyskrecję. (…) Obiecał, że nikomu nic nie powie. Tari była w trzecim miesiącu.

– Musisz mi powiedzieć, jak do tego doszło, Tari. Dla swojego dobra. Nie obawiaj się, jestem po twojej stronie – przekonywałem, ale odbijałem się od ściany milczenia i łez. – Kto ci to zrobił?

Tari przygryzała wargi, jakby walczyła, by żadne słowo nie wymknęło się z jej ust. Ale przegrała.

– Nie wiem – powiedziała cicho.

– Jak to nie wiesz?

– Nie wiem… – powtórzyła zupełnie bezgłośnie.

Faktycznie nie wiedziała. (…)

•

To zdarzyło się podczas jednej z imprez, w czasie, gdy Kamal był jedynym księciem w pałacu. Jak zwykle nie brakowało na niej alkoholu, za to brakowało zdrowego rozsądku i – zdaniem bawiących się nastolatków – kobiecego towarzystwa. To wtedy Kamal i Wahid wpadli na pomysł, który niemal natychmiast wprowadzili w życie. Przyuważyli Tari, która akurat sprzątała korytarz w jednym z pałacowych skrzydeł. Zarzucili jej worek na głowę i kazali milczeć. Przerażona dziewczyna posłuchała. Kamal i Wahid zawlekli ją do sali, gdzie odbywała się koszmarna balanga.

Kazali jej zacisnąć powieki i dopiero wtedy zdjęli z jej twarzy worek.

– Ładna! Może być! – zawyrokowali goście.

Zerwali z niej ubranie, rozebrali zupełnie do naga. Zaczął Wahid. Najbardziej doświadczony. To on odebrał Tari dziewictwo, a później przekazał ją reszcie. Gwałcili ją jeden po drugim, poganiając się nawzajem i kibicując sobie. (…) Gdy wreszcie poznałem przebieg tej makabrycznej nocy, zrozumiałem, dlaczego Tari nie wiedziała, kto jej to zrobił. Było ich zbyt wielu. To mógł być każdy z nich. Zresztą nie miało to najmniejszego znaczenia. Wszyscy byli jednakowo winni. (…) Było ich około dziesięciu i każdy z nich miał swój udział w tym koszmarze. Dla większości Tari była pierwszą kobietą w życiu. „Dziwką" z jakiegoś obcego kraju, która pozbawiona prawa do samostanowienia, dostępowała zaszczytu zabawiania swym ciałem kwiatu saudyjskiej arystokracji.

Dopiero gdy byli zaspokojeni i tak pijani, że całkowicie opadli z sił, zostawili ją w spokoju. Wahid złapał ją za szyję, wystawił za drzwi i rzucił na posadzkę. Był środek nocy. Tari udało się niepostrzeżenie powrócić do swojej kwatery. (…)

•

Wydawało mi się, że nikt nie widział, jak odwiedzałem Tari, ale byłem w błędzie. Kamal szybko się zorientował, że jego ojciec dość nietypowo załatwił sprawę ciężarnej służącej. Wiedział, że nie mogła tak po prostu zniknąć. Wiedział też, że rozwiązanie sprawy będzie proste, jeśli tylko będzie mnie śledził. Wystarczyła mu chwila. Nie wiem, jak długo utrzymywał w tajemnicy tę wiedzę i jak długo czekał na moment, w którym wywiezie Tari z pałacu, ale wiem dokładnie, którego dnia to zrobił.

Bez namysłu wrzucili półprzytomną Tari do dołu i zabrali się do jej zasypywania.

Zakradł się do celi. Przekręcany w zamku klucz na pewno jej nie zaniepokoił, bo zawsze oznaczał moje przybycie. W pokoju bez okna noc zlewała się z dniem, więc na pewno nie zdziwiło jej też to, że dźwięk klucza słyszy o tak nietypowej porze. A może po prostu spokojnie spała? Tak byłoby dla niej najlepiej, choć wiem, że Kamal uwielbiał zadawać ból – i to pewnie właśnie ból towarzyszył Tari przez cały czas od momentu, gdy ją pochwycił. Związał ją prześcieradłem, a jej twarz zasłonił jego zerwanym fragmentem, część wciskając do ust, tak by nie pisnęła ani słowa. Była drobna, filigranowa, przeniesienie jej nie stanowiło dla Kamala żadnego wyzwania. Zapakował ją do bagażnika swojego samochodu i pośpiesznie odjechał. Wrócił do pałacu po jakichś dwóch godzinach samochodem Wahida. Nie wzbudziło to niczyich podejrzeń, bo chłopcy lubili się wymieniać swoimi zabawkami. Teraz jednak szykowali dużo ciekawszą rozrywkę. Tari spędziła tę noc i cały kolejny dzień w bagażniku samochodu zaparkowanego w garażu Wahida.

Kolejnego wieczoru Wahid ruszył nim w nieznanym kierunku w towarzystwie kilku kumpli. Kamal przyjechał po swój samochód do jego pałacu, gdy już go nie było. Ruszył więc w kierunku pustyni. Po kilkudziesięciu minutach dotarł do umówionego miejsca, gdzie przy zaparkowanych w okręgu autach stali jego imprezowi kumple i kuzyn. Noc była ciemna i gwiaździsta, a dookoła, poza nimi, rozciągała się bezludna, bezkresna przestrzeń. Kamal wysiadł z samochodu i rzucił kluczyki jednemu z chłopaków.

– Wrzuć ją na pick-upa – rozkazał, podchodząc do Wahida, z którym czule się przywitał. – Wszystko gotowe?

– Tak jak ustaliliśmy – potwierdził Wahid.

Po chwili półprzytomna Tari leżała już z tyłu samochodu, by po raz kolejny przeżyć koszmar grupowego gwałtu. (…) Orgia trwała kilka godzin, a gdy już każdy z nich kilkakrotnie zaspokoił swoje potrzeby, Kamal osobiście związał Tari, po czym dwóch jego kumpli zniosło ją z pick-upa. Przerzucili ją kilka metrów dalej, gdzie znajdował się skrywany w mrokach, niewidoczny z oddali dół. Bez namysłu wrzucili do niego półprzytomną Tari, po czym zabrali się do jej zasypywania. Mała księżniczka z Bali, która z braku własnego pałacu musiała służyć w cudzym, odeszła w niepamięć, jakby nigdy nie stąpała po tej ziemi. (…)

Fragmenty książki Marcina Margielewskiego *Zaginione arabskie księżniczki*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2020

eprasa.pl 38b889f7bb

Jak trwoga, to Angela Merkel

To, że z powodu koronawirusa zamknięte są ambasady, a tzw. życie dyplomatyczne zamarło, nie oznacza, że polityka zagraniczna przeszła w stan uśpienia. Przeciwnie, znalazła się w okresie bardzo intensywnym, bo pół świata zastanawia się, jak będzie wyglądał nasz glob po ustąpieniu pandemii. Kto pójdzie do góry, kto w dół itd. Najtęższe głowy nad tym debatują, analizując różne dane.

Dziś zatem polityka zagraniczna wymaga w stopniu szczególnym profesjonalnego podejścia, bo nie wystarczy reagować na to, co już było, trzeba reagować na to, co zdarzyć się może.

Jeśli chodzi o Polskę, jest to o tyle trudne, że nie wiadomo, kto się zajmuje polityką zagraniczną. Raczej nie MSZ, jego rolę w aparacie władzy zredukowano do organizowania operacji „LOT do domu". Może więc Kancelaria Prezesa Rady Ministrów albo Kancelaria Prezydenta? A może grupa posłów PiS? Każdy z tych ośrodków gra swoje, w efekcie Polska nie ma polityki zagranicznej, bo trudno za takową uznać różne niezborne odruchy typu: lubimy Trumpa, kochamy Orbána, a do Unii Europejskiej stoimy bokiem.

Unia przeżywa dziś ciężkie dni. Zwłaszcza Włochy i Hiszpania. Co niepokojące, wymęczeni epidemią Włosi zaczynają coraz bardziej na Unię narzekać. W jednym z ostatnich sondaży 88% Włochów stwierdziło, że Europa ich nie wspiera, a 67% postrzega członkostwo w UE jako wadę. To są dane niepokojące, bo – po pierwsze – przez lata Włosi byli prounijni, a po drugie, Włochy to fundament Unii. Bez Wielkiej Brytanii Unia będzie Unią, bez Włoch – już nie.

Jak temu zaradzić? Trwają więc dyskusje na temat przyszłości Europy, bardzo gorące, ale polskich polityków w nich nie słychać. Co raczej nie dziwi. Zanotujmy tylko, że w tych dyskusjach popularności nabiera teza, że najlepszą drogą do ocalenia Unii jest jej wzmocnienie, przede wszystkim finansowe, tak by miała instrumenty do pomagania w wyjściu z nadchodzącej recesji. Żeby pomóc nie tylko Włochom, np. finansując ich zadłużenie, ale i całej Unii. To lepsza odpowiedź na kryzys niż powrót do luźnego związku państw narodowych.

A jeżeli tak, to oczy Europy kierują się na Berlin i Angelę Merkel. Ona już ogłosiła, że w 2021 r. odejdzie, przestanie być kanclerzem. Ale w ostatnich tygodniach sytuacja diametralnie się zmieniła i Niemcy potrzebują na trudne czasy doświadczonego przywódcy, a Europa potrzebuje silnych Niemiec.

Wzmocnienie Unii ma również oznaczać wzmocnienie takich wartości jak solidarność europejska (niemieckie szpitale przyjmują chorych z Francji i Włoch), ale i demokracja. Co oznacza bardziej zdecydowane traktowanie Węgier, a pewnie i Polski, które żeglują w kierunku rozwiązań autorytarnych. Bardzo ciekawe, jak Unia potraktuje w najbliższych miesiącach Orbána i Kaczyńskiego.

Dodajmy, że z punktu widzenia Niemiec, dla których i Węgry, i Polska to zaplecze gospodarcze, twarde postępowanie z Orbánem i Kaczyńskim jest niewygodne. Niemcy nie chcą awantury, preferują miękkie rozwiązania. A jak będzie tym razem?

Pokażcie mi w Polsce instytucję, która ma na to pytanie odpowiedź!

Attaché

Japoński uniwersytet z powodu pandemii zorganizował pierwszą na świecie ceremonię ukończenia studiów z wykorzystaniem robotów.

FOT. BEWPHOTO

eprasa.pl 38b889f7bb

JOLKA

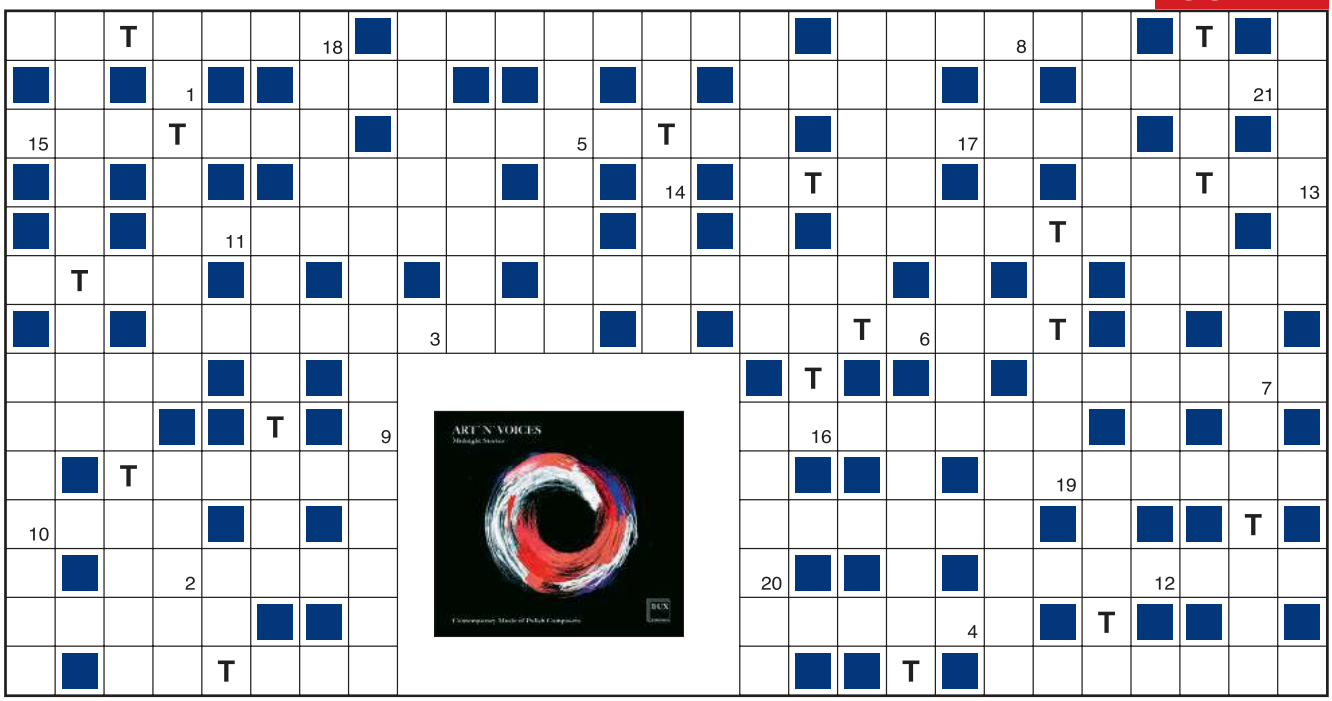

1	2	3	4

5	6	7	8	9

10	11	12	13	14	15	16	17

18	19	20	21

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- pierwsza w alfabecie greckim
- głos Jadwigi Rappé
- wyraz z przestawionych liter, sylab
- jon o ładunku ujemnym
- Wielkie – wyspy bukanierów
- z Canterbury albo z „Nad Niemnem"
- chustka francuskiego opryszka
- i tętnica, i magistrala
- najmniejsza cząstka pierwiastka mająca jego właściwości
- słynny londyński piętrowy
- biletowy, do gry lub do napojów
- sułtanat na Borneo
- zbierane przez kwestarza
- nie ma pełnych święceń kapłańskich
- rosły mężczyzna budzący strach
- ciśnieniowy w kuchni kawosza
- duży magazyn zbożowy
- nawet on może przegrać
- …Narodowa – Instytut Audiowizualny
- cienki arkusz drewna na okleinę
- zakład ze stalownią
- z nią Pałac Kultury ma 237 m
- drzewo z ogrodu Hesperyd
- Peter, reżyser trylogii „Władca Pierścieni"
- Henry, autor „Portretu damy"
- wyrabia torby, paski ze skóry
- imię księcia Walii
- np. bramini
- pulpit wykładowcy na podium
- fałszywy ton, chybienie w grze
- i azurowy wyrób, i modlitwa
- przed omikronem w alfabecie greckim
- artyzm, mistrzostwo
- nadawane wasalowi
- karabinu lub Madejowe
- „Mane, tekel, fares" na ścianie
- poprzednik Trumpa
- chorobowe spuchnięcie miejsca na ciele
- dezynfekcja, wyjaławianie
- trzeba ją teraz zachowywać między ludźmi
- przy jej ujściu Niżni Nowogród
- linia mająca kształt koła
- nomen…
- zdrowotna, społeczna
- ...rudy to koati
- bermudzkie, gaflowe albo lugrowe
- konny uczestnik korridy z lancą
- gotycka, rzeka lub epistolarna
- popularniejsze od pończoch
- skrzyżowanie o ruchu okrężnym
- miejsce dla dyskobola i kulomiota
- ...płonna – nieużyteczna przy wydobyciu kopaliny
- wyjątkowy lub skupienia
- dla nich pobudka o świcie to koszmar
- miasto przy ujściu Białej do Dunajca
- kruszący materiał wybuchowy
- pokonani przez bogów olimpijskich i strąceni do Tartaru
- bierze udział
- Paweł do Gawła: „Zmiłuj się... poluj ciszej nieco"
- ciśnień lub triangulacyjna
- o Brytyjczyku
- wybrał współpracę z wrogiem

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-956". Do rozlosowania CD zespołu Art'n'Voices „Midnight Stories" ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 19 kwietnia 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-953" z 29 marca: *Nieobecni nie mają racji.*
Nagrody otrzymują: Bogumił Przybyło z Dobczyc, Zbigniew Szarawara z Częstochowy, Janina Tworzydło ze Stalowej Woli.

eprasa.pl 38b889f7bb

PENETRACJE

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

DR JAROSŁAW FLIS,
SOCJOLOG, UJ

Można sparafrazować Churchilla – PiS miało do wyboru: przesunięcie głosowania albo hańbę. Wybrało hańbę, a wybory będzie musiało przesunąć i tak. Dla PiS największym zagrożeniem jest samospełniająca się przepowiednia: uważamy, że trzeba przeprowadzić wybory w maju, bo jesienią je przegramy, więc teraz będziemy robić takie rzeczy, by w efekcie jesienią nieuchronnie je przegrać.

PANI

BARTOSZ BIELENIA,
AKTOR

Z oscarowej ceremonii nie można w jej trakcie wyjść. W kieszeniach mieliśmy batony proteinowe, bo tam nie podaje się jedzenia. Wyjeżdżasz z hotelu o godz. 13, ceremonia jest o godz. 18, a bal gubernatora kończy się o północy. Sumując: wszystko trwa 12 godzin. A jesz dopiero o godz. 23 i są to koreczki. Taka strona tego wydarzenia też istnieje, a mnie zawsze interesowała podszewka. Tak jak 15 minut po zakończeniu rozdania Oscarów chłopaki z ekipy technicznej wszystko wynoszą i twoim oczom ukazuje się zwykła galeria z karton-gipsu. Poza tym na Oscary ze względów bezpieczeństwa nie można przyjść piechotą. Musisz przyjechać limuzyną, i to jednej marki, wyznaczonej przez organizatorów.

odra

AGNIESZKA HOLLAND,
REŻYSERKA

Wyniki badań nad młodymi ludźmi, takimi między 18. a 30. rokiem życia, pokazują, że jest ogromna różnica w tej grupie między kobietami a mężczyznami. Kobiety chcą stworzyć świat harmonijny, dążący do tego, by wszystkim się żyło ciekawiej. A mężczyźni odwrotnie.

Stara i pewnie trochę zapomniana złota myśl z „Wyzwolenia" Wyspiańskiego, która brzmi: Musimy coś zrobić, co by od nas zależało, zważywszy, że dzieje się tak dużo, co nie zależy od nikogo, znowu staje się żywa. I myślę, że to jest w jakimś stopniu dewiza mojego życia.

Twój STYL

JAN NOWICKI,
AKTOR

Od dziecka jest we mnie ogromna atencja dla literatury. Jestem obłożony książkami, z których często niewiele pamiętam, ale rzecz nie polega na tym, żeby wszystko pamiętać. Leży przede mną „Idiota" Dostojewskiego, książka, do której sięgam chyba po raz 15. Nawet Olga Tokarczuk, osoba tak światła i wielki autorytet, wspomina, że wracanie do lektur z młodości oznacza odkrywanie coraz to nowych emocji. Odkrywam więc je z radością.

Choroby to niejedyny problem trawiący świat. Przesiedleńcy, którzy uciekli przed przemocą na tle etnicznym w południowej Etiopii, koczują w prowizorycznych domach.

FOT. YONAS KIROS/AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

PROF. JADWIGA STANISZKIS O ANDRZEJU DUDZIE

Wyszła z niego małostkowość i pretensjonalność. Ten jego uśmiech, ta okrągła, błyszcząca twarz, to wszystko jest takie irytujące.

MATEUSZ KLINOWSKI O HIERARCHACH

To nie są ludzie o rozbudzonej duchowości. Zastanawiam się, czy w ogóle są wierzący. Mam poważne wątpliwości.

URSZULA BRZEZIŃSKA-HOŁOWNIA O MĘŻU SZYMONIE

Jak byłam na urlopie macierzyńskim, mąż mi w pewnym momencie powiedział, że muszę już wrócić do pracy, bo on ze mną dłużej nie wytrzyma. Adrenalina we mnie buzowała.

RAFAŁ OLBIŃSKI O KOLEKCJONOWANIU WŁASNYCH OBRAZÓW

Ostatnio nie stać mnie na nie. Osiągają bardzo wysokie ceny. Zawsze też mogę namalować sobie ładniejszy.

URSZULA DUDZIAK O SZKOLE W NOWYM JORKU

Miałam wtedy fryzurę na Roda Stewarta, do tego w kolorze marchewki. Dziewczynki były w szkole podstawowej i prosiły, żebym czekała na nie za rogiem.

PROF. ZBIGNIEW IZDEBSKI RADZI, JAK TERAZ ŻYĆ

Skoro jesteśmy przymusowo w domu, to powinniśmy jak najwięcej się przytulać i głaskać. To daje poczucie bliskości i bezpieczeństwa.

WITOLD SADOWY O PARTNERZE

Miałem całe życie swego Janka i byłem z nim szczęśliwy. Był inżynierem i jednym z dyrektorów dużej firmy.

MAGDALENA POPŁAWSKA O ŻYCIU NA OPAK

Potrzeba wolności i niezależności zawsze była dla mnie najważniejsza. Nie dajmy się zwariować, związek to nie jest gwarancja szczęścia.

PIOTR BECZAŁA O POCZĄTKACH KARIERY

Późno zacząłem śpiewać – dopiero w technikum mechanicznym. Trafiłem do chóru, by wymigać się z matmy.

eprasa.pl 38b889f7bb

Piłatowi by się spodobało

Wiele osób nie ma cierpliwości do mycia rąk przez zalecane 20-30 sekund. Z odsieczą przychodzi im strona Wash Your Lyrics, ułatwiająca wykonywanie tej czynności z ulubioną piosenką na ustach. Wystarczy wpisać tytuł i nazwę artysty czy zespołu, by wygenerowany został plakat do samodzielnego wydrukowania, z tekstem utworu i instrukcją mycia rąk. Niestety, na plakacie z piosenką „Przez twe oczy zielone" polskie znaki diakrytyczne nie wyświetlają się prawidłowo, a autor strony ewidentnie umył ręce od tej sprawy.

Instagramerzy zrobieni na czarno

Angielska policja przemalowała jeziorko w Harpur Hill w hrabstwie Derby, nazywane błękitną laguną. Miejsce to, zwłaszcza w pogodne dni, przyciągało bowiem tłumy, m.in. osoby pragnące zrobić efektowne zdjęcia do mediów społecznościowych. Aby zniechęcić ludzi do grupowego przebywania nad malowniczym zbiornikiem, co grozi rozprzestrzenianiem się wiadomej epidemii, mundurowi postanowili czasowo pozbawić go kluczowego atutu, czyli pięknego koloru, używając czarnego barwnika. Tylko czy teraz jeziorko nie stanie się atrakcją dla pesymistów?

MEMY BEZ ŚCIEMY

To się nazywa niemiecka jakość!

Wenezuelska korweta ostrzelała i staranowała statek wycieczkowy, a następnie... zatonęła. Niemiecki wycieczkowiec, który zawinął do portu w Curaçao w celu naprawy jednego z silników, rzekomo wpłynął na wody terytorialne Wenezueli. Załoga korwety wydała rozkaz skierowania jednostki do portu na Isla Margarita, jednak polecenie zignorowano, gdyż marynarze byli przekonani, że znajdują się na wodach międzynarodowych. Wtedy rozpoczął się ostrzał niemieckiej jednostki turystycznej, a następnie okręt wojenny zaczął nacierać dziobem na prawą burtę wycieczkowca, prawdopodobnie próbując skierować go w stronę wybrzeża. W efekcie atakująca korweta doznała poważnych uszkodzeń i zatonęła. Niemiecki statek wyszedł z tego bez większego uszczerbku. Czy może być lepsza reklama dla firmy wycieczkowej?

Finaliści 37. Ogólnopolskiego Turnieju Małych Form Satyrycznych

Jury konkursu na tekst satyryczny 37. Ogólnopolskiego Turnieju Małych Form Satyrycznych w Bogatyni w składzie Joanna Kołaczkowska, Natalia Grzeszczyk, Artur Andrus, Zdzisław Justyński, Łukasz Szwed, Stanisław Zygmunt zakwalifikowało do finału następujące teksty:

1. „Metoda" Agaty Biłas
2. „Swoje własne zdanie" i „Historia życia i picia" Grzegorza Żaka
3. „Jak wytresować właściciela" Joanny Gryziewicz
4. „Pro Publico Bono" Leszka Sokołowskiego
5. „Ty się ucz" Iwonny Buczkowskiej
6. „W Zębodłubie" Macieja Kwiatkowskiego
7. „Medycyna estetyczna w czasach Bolesława Krzywoustego" Witolda Pelki
8. „Kogucik czy kurka" i „Wigilia przedstawiciela Ha." Marcina Królikowskiego
9. „Znieczulica" Jakuba Bolca

Do finału 37. Ogólnopolskiego Turnieju Małych Form Satyrycznych Bogatynia 2020 komisja kwalifikacyjna zaprosiła następujące kabarety i podmioty:
- kabaret Trzecia Strona Medalu z Krakowa
- Władysława Edelmana z Zielonej Góry
- zespół Kwiatkowski i Bank z Krakowa
- Szymona Łątkowskiego z Poznania
- grupę On On On z Warszawy

Prezes Stowarzyszenia Turnieju Zdzisław Justyński

eprasa.pl 38b889f7bb

W czasie kwarantanny trolle się nudzą

Rosnąca na świecie popularność telekonferencji, wywołana przymusową izolacją pracowników i uczniów w domach, stworzyła nowe pole do popisu internetowym chuliganom. Szczególnie upodobali oni sobie komunikator Zoom, gdyż wideorozmowy organizowane za jego pośrednictwem domyślnie są publiczne – każdy, kto ma ochotę, może do nich dołączyć. Wielu trolli korzysta z tej możliwości i bombarduje uczestników wirtualnych spotkań filmami pornograficznymi, wyzwiskami czy symbolami nazistowskimi. W Polsce ofiarą takiego „dowcipu" padła m.in. firma obuwnicza CCC.

Co za dużo, to rozwodowo

W chińskim mieście Xi'an odnotowano rekordową liczbę spraw rozwodowych. Częściowo tłumaczy to fakt, że wcześniej przez pewien czas instytucje publiczne nie pracowały w związku z zagrożeniem epidemiologicznym. Zdaniem urzędników jest i druga ważna przyczyna. „W wyniku epidemii wiele par było skazanych na przebywanie ze sobą w domu przez miesiąc, co wywołało niemało konfliktów", powiedział mediom jeden z nich. Drugi dodał, że niektóre pary pożałowały pochopnej decyzji i już kilka godzin później postanowiły ponownie się pobrać. Wszystkiego dobrego na starej drodze życia!

FOT. EAST NEWS, FORUM, SEKCJA GIMNASTYCZNA, TVP KOREA, FACEBOOK

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 38b889f7bb

XVI Aukcja Charytatywna „ziarno SZTUKI – ogród NADZIEI”

Fundacja Psychoonkologii i Promocji Zdrowia Ogród Nadziei

Aukcja odbędzie się 23 kwietnia o godz. 19.30.
Informacje na temat obiektów i sposobu licytacji:
artinfo.pl.

Karol BĄK – SPE, 2020

Agnieszka ŁUKASZEWSKA – Prakseda, 2020

Paweł DĄBROWSKI – Tygrys, 2017

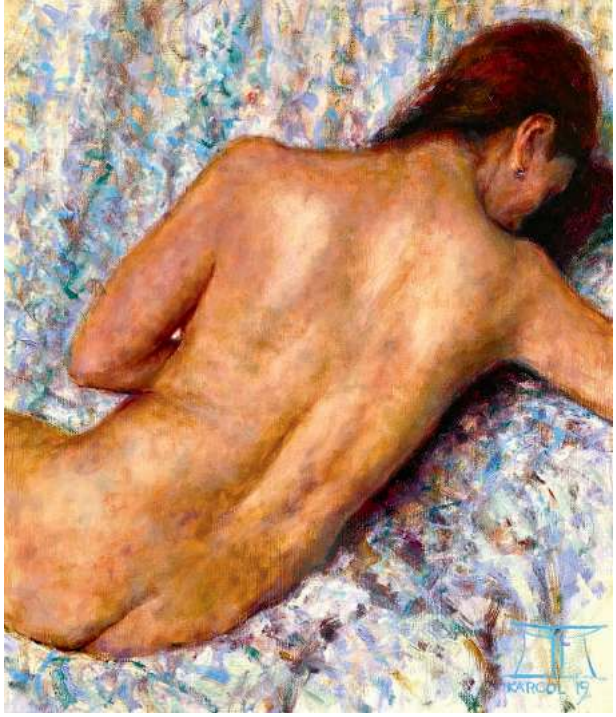

Krzysztof KARGOL – Studium pleców, 2019

Jolanta MICHALAK – Happy driver, 2014

Jan MŁODOŻENIEC – Legenda, 1993

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 38b889f7bb

Nowy film jednego z najważniejszych chińskich reżyserów WANGA XIAOSHUAI
NAJLEPSZA AKTORKA I NAJLEPSZY AKTOR 69. BERLINALE
ŻEGNAJ MÓJ SYNU
tiff. toronto international film festival
NAJLEPSZY FILM – NOMINACJA
Berlinale
Srebrny Niedźwiedź dla najlepszej aktorki i aktora
69 Internationale Filmfestspiele Berlin
CHINA GOLDEN ROOSTER & HUNDRED FLOWERS FILM FESTIVAL
NAJLEPSZA AKTORKA
NAJLEPSZY AKTOR
NAJLEPSZY SCENARIUSZ
najlepsze zdjęcia
nagroda główna
najlepszy film
nominacja
MINSK international film FESTIVAL
SSIFF
Uruguay International Film Festival
Nagroda Specjalna Jury
Nagroda Publiczności
„Zdobywa i łamie serca."
VARIETY
„Niesamowita opowieść osnuta wokół historii Chin."
HOLLYWOOD REPORTER
„Śmiały i dociekliwy."
SCREEN INTERNATIONAL
Premiera 2 kwietnia
wyłącznie na vod.pl
AURORA

PATRONAT MEDIALNY
cojestgrane24
KINO
MNM
Mordewaly
LAVIE
GŁOS KULTURY
bookbook
IRKA
CATS
onet

eprasa.pl 38b889f7bb

1%

TWÓJ 1% DAJE SIŁĘ I NADZIEJĘ

NIEULECZALNIE CHORYM DZIECIOM

KRS: 0000168783